GRUDZIEŃ 2006
12/132

ślizg

www.slizg.com.pl

HAJS W HIP-HOPIE
w kieszeniach raperów

W CZYM JEŹDZIĆ ZIMĄ 2006/2007?

RED BULL BUILD THE TRICK
do roboty, skejci!

PEJA/SLUMS ATTACK
pić, bawić się, śpiewać

GRUDZIEŃ 12/132
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
CENA 6,90 PLN
(w tym 7 % VAT)







www.cropptown.pl
Gwiazdka?
cropp town
dla mnie bomba

W numerze 12/132



W(Y)STĘPNIAK

Zastanawialiście się kiedyś, ile tak naprawdę zarabiają polscy raperzy, producenci i didżeje? Pewnie tak, przecież ciekawość to ludzka rzecz (i ponoć pierwszy stopień do piekła, ale my akurat nie o tym...). Postanowiliśmy zaspokoić Waszą ciekawość i w tym numerze publikujemy szczegółowy cennik, dzięki któremu otrzymacie pogląd na to co, kto, komu i za ile w polskim hip-hopie. Wnioski? Każdy wyciągnie sam, bo materiału ku temu jest aż nadto.

A tak w ogóle, to kiedy ta zima się zaczyna? Bo u nas już w tym numerze.

Miłej lektury!

GRB

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa
14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

p.o. redaktor naczelny: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Dominika Cess (cess@slizg.com.pl), Marcin Flint (ef@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)

Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Foto okładka: Wojtek Antonów

Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Estragon, Paweł Gadaczek, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Kada, Med

Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)

Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:

„Ślizg"
ul. Szara 10A, lok. 216
00-420 Warszawa

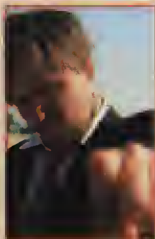
tel. 022 635 84 10 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY


MASS98


PREMIERA NOWEJ PŁYTY FU "KREW I DUSZA" - LISTOPAD 2006



FLINTESENCJA
Nie żyć pod kroplówką

Jedna z gorszych rzeczy, jakie zostały ludziom w spadku po dawnych czasach, to ta nieszczęsna obojętność. Przeświadczenie, że widzieliśmy już wszystko i niemal wszystko jesteśmy w stanie przeżyć – tak nagminne u starszego pokolenia – u młodych przekłada się na to, że jest im wszystko jedno w bardzo wielu kwestiach. Jakiego rapu słuchasz? Tego co inni, tego co ściągnę, tego co leci, byle coś tam grało. Co o nim przeczytasz? Coś tam, żeby ktoś zadał jakieś pytania i były jakieś odpowiedzi. Kto rządzi Polską? Kto by nie rządził, ja nie mam na to wpływu, a on i tak będzie kradł. Gdzie wyjeżdżasz na wakacje? Byle by była woda, piasek i browar. Jaki browar? Jakikolwiek. Osiołkowi w żłoby dano, tyle że nie umiera z głodu pomiędzy żłobami, ale żre pierwsze z brzegu. Szczęśliwi ci, którym nie daje się wyboru. Teraz nie ma siły na myślenie, nie ma czasu na gust, nie ma pieniędzy na osobowość. Nie ma, nie ma, nie ma. Pochylone karki, wyciągnięte łapy i baranie oczy.

Obserwuję gdzieś sobie ze sporą dawką wkurwienia ludzi święcie przekonanych, że na lepszy rap nie zasługują, bo tutaj jest jak jest, a jak ktoś już coś wypocił, to i ktoś przecież musi słuchać. Nie wyjdą poza nawias, który im postawiono. Całe życie są na mentalnym poziomie szkoły podstawowej, gdzie koledzy śmieją się z tego, że mają worek na kapcie innego koloru. Stara zasada. „Dają? Biorę". Komputer wylosuje w radiu nagrania z przyjemnej puli. Komputer wylosuje w domu ściągane na chybił trafił empetrójki w Winampie. Tylko niech ktoś o tym cokolwiek mówi, cokolwiek pisze. Żeby można usprawiedliwić czymś swoje wybory i nie musieć zastanawiać się przypadkiem, co się tak naprawdę lubi. I żeby się tylko nie zaangażować. Nie trafić na coś, czego się nie rozumie, bo to wstyd. Jeszcze większy wstyd – starać się zrozumieć. Komputer pozwala zginąć w obojętnym tłumie. Raz do roku można uciec z zoo do zoo, nad zimne, brudne morze, gdzie w drogim pokoju zasypia się po paru piwach patrząc przez obłażące z farby okno i licząc paski na dresach amantów tlenionych blondynek. Kali pięknie opisuje w swoich kawałkach poczucie zażenowania związane ze zdaniem sobie sprawy, gdzie wyjechało się na wakacje.

Teraz nie ma siły na myślenie, nie ma czasu na gust, nie ma pieniędzy na osobowość. Nie ma, nie ma, nie ma. Pochylone karki, wyciągnięte łapy i baranie oczy

Ja nie mam siły opisywać tego, co czuję, kiedy okazuje się, że IV RP (zbyt trudno nazwać mi to Polską) chce nas podsłuchiwać, uczniów izolować i wyciągać spod opieki rodzicielskiej za coś takiego jak wagary, śledzić nieformalne związki. Bądź stwarzać tylko pozory, bo nasza Rzeczpospolita Konfidencka z tego słynie. Tymczasem kiedy Giertych posyła swoją córeczkę do prywatnej szkoły, w państwowej na lekcji polskiego zwyrodniałe gnoje rozbierają nastolatkę, która wiesza się nie mogąc znieść wstydu. Wszyscy politycy kłamią? Z założenia. Ale niech jeszcze ktoś mi powie, że nie warto wybrać najmniejszego zła. To bzdura. Tak jak to, że skoro kradzież muzyki jest tu traktowana jak normalna, to nie można kraść dobrej. Albo to, że za grosze nie możesz w wakacje pojechać w miejsce, które otworzy ci oczy na nieco inne myślenie i nieco inne „prawdy". Można wybierać rządzących, tylko trzeba poświęcić chwilę na zrozumienie mechanizmów ich władzy. Można słuchać czegoś ciekawego, nawet za darmo i legalnie, jeśli spożytkujesz Internet do rzeczy innych niż blog, forum czy grono. Możesz skosztować czegoś nowego jeżdżąc stopem i śpiąc byle gdzie, ale za koszt starcia z bliskimi, wygody i tej małej stabilizacji, która wyżera cię od środka. Można prawie wszystko, trzeba tylko z czegoś zrezygnować, dać coś od siebie. Z tym że właśnie to coś definiuje cię jako człowieka. Bez tego możesz od razu podłączyć się pod kroplówkę.

Flint



UBRANIA ERROR

Error, jak to Error, zasypuje nas nowościami. Tym razem bardziej zimowo (nie czytać „ziomowo"), bo mamy do zaprezentowania nową kolekcję czapek tej firmy, że już o bardzo zacnych bluzach nie wspomnimy. Rozpisywać się nie ma co – jakie ciuchy Errora są, każdy widzi. Zatem już wiecie, w co przyodziejecie się w zimne dni, prawda?

imprezowe info

Na jesienne czy już wręcz zimowe wieczory możecie się wybrać na jedną z imprez z cyklu „RBK DJ Tour". Technik i Grubaz odwiedzą 11 miast i klubów tym m.in. Iguanę w Częstochowie (01.12), krakowski Frantic (02.12) czy warszawski Harlem (08.12). Bilety w cenie 5 złotych do 22, a później już 7.

Na ogólnopolską trasę wyruszyła Molesta. Koncerty już się rozpoczęły, ale jeszcze co nieco ich zostało. I tak „czterech zombie" zobaczycie na pewno 01.12 w Lublinie, 08.12 w Łodzi, 09.12 w Poznaniu, 15.12 w Krakowie i 16.12 w Warszawie.

3 grudnia w londyńskim Meanfiddler Astoria 2 odbędzie się Mega Yoga Festival. Nie byłoby zapewne w tym nic interesującego, gdybyśmy nie podali gwiazd tego wydarzenia. Na scenie zaprezentują się Fisz Emade jako Tworzywo Sztuczne, Abradab, Joka, Gutek i Feel-X, czyli Kaliber 44, oraz Pokahontaz. Wszystkich przebywających w tym czasie w Londynie (czyli pewnie jakiś milion osób...) zapraszamy.

5 grudnia w Teatrze Nowym na terenie Fabryki Trzciny w Warszawie odbędą się dwa przedstawienia w ramach teatralnej trasy L.U.C.'a z Kanału Audytywnego o wiele mówiącym tytule „Spektakioncerton – Haelaelucenogenoklektyzm". Oprócz samego bohatera, na scenie zaprezentują się Igor Pudło (Skalpel), Magiera, Andrzej Smolik czy Spaso (również z Kanału Audytywnego).

Będąc już przy L.U.C.'u i Spaso, to warto zaprosić na ich minitrasę po Polsce. W momencie ukazania się tego numeru pozostaje wam tylko udać się do: Bydgoszczy (klub Mózg, 02.12), Poznania (klub Piwnica 21, 03.12) i Łodzi (klub JazGa, 09.12). Tu także atrakcji nie zabraknie.

Już niebawem, bo 2 i 3 grudnia w hali sportowej Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego odbędzie się impreza VIVA Hip-Hop Basket 2006. Mnóstwo konkursów, zawodów i pokazów (rzecz jasna, głównie koszykarskich) oraz dobra muzyka, którą zapewni DJ Technik.

9 grudnia zapraszamy z kolei na warszawski finał Polish Beatbox Battle 2006. Odbędzie się on w klubie New Deep, poprowadzi go Filip Rudanacja, a na gramofonach usłyszymy DJ'a Grubaza. Wjazd za dychę.

Muzykoterapię spotkał nie lada zaszczyt. Uwzględniono ją przy zapraszaniu artystów na tegoroczny warszawski festiwal Jazz Jamboree. Koncert odbędzie się w „Hybrydach" 14.12. Sam festiwal ma już blisko pięćdziesięcioletnią tradycję i gościł międzynarodowe sławy kalibru takiego jak Duke Ellington, Miles Davis, Thelonious Monk, Dizzy Gillespie, Chick Corea czy Herbie Hancock. Długo można by tu jeszcze wymieniać. Gratulujemy!

Vavamuffin po wypuszczeniu płyty z remiksami (więcej dowiecie się z naszego wywiadu) intensywnie koncertuje. Trasa Dubang! Tour 2006 zahaczy 7.12 o Kraków (Żaczek), 9.12 o Bielsko-Białą (Rudeboy Club), 19.01.2007 zaś o Londyn (Mass Club w Brixton). Oprócz tego, 10 grudnia grupa wystąpi na koncercie charytatywnym poświęconym członkom poszkodowanego w bardzo poważnym wypadku samochodowym zespołu Yerba Mater i ich rodzinom (w warszawskiej Proximie razem z Kapelą ze Wsi Warszawa, Lao Che, Masalą i Joint Venture Sound System), a 14 stycznia 2007 r. zagra na warszawskim finale WOŚP.

rzeź niewiniątek

Niczym Gnarls Barkley Lupe Fiasco niesie za sobą falę entuzjazmu i... pomyłek. Otóż zarówno MTV (w internetowej odsłonie) jak i Onet w swoich recenzjach nadużywają informacji prasowych. Pierwsza z wymienionych zaskakuje niewiedzą. Nie dość, że wydawcą płyty jest wg nich Def Jam (w rzeczywistości jest nim Atlantic Records), to cały album wyprodukował Jay-Z (który jest producentem wykonawczym, a to trochę co innego). Soundtrakk i Prolyfic będą na pewno zawiedzeni niedostrzeżeniem ich na pierwszym ważniejszym albumie. Drudzy zaś piszą coś takiego: „Z kolei niejaki Matthew Santos, pojawiający się w „American Terrorist" swym charakterystycznym śpiewem...". Dobrze, że piszą...



Robert Sankowski, recenzent muzyczny „Gazety Wyborczej", w jej weekendowym wydaniu z 18-19 listopada tego roku opisuje płyty Smolika i Noviki. Oczywiście nie byłoby tu dla nas nic interesującego, ale Szanowny Redaktor zbyt chyba mocno posunął się w wychwalaniu „wspaniałego" Smolika. Pisze tak: „Samym lekko funkowym bujaniem i brzmieniem smyczków w jednym numerze można by obdzielić całego Shafta". Otóż informujemy, że Isaac Hayes królem funku jest, a ścieżka dźwiękowa do tego filmu dostała Oscara. Zajebistości Andrzeja S. nie chcemy podważać, a na jego „funkowość" na pewno ma wpływ kolaboracja z Krzysztofem Krawczykiem. Docenimy go pewnie, kiedy zagra w „South Parku".



SUPER KONKURS

Owszem, wiemy, dużo u nas konkursów, ale dawno nie mieliśmy dla Was tylu płyt do rozdania. Są to następujące krążki:

MOLESTA/EWENEMENT „Nigdy nie mów nigdy" (Respect Rec.)

AFRONT „Coraz gorzej" (Asfalt Records)

PEJA/SLUMS ATTACK „Szacunek ludzi ulicy" (Fonografika)

CISZA & SPOKÓJ „Cisza & Spokój" (ToSięWytnie Records)

VAVAMUFFIN „Dubang!" (Karrot Komando)

MALEO REGGAE ROCKERS „Reggaemova" (Universal Music Polska)

DINAL „W strefie jarania i strefie rymowania" (dinal1982.com)

Do wyboru do koloru spośród siedmiu tytułów rodzimych artystów. Każdy z was może stać się szczęśliwym posiadaczem któregoś z tych albumów. Wymaganie jest jedno. Musicie na kartkach pocztowych wymienić trzech artystów, o których chcielibyście przeczytać w „Ślizgu", wyjaśnić dlaczego akurat ich i wysłać odpowiedź na nasz adres:
„Ślizg"
ul. Szara 10A, lok. 216
00-420 Warszawa

Nie zapomnijcie podać adresu zwrotnego oraz dokonać wyboru spośród wymienionych tytułów (możecie wybrać tylko jedną płytę!). Kuponu nie trzeba, bo i tak znowu zapomnielibyśmy go załączyć... Życzymy powodzenia i liczymy na liczny udział w zabawie!



ZA PISKI

Od zera do bohatera...

Kto z Was, drodzy czytelnicy „Za Pisków", nie wie, kim jest niedawny kandydat na prezydenta Białegostoku z ramienia Podlasia XXI Wieku, Krzysztof Kononowicz? Jeszcze miesiąc temu był on postacią niemal całkiem anonimową. Dziś kojarzy go zdecydowana większość Polaków. Mniejsza o to dlaczego i jak go kojarzy. Sądzę, że każdy ma na to pytanie własną, stosunkowo trafną odpowiedź. Ważne jest to, że z punktu widzenia rozpoznawalności w ciągu miesiąca z „nikogo" stał się „kimś". Dość powiedzieć, że jego przedwyborczą autoprezentację w lokalnej telewizji zamieszczoną na Youtube.com obejrzało 3,68 miliona internautów. Możemy śmiało założyć, że zdecydowana większość z nich to Polacy, gdyż nikt spoza granic naszego pięknego kraju nie zrozumiałby raczej, o co panu Kononowiczowi idzie. Tymczasem zgodnie z szacunkami z marca 2006 mamy 4,3 miliona użytkowników Internetu. Słabo? Plus, minus 85% skuteczności!!! Co więcej, nie jest to „pusty przelot". Internetowa popularność miała bowiem bezpośrednie przełożenie na wynik pana Kononowicza w wyborach. 3,5% głosów, które zdobył w Białymstoku, mogą nie być wynikiem, który powala na kolana. I tak jest to jednak odsetek kilkukrotnie większy od zakładanego przed wyborami. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że Krzysztof Kononowicz to czarny koń tegorocznych wyborów samorządowych, który ilością uzyskanych głosów przebił m.in. osobę tak znaną (głównie z wyrażania publicznie swoich żenująco ksenofobicznych poglądów, ale jednak znaną i to nie od dziś) w świecie polityki jak Wojciech Wierzejski.

Można powiedzieć, że Krzysztof Kononowicz doszedł do wszystkiego wyłącznie własnym, autentycznym talentem (a raczej „talentem"). Jego występ w studiu wyborczym nie obfitował w wizualne fajerwerki (chyba że za takowe uznamy jego fantazyjny sweter). Nie było błyskotliwego scenariusza przygotowanego przez sztab specjalistów, ujęć z czterdziestu pięciu kamer, wykwintnej charakteryzacji czy niesamowitych efektów specjalnych. Sądzę, że po tygodniowych przygotowaniach każdy z nas mógłby bez większych problemów nakręcić coś w tym stylu. O ile oczywiście znalazłby w głowie pomysł na równie nieprawdopodobny, brawurowy występ.

Zróbcie coś niesamowitego, a przy obecnym tempie rozprzestrzeniania się informacji istnieje spora szansa, że rozejdzie się to po kraju o własnych siłach

Spójrzcie teraz przez pryzmat szokującego dokonania pana Krzysztofa na lament rodzimych artystów, że ich twórczość nie zostaje dostatecznie naświetlona w mediach. Jak widać, jeśli stworzy się coś, co wywrze na ludziach odpowiednio duże wrażenie, sami zadbają oni o to, by zobaczyła to jak największa liczba ich znajomych. A znajomi też mają znajomych... I tak aż do osiągnięcia w ciągu miesiąca 3,68 miliona wyświetleń. Bez układów z szefami telewizji, bez proszenia się o miejsce na radiowych playlistach. Zróbcie coś niesamowitego (lub chociaż „niesamowitego" jak pan Krzysztof), a przy obecnym tempie rozprzestrzeniania się informacji istnieje spora szansa, że rozejdzie się to po kraju o własnych siłach. Nie znaczy to oczywiście, że nie należy angażować sił i czasu w promocję – jest to wciąż szalenie istotne – jednak jak widać nie potrzeba w tym celu ogromnych nakładów. Czasem wystarczy nieco konceptu i dobrych chęci.

Próbujcie – może następnym razem uda się właśnie Wam....

Duże Pe

SPRITE JUMP

W październiku na stronie internetowej Sprite'a pojawiła się nowa gra komputerowa. Sprite Jump to nowatorski pomysł twórców interaktywnych przygód Chudego i Kudłatego. To pierwsza gra, która w bezpośredni sposób nawiązuje do kampanii reklamowej marki i emitowanego w wybranych stacjach telewizyjnych spotu. Sprite Jump jest przeniesionym z ekranów telewizyjnych do Internetu „krótkim filmem o zwalczaniu Pragnienia" z dachem i budynkiem w tle. Dla tych, którzy najszybciej poradzą sobie z Pragnieniem, czeka miejsce w rankingu najlepszych wyników, który w wydaniu dziennym, tygodniowym i generalnym jest na bieżąco publikowany na www.sprite.pl









KURTKA ROSSIGNOL

Dla wszystkich pięknych pań i panienek firma Rossignol ma wiele propozycji. Jedną z nich jest kurtka Feather Bubles. Elegancka i modna, dostępna w kilku wersjach kolorystycznych, najciekawsza jest jednak ta – wyróżniający się pomarańcz w wesołe bąbelki. Użyty materiał zapewni, że kurtka nie tylko jest modna, ale też stanowi najlepszą ochronę przed wiatrem, wodą i śniegiem. Więcej na temat produktów Rossignol/Quiksilver/Roxy znajdziecie na www.pmsport.pl

KURTKA COALITION

Tegoroczny model Roar - ostry, lemonkowy kolor pozwoli wyróżnić się zarówno na tle nieba, jak i skał czy drzew. Wszyscy fotografowie pracujący z riderem Coalition Bartkiem Rusinem będą bardzo zadowoleni, gdy będzie leciał w swojej odblaskowej kurteczce. Poza kolorem, kurtka Roar ma także doskonałą jakość i wszystkie potrzebne gadżety i patenty.

Cena 650.-

PLECAK TEA TIME

Prosty, ale elegancki i wytrzymały plecaczek z miejscem na laptopa, dodatkowo wzmocniona kieszonka na elektroniczny gadżecik, usztywniane plecy, pas na deskę, pas biodrowy i ten trzeci trochę wyżej.

Cena 229.-



KURTKA NFA

Kurtka czołowego zawodnika jeżdżącego dla NFA/Option – Kevina Sansalone. Posiada wszelkie możliwe innowacje, jakie tylko snowboardziści mogą sobie wymarzyć: odpinany kaptur, podklejane szwy, ergonomiczne porty zamkowe, metkę pochłaniająca bakterie i nieprzyjemne zapachy, ergonomiczne wykończenie w miejscach zginania (łokcie), otwory wentylacyjne, regulację rękawa – gumowe zatrzaski, pas biodrowy, odpinany, wykończony gumową taśmą z silikonem, tajne kieszonki, wewnętrzna kieszeń na MP3, kieszeń na telefon z gwizdkiem bezpieczeństwa i wiele innych ciekawych gadżetów.





LOFT

Śpiwór z rękawkami?! W Billabong prawie wszystko jest mozliwe i wszystko jest na pełnym wypasie. Oryginalny krój, krateczka prawie jak z tego drogiego na B, odpinany dół, czyli dwa w jednym, a wszystko ocieplane i z wysokiej jakości membrany.

Cena 1249.-

NFA SANSALONE

Wodoodporne, nieprzemakalne, oddychające, z gumowanymi zamkami. Do tego podklejane szwy, metka pochłaniająca bakterie i nieprzyjemne zapachy, otwory wentylacyjne, wewnętrzna nogawka, pas wykończony gumową taśmą z silikonem, haczyk na sznurówkę, innowacyjne kieszonki, możliwość spięcia z kurtką... Uff, czego jeszcze wam potrzeba? Spodnie snowboardowe NFA Sansalone mają wszystko, a nawet jeszcze wiecej!





SPODNIE ROAR

Spodnie Roar są uzupełnieniem do kurtki o tej samej nazwie. Są bardzo dobrze skrojone i wykonane. Materiał jest idealny, nie za gruby, nie za cienki, woododporny i nieprzewiewny, ale wcale nie krępuje ruchów. Wyposażone są we wszystkie potrzebne kieszenie, zapięcia, dodatkowe nogawki. Dobry wybór do dobrej jazdy.

Cena 450.-

KURTKA CREPEL JACKET

Pochodzi z linii signature, współprojektował ją Mathieu Crepel jeżdżący na snowboardzie w barwach Quiksilvera od 2004 roku. Kurtka Crepel Jacket posiada membranę Quiktech 10 000 (wodoodporność 10 000mm, oddychalność 10 000gr/m3/24h), klejone szwy, wodoodporne zamki, podszewkę z polaru ze wstawkami z siateczki, kieszenie na gogle i sprzęt MP3 i, co ciekawe, camel bag o pojemności 1l umieszczony w wewnętrznej kieszeni na piersi.

Cena: 1199.-

KURTKA PEGASUS

Najbardziej zaawansowana technologicznie, posiada membranę Gore Tex, system antylawinowy RECCO, a w warstwie wewnętrznej podpinaną kamizelkę z systemem air vantage - kanaliki powietrzne, które po wypełnieniu wdmuchanym przez rurkę powietrzem stanowią dodatkową izolację przed zimnem.

Cena: 2299.-



RĘKAWICZKI GRENZADE

Grenade jest obecnie najbardziej zajawkową firmą produkującą rękawiczki dla snowboarderów. Nietypowe designy i różnorodne modele wyróżniają tą firmę spośród innych. Promodel rękawiczki Eddiego Walla, znanego z Forum i jednopalczasta rękawiczka Dishonorable Discharge, która w środku chowa cieniutką pięciopalczastą rękawiczkę do parku – są jednymi z najfajnieszych. Sprawdzcie na www.grenade.pl.

Cena 219.- i 339.-



KASK ROXY POLLKA DOTS

Czyli modnie i bezpiecznie na stoku. Wykonany w technologii trójwarstwowej, skorupa jest z fiberglassu. Posiada też warstwy wewnętrzne odpowiedzialne za kompresję uderzenia oraz warstwy odpowiedzialne za wygodę. Posiada atest Międzynarodowej Federacji Narciarskiej FIS.

Cena: 349.-

WOOKIE FIRMY NFA

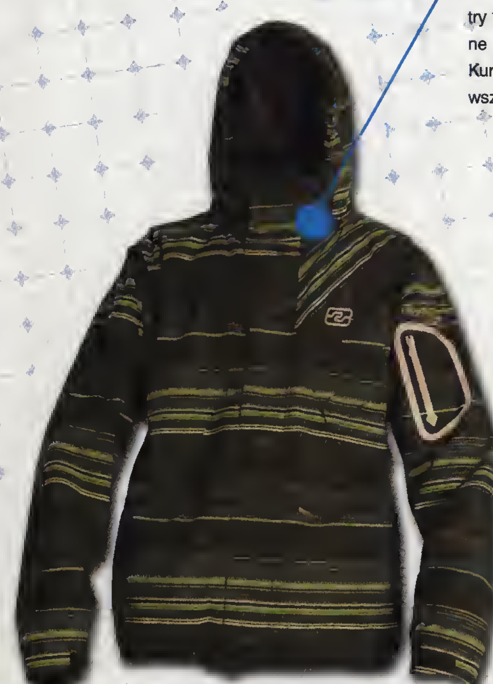
Ta kurtka to idealne rozwiązanie dla każdego, kto chce jeździć w wygodnej i sprawdzonej kurteczce. Nieprzemakalna i oddychająca, ma wszelkie możliwe dodatki, łącznie z metką pochłaniającą zapachy i kieszonki na elektroniczne gadżety. Maskujący nadruk na kurtce będzie pomocny w razie ucieczki przed strażnikami Parku Narodowego.



BAR CODE

Co tu dużo mówić, kurteczka, którą wybrał sobie team rider Billabong, Marek Doniec. Unikatowy design, wysokie parametry 10 000 / 10 000, polarowa podszewka, wzmacniane nieprzemakalne zamki, klipsy magnesowe i dużo innych użytecznych gadżetów. Kurteczka przetestowana w najtrudniejszych warunkach, zawsze in plus. Naprawdę warto!

Cena sklepowa 1249.-





GOGLE DRAGON

Wśród wielu firm produkujących gogle Dragon wyróżnia się szeroką gamą kształtów i kolorów ramek i pasków (do wyboru modele Dx, Mace w naprawdę wielkiej ilości wzorów). Szczegóły techniczne szkieł Dragona mają najwyższe parametry, a za świadectwo ich niezawodności niech posłuży, że jeżdżą w nich np. Wojtek Pająk i Marek Doniec.

Cena 279-439.-



ROXY THERMAL CREW

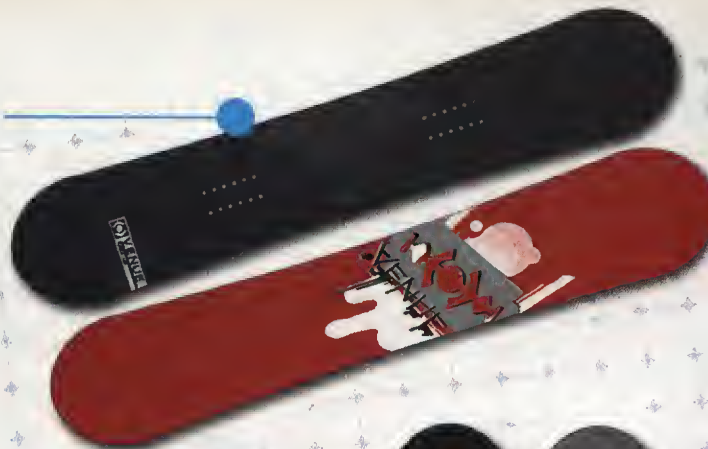
Bielizna oddychająca z systemem Quik Dry pokryta jest preparatem Dermafresh neutralizującym przykry zapach, a poza tym jest niezwykle efektowna.

Cena: 179.-

DESKA VENUE TORQUE

Deska na każdy teren. Rdzeń skonstruowany z giętkiego i miękkiego drewna Poplar. Specjalny profil deski, gdzie nose jest szerszy niż tail i zaokrąglone, symetryczne krawędzie powodują, że deska dobrze się prowadzi i łatwo skręca. Przeznaczona dla początkujących i średnio zaawansowanych. Doskonała także dla tych, którzy chcą rozwijać swoje umiejętności. Duża liczba insertów pozwala na precyzyjne dopasowanie wiązania do deski. Przeznaczenie: all mountain

Cena 999.-



ROSSIGNOL JEREMY JONES

Nowy kształt, 3 szerokości talii, 8 nowych długości – deska Jones z 2006 roku jeździ lepiej, szybciej, mocniej! Nadzwyczajna przyjemność z jazdy dzięki górskiemu doświadczeniu Jeremy'ego Jonesa. Deska ta jest wykonana z najlepszych możliwych materiałów, z wykorzystaniem najnowocześniejszych rozwiązań. Nie ma co się zastanawiać, tylko brać i jeździć, a na pewno nikt nie będzie żałował.

Cena 1899.-

VENUE SUGAR WMN

Deska posiada symetryczny kształt Twin Tip, dzięki czemu dobrze sprawdza się w snowparku. Sidewallowa konstrukcja sprawia, że deska z łatwością się prowadzi oraz pewnie przechodzi z krawędzi na krawędź. Zdecydowanie nie jest przeznaczona dla grzecznych pensjonarek. Spiekany ślizg i podwójne taśmy karbonowe dodają desce mocy i wytrzymałości.

Cena 1399.-



WIĄZANIA ROSSIGNOL JONES

Do kompletu deska i buty trzeba mieć też wiązania sygnowane nazwiskiem jednego z czołowych riderów Rossignola. Najwyższa jakość i wszelkie potrzebne udogodnienia: regulowana, aluminiowa piętka, wzmocnienia po bokach podstawy ze stali. Wiązanie wyposażone jest też w podkładkę amortyzującą pod piętą i palcami Eva z dodatkiem syntetycznej skóry, regulowany pedał gazu, a także wiele innych bajerów, które na pewno przydadzą wam się w górach.

Cena 839.-





BUT ALL TERRAIN

Zaprojektowany przy współpracy z czołowym riderem Rossignol – Jeremy Jonesem. But All Terrain wykonany jest w 100 % ze skóry, wyposażony w żelową poduszkę w piramidalnej podeszwie. Wkładka wewnętrzna asymetryczna (EVA), termicznie formowana, posiada usztywnienie kostek oraz język 3D. Dodatkowo wewnętrzna wkładka posiada górny system sznurowania.

Cena 999.-

WIĄZANIA DRAKE – MENTOR

Lekkie i technicznie zaawansowane wiązania. Nowa płyta kompozytowa, zbudowana z jednej całości, wpłynęła na uzyskanie lepszej sztywności wiązania i mniejszej wagi. Nowością jest szybki system regulacji rozmiaru. Górny pasek posiada szybką regulację bez konieczności odkręcania jakichkolwiek śrubek. Pięciostopniowe, aluminiowe pompki zapewniają ekspresowe zapinanie wiązania. Regulowany przedni i tylny pedał gazu. Maskownica na całości sprawia, że but przylega równomiernie do wiązania, a żelowa wkładka na pięcie amortyzuje drgania. Przeznaczenie: freeride, all mountain.

Cena 999.-

DESKA RIDE DH

Deska po prostu stworzona do freestyle'u. Idealna do jazdy w snowparku, zarówno na skoczniach jak i na boxach, railach i innych przeszkodach. Wymarzona dla jibberów – dzięki zastosowaniu krawędzi slimwall nie zatniesz krawędzią o rurę. Przy tym wytrzymała i świetnie wyglądająca, więc bajerka jest.

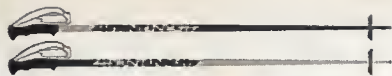
Cena 1899.-



OPTION MIRROR

Ta deska jest zwycięzcą nagrody „Transworld Snowboarding Good Wood". Dla Mirrora nie ma granic. Spłaszczony nose i tail. Laminat z Carbon Triax daje desce ekstra wyskok i maksymalną wytrzymałość deski. Dla riderów, którzy pragną spędzać dużo czasu w parkach i miejskich terenach.







4FRNT – NARTY MSP

Jedne z najlepszych nart freestyle'owych na rynku. Duży promień skrętu i stabilność prowadzenia przy dużych prędkościach to ich atut. Są dodatkowo poszerzone pod butem, co pozwala jeździć w każdych warunkach – są wystarczająco szerokie na świeży puch, ale na tyle wąskie, żeby rewelacyjnie spisywać się na trasach i w parkach. Wymiary nart są proporcjonalne – szerokość rośnie wraz z długością, wiec narciarze, którzy mniej ważą, nie będą mieli problemu ze znalezieniem modelu dla siebie. Do zestawu trzeba dobrać też kijki i wiązania i ruszać na podbój gór!





DESKA RIDE SOCIETY

Najlepsze technologie, jakie kiedykolwiek wymyślono do produkcji desek, zostały zastosowane w konstrukcji właśnie tej deski. Idealna do freeride'u, ale daje też radę zarówno w parku jak i na mieście. Ulubiona deska Mikey Leblanca, który wybiera tylko wytrzymały i sprawdzony sprzęt.

Cena 2360.-

OPTION SANSALONE / SANSALONE WIDE

Deska dla prawdziwych freestyle'owców. Specjalna konstrukcja deski – głębokie wycięcie w ksztalcie litery V – pozwala na usztywnienie między wiązaniami, co daje większą kontrolę na railach i w parkach. Drewniany rdzeń Select Core daje wysoki współczynnik wytrzymałości i rozproszenie energii, co powstrzymuje pęknięcia. Ślizg tej deski zrobiony jest z najlepszych materiałów, stworzony dla większej wytrzymałości i wchlaniania wosku. Dodatkowo, pod wpływem ujemnej temperatury logo na ślizgu zmienia kolor.

THIRTY TWO TIMBA

Buty Timba oznaczają jakość adekwatną do osiąganych wyników na stoku. Zapewniają mocne wrażenia przy maksimum bezpieczeństwa. Wyposażone w specjalny system G2 Full Impact, który absorbuje drgania podczas jazdy na desce oraz chroni staw skokowy przed uszkodzeniami. Duże brawa również za lekką wagę, co w przypadku firmy 32 nie jest wyjątkiem.

cena 850.-

THIRTY TWO LASHED

Wysokiej klasy buty o lekkiej konstrukcji. Specjalny system ochraniający kostkę. Bardzo dobrze zaprojektowana podeszwa, która tłumi drgania podczas jazdy i poprawia komfort w trakcie chodzenia. Wyraźna różnica i poprawa jakości oraz ergonomii buta w porównaniu z ubiegłym rokiem. Twardość buta pozwala na jego uniwersalne wykorzystanie. Buty generalnie zachwycają nowym designem oraz wytrzymałością w kontakcie z bujną wyobraźnią snowboardzistów.

cena 799.-



WIĄZANIA 604/TEAM

Wybór pro riderów jeżdżących dla Option: Jordana Mendenhalla i Kervina Sansalone'a. Główną cechą ich wyboru jest solidne wykonanie, wytrzymają ostrą jazdę. Stworzone dla wymagających zawodników, a do tego bardzo komfortowe. Posiadają wszelkie możliwe udogodnienia potrzebne do jazdy i freestyle'u. Są elastyczne, mają regulowaną wysokość backów, ergonomiczny profil, szybkie i niezawodne pompki przy paskach. Jedne z lepszych i lepiej wykonanych wiązań na rynku.

THE MINI

Rewolucja na freestyle'owym rynku. Zastosowano normalną szerokość w krótkiej desce tak, aby każdy mógł czerpać maksimum przyjemności z jazdy na snowboardzie od pierwszej próby. Dedykowana zarówno początkującym, jak i zawodnikom. Początkujący będą czynić na niej niesamowite postępy, zaawansowani czerpać niesamowitą radość w doskonaleniu nawet najtrudniejszych trików.

Cena (z wiązaniami HC 2 FIFTY V1) 999.-









BEZCENNY RAP?

Niby 3H czytamy już jako „hajs hajs hajs", a nie „hardcore hip-hop" i od dawna wiadomo, że „nic za friko", ale w branży mówi się o pieniądzach dość niechętnie. Jedną rzecz wiadomo, polski hip-hop nie jest bezcenny. Oto cennik pozwalający wam zorientować się, co i jak

tekst Marcin Flint
rysunki Patipat

1 – Zarobek z jednej płyty przypadający na członka wszem i wobec znanego zespołu. Duża wytwórnia.

1-2 – Koszt wytłoczenia płyty.

2 – Estetyczna okładka w stylu „digipak" z czarno-białą poligrafią do niedawno wypuszczonego nielegala. Na cenę mógł mieć wpływ duży nakład rzędu 1000 sztuk.

6 – Koszt oryginalnej, ekskluzywnej poligrafii do jednej płyty. „Każdy element poligraficzny inny niż zwykła okładka generuje dodatkowy koszt."

6 – Tyle pieniędzy ma dystrybutor z jednego egzemplarza albumu, który na półce w sklepie kosztuje 30 PLN.

30-50 – Cena sklepowa winylowego singla.

35 – Godzina wynajmu studia w południowo-wschodniej Polsce.

40 – Metr wygłuszenia. „Można kupić specjalną matę wygłuszającą, gdzieś z 4 dychy za metr kwadratowy, albo zastąpić to domowym tworem typu wytłoczki po jajkach i na to jakiś koc."

40-200 – „Winylowy album kosztuje od 40 do 200 zł, bo tyle potrafią kosztować specjalne trzypłytowe albumy składankowe."

80 – Godzinowa stawka w podwarszawskim studiu zaradnego hip-hopowego wydawcy. W cenie realizator.

100 – Tyle dostaje się na głowę za prowadzenie audycji hip-hopowej w państwowym radiu. „Szef może za swoją audycję przytulić 5-6 razy więcej."

100-150 – Stawka intensywnie działających, modnych na forach internetowych i blogach (poza szczególnie czujnymi melomanami, często nigdzie indziej) producentów undegroundowych.

100-2000 – „Co to znaczy 'doskreczować numer' – zrób cuty, zrób same skrecze, wymyśl refren, wyskreczuj z podesłanych tekstów?", irytuje się pytany o cenę DJ i po naciskach podaje olbrzymi przedział. „To zależy od masy czynników. Najbardziej wycenia się czas, który musisz poświęcić."

140 – „Mastering w najlepszym do tego studiu w Polsce kosztuje 140 PLN za utwór bez vatu. Można masterować taniej, jednak nie z taką jakością dźwięku", informuje wydawca płytowy.

200 – Koszt masteringu jednego utworu w jednym z warszawskich studiów. „Dzięki dziesięcioletnim układom i znajomościom, płaciłem połowę", zdradza stołeczny weteran rapu.

200 – „Ostatnio raperzy/zespoły bez kontraktu płacą mi 200 zł za bit. Jeśli chodzi o te legalne produkcje, to od ostatniej dużo się zmieniło, ale jeszcze nie myślałem o stawkach", przyznaje rozchwytywany producent z undegroundowej czołówki.

200 – Miesięczny przychód z tzw. „ZAIKS-ów" (tantiemów za odtwarzanie utworów w mediach) dla artysty siedzącego w rapie właściwie od jego początku. „Nie wiem, za co są te pieniądze", zdradza. „Kompletnie nie wiem, kto płaci, a kto nie. Na pewno TVN i telewizja publiczna."

200-300 – Gaża dla rapera z doświadczeniem medialnym za konferansjerkę na branżowej imprezie. Jeśli fuchę taką zleca agencja, można liczyć na 1000-1200 PLN.

200-300 – Gaża, jaką fotograf z branżowej czołówki woła za sesję okładkową znajomym wydającym płytę własnym sumptem. Duża wytwórnia płaci 1500-2000 PLN. „Generalnie fotografia jest traktowana jako coś, co powinno się dostać za darmo albo za podpis na jakimś tam medium. A co ja, kurwa, mam jeść w domu okładki płyt?", pyta poirytowany.

205 – „Dobre igły do samplowania (...). Ja mam systemy dwa Shure m44-7, które są przede wszystkim do skreczu. Igły lepiej nówki niż używane kupować", chwali się producent i DJ ze Śląska.

250 – Za „coś, co spełnia funkcję przedwzmacniacza. To mega prosty model, zazwyczaj wykorzystywany do gitar, więc nienajlepszy, ale jako tako działający". Dane od producenta a zarazem rapera z północy.

300 – i w górę... Tyle według warszawskiego rapera mającego w tym roku płytę na koncie płaci się za gościnny udział „żywego muzyka" czy też featuringi (choć dawno za żadne nie płacił).

300-350 – Zarobek „dopowiadacza", czyli hypemana (jednego z dwóch) na koncercie stołecznej sławy. Jest to część stawki, w tym wypadku mówimy o stawce uśrednionej.

300-600 – Honorarium koncertowe jednej z ikon undergroundu. Obejmuje dwie towarzyszące mu na scenie osoby.

400 – Według rapera z Kujaw, już za tyle można „dorwać w miarę porządną pojemnościówkę", czyli mikrofon pojemnościowy.

400-500 – Kwota dla polskich producentów płacona przez jeden z legendarnych warszawskich zespołów. Potwierdza się też w wypadku innych pytanych artystów z kontraktami, może tylko zaczyna sto złotych niżej.

500 – Stawka za imprezę, poniżej której stara się nie schodzić warszawski klubowy DJ z doświadczeniem (choć może zrobić wyjątek dla malutkich, klimatycznych klubów z super publicznością). Mowa o kwotę na rękę, więc w grę wchodzi jeszcze dojazd i hotel.

500 – Pieniądze, jakie za koncert otrzyma raper – ikona undergroundu ze wschodu, przy tym słynny freestyler – z DJ'em.

500 – Powołanie do życia strony internetowej zespołu. Brutto.

500 – Teledysk kręcony po znajomości dla debiutującego (w pełnym wymiarze) na scenie artysty. „Kamera na trzy dni po kosztach



i z bardzo dużym rabatem, montaż za friko, przegranie na betę za friko, no i przede wszystkim praca ludzi przy klipie (kamera, scenariusz, wypożyczenie klubu) – wszystko bez kasy."

800 – Tyle powie jeden ze słynniejszych czeskich producentów, kiedy będzie się chciało u niego kupić beat.

800 – Stawka zapłacona znanemu warszawskiemu raperowi za featuring parę lat temu.

900 – Cena laptopa z drugiej ręki, który chce właśnie kupić jeden z producentów. Zaznacza, że to „mocna druga ręka".

1000 – Za tyle kolega koledze zmontował zgrywki z koncertów w rapowy wideoklip, który mogła (i właściwie może dalej) puścić telewizja.

1000 – Tyle średnio wydawał w miesiącu warszawski DJ i producent na płyty do grania oraz samplowania. Zdarzało się oczywiście, że pękała kwota dwukrotnie wyższa.

1000 – Znani, szeroko obecni na najważniejszych produkcjach, a zdaniem wielu najlepsi w swoim fachu producenci z Dolnego Śląska nigdy nie dostali ponoć więcej za jeden podkład.

1000 – Tyle za podkład potrafił zażądać od wykonawcy z kontraktem znany producent i muzyk z Katowic. Potem cena potrafiła spaść trzykrotnie.

1000 – Kwota, w jakiej wydawca z południowo-wschodniej Polski zamknął przygotowanie poligrafii płyty.

1000-1500 – „Przypominam sobie tylko kilka historii, w których płaciło się za featuringi. Na przykład składanki producenckie", tłumaczy znany raper i wymienia kwotę zaznaczając, że wpłata jest jednorazowa i nieuregulowana zostaje kwestia tzw. „ZAIKS-ów".

1200 – Kwota, której zażądał od zespołu za beat jeden z niemieckich producentów udzielających się wcześniej na jednej z polskich produkcji.

1200-1500 – Tak należy szacować „minimalny koszt tradycyjnej płyty z prostą szatą graficzną. Powstaje jednak problem, co z tą 500-ką sztuk potem zrobić (indywidualnemu artyście pozostaje sprzedaż internetowa)". Według właściciela niezależnego labela, pytanego o najtańszą możliwość wypuszczenia płyty na własną rękę.

1500 – Koszt paliwa i rachunku telefonicznego wydawcy właśnie debiutującego na rynku z pierwszą płytą.

2500 – Koncertowa stawka rozpoznawalnego stołecznego zespołu z długim stażem, ale jeszcze bez własnej płyty.

2500 – Zarobek rapera na płycie wydanej w lubianym, aktywnym promocyjnie warszawskim wydawnictwie.

3000 – Tyle może otrzymać producent za muzykę do reklamy. „Ale jaką stawkę powiesz, taką będziesz miał", zastrzega autor podkładu.

3000 – Za tyle podobno producent może dostać kultowy sampler „MPC 2000 XL ze wszystkimi bajerami."

3000-3500 – Tyle netto („po pewnym czasie nauczyliśmy się to ustalać wcześniej") kosztuje koncert jednego z bardziej znanych stołecznych raperów oraz każdego z jego projektów. W najlepszym wypadku wyciągnął koło 5-6 tysi. Rzecz jasna, z takiej stawki odpala się dole hypemenowi i DJ'owi.

3000-10000 – Chcesz mieć na koncercie któregoś z artystów z wyspecjalizowanego w hardcorze warszawskiego wydawnictwa? Informator zaznacza, że w wypadku niebiletowanych imprez w środku miasta kwota może sięgnąć nawet 12-15 tysięcy, przy czym z tego trzeba zapłacić dźwiękowcowi, ludziom od światła, videodidżejowi i całej reszcie.

4000 – Kwota, od której dyskusję o koncercie zaczyna zasłużony i dysponujący dorobkiem płytowym zespół z Wielkopolski.

5000 – „Dwa nienajlepszej klasy gramofony, ale wystarczające, by DJ mógł pracować, i jakiś mikser z działającym crossfaderem. Nowe. Jeśli chodzi o używane, można było w tej cenie kupić naprawdę fajny sprzęt, tylko trzeba było trafić na okazję."

5000 – Tyle na głowę mógł w formie zaliczki otrzymać raper, przynosząc „taśmę matkę" dużej wytwórni. „Mogły być to pierwsze i ostatnie pieniądze przy sprzedaży sięgającej 40000 płyt", dorzuca raper.

5000 – Kwota proponowana raperowi za udział w reklamie lodów.

5000-25000 – Nakłady na promocję „zależnie od artysty i spodziewanego zainteresowania", wg szefa niedużej, prestiżowej stołecznej wytwórni.

6000-7000 – Wypuszczenie winylowej „dwunastki". Zresztą kwota za „siódemkę" jest ponoć właściwie taka sama. „Drogi biznes, ale wart zachodu", zarzeka się autor.

6000-10000 – Koszt nagrania, miksu i masteringu profesjonalnej i chwalonej płyty warszawskiego artysty. Dodajmy, że z racji na bogate, nie do końca hip-hopowe aranżacje, żywe instrumenty i ambicje twórców, mogło być to wyzwanie dla ludzi w studio.

8000 – Za tyle można zaprosić najsłynniejszy polski hip-hopowy zespół z najbardziej utrwaloną w pamięci słuchaczy nazwą. „Przed wydaniem płyty braliśmy piątkę", przyznaje jeden z raperów.

10000-12000 – Dwa gramofony, mikser, laptop plus sprzęt w rodzaju Final Scratcha, Serato itd., czyli rzeczy dla DJ'a, który nie chce wydawać na winyle majątku i grać z mniej narażonych na zniszczenie płyt CD czy mp3 dowolne gatunki.

10000-15000 – Taki zysk na jednej wydanej (ale nie samemu, z tą wydaną w samemu jest już gorzej) płycie szacuje znany, szeroko obecny w mediach raper warszawski. Już ze wszystkim, z zaliczkami, z procentami od zysku. Do podziału na wszystkich twórców. „Kwotę dostaje się w iluś tam ratach, gdzieś tam się to zbiera do momentu, w którym płyta przestaje się sprzedawać. Wyżyć się z tego da."

12000 – Koszt wypuszczenia podwójnego winyla i jego masteringu.

15000 – Budżet jednego wideoklipu dla artysty hip-hopowego w jednej z dużych wytwórni.

15000 – Całkowity budżet na wideoklipy u artysty w małej wytwórni właśnie debiutującej na rynku.

16000-18000 – Suma przeznaczona na pierwszy klip rapowego duetu. Teledysk miał jeden dzień zdjęciowy i wykonali go najpopularniejsi w branży autorzy teledysków w zachodniej Polsce. Mówi się, że są rozpieszczeni i za mniej im się nie chce, choć wtajemniczona osoba z ich miasta mówi, że rozmowa zaczyna się od 10000.

20000 – Najwyższa potwierdzona i zapłacona stawka koncertowa, do jakiej udało się dotrzeć. Łatwo się domyśleć, o kogo chodzi – hip-hopolową śmietankę jeszcze przed zważeniem.

25000 – Całkowity koszt przygotowania nowej płyty duetu rapowo-producenckiego (bez wydatków na podkłady i skrecze). Solista, którego płyta powstawała równie długo i również z użyciem żywych instrumentów, podaje kwotę o 5 tysięcy wyższą.

35000 – Koszt efektownego videoklipu promującego dużą trasę koncertową, którą wspomagał finansowo i firmował logiem producent obuwia sportowego.



Niewiele jest tak kontrowersyjnych osób w hip-hopowym świecie. Przez wielu nieustannie krytykowany, dla tysięcy innych jest żywą legendą i wzorem postępowania, jeśli chodzi o biznes. Facet, który bez ogródek mówi, że muzyka to dla niego bardziej złoty interes niż pasja

P. Diddy

taki tam bad boy

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Forsy ma jak lodu, kobiety do niego lgną, a historia na pewno o nim nie zapomni. Sean Combs, Puff Daddy, Diddy, P. Diddy. Wypunktujmy zatem jego karierę i zastanówmy się, czy rzeczywiście hałas, jaki towarzyszy jego osobie, jest uzasadniony.

ZANIM ZOSTAŁ BAD BOYEM

Biedy w domu nie zaznał. Urodzony w listopadzie 1970 r. Combs jest rodowitym nowojorczykiem. Ale w Harlemie, gdzie przyszedł na świat, mieszkał ledwie dwa lata, gdy wraz z matką i siostrą przeprowadził się do Mount Vernon – spokojnej dzielnicy na obrzeżach miasta. Ojca stracił w wyniku zabójstwa, zanim jeszcze nauczył się chodzić. „Dowiedziałem się o tym dużo później. Przez wiele lat nie znałem prawdziwego powodu, dlaczego nie ma w domu taty. Ale to chyba dlatego, że byłem jedynym mężczyzną w domu, tak szybko nauczyłem się odpowiedzialności za swoje życie i podjąłem odpowiednie kroki, by moja rodzina była ze mnie dumna".

No i faktycznie szybko ruszył w pogoń za sławą, pieniędzmi i blichtrem. Najpierw był tancerzem przed koncertami Heavy'ego D i jego chłopaków. Heavy szybko zrozumiał, że ma do czynienia z naprawdę ambitnym i obrotnym młodzieńcem, polecając go wytwórni Uptown. Tam Diddy nabierał pierwszych biznesowych szlifów, podejmując się owocnych praktyk. Wracając do umiejętności tancerza – nie mnie oceniać te wyczyny, ale zdaniem niektórych fachowców rapowanie wcale nie jest najgorszą stroną Combsa. Wnioski wyciągnijcie sami.

Miał 19 lat, gdy włodarze Uptown, bardzo zadowoleni ze współpracy z nim, zaproponowali Diddy'emu bardzo odpowiedzialną funkcję A&R labela. No i nawet wrogowie naszego bohatera muszą oddać mu cześć na tym polu. On naprawdę ma dobre ucho i wie, na jakie konie postawić, by pod koniec wyścigu odebrać zasłużoną wygraną. Pierwszymi osobami, które sprowadził do Uptown, były wokalistka Mary J. Blige, raper Father MC i zespół r&b Jodeci. Trzy strzały w dziesiątkę.

OD ŚMIERCI DO ŚMIERCI

Dobra passa Diddy'ego trwała do 1991 r. Wówczas to podjął się współorganizacji charytatywnej imprezy, która łączyła mecz koszykówki i koncerty. Niestety, w jej trakcie doszło do zamieszek, które zaowocowały wybuchem paniki i śmiercią dziewięciu osób – zostały stratowane. Diddy bardzo przeżył to wydarzenie. Co prawda uniknął kary pozbawienia wolności, gdyż odpowiedzialność spadła na innych ludzi, ale – jak sam wspomina – „To było coś strasznego. Przez kilka tygodni nie mogłem się pozbierać, codziennie miałem przed oczyma ofiary tej imprezy. Jedyne co mogłem zrobić, to wziąć się jeszcze mocniej niż wcześniej do roboty i zmazać tę plamę na moim nazwisku".

Nadmiar ambicji to dobra sprawa, ale utrudnia grę zespołową. A Puff Daddy coraz bardziej zaczął dominować w Uptown Records, działając na nerwy starszych stażem kolegów, będących w dodatku w hierarchii wytwórni zdecydowanie nad nim. Zwolniono go w 1992 r. No i tu zaczyna się ten okres kariery, który nas najbardziej interesuje. Puff długo zastanawia się, jak wykorzystać zdobyte doświadczenie i znajomości. Podpisuje kontrakty z Craig Mackiem i Notoriousem B.I.G., z hukiem rozpoczynając działanie własnej oficyny – Bad Boy Records. Ale, ale – label był tylko

jedną z części wielkiej firmy Bad Boy Entertainment, w skład której wchodzi teraz też firma ubraniowa Sean John, kilka małych firm zajmujących się produkcją filmową, działalnością charytatywną, produkcją muzyczną. Mały kolos. Wartość rynkowa w granicach miliarda dolarów.

1994 r. był dla Puffa dopiero zapowiedzią wielkich triumfów i najbardziej szczęśliwego okresu w życiu. Jako szef Bad Boya, producent wykonawczy i po prostu bitmejker odpowiadał za projekty Biggy'ego, Craig Macka, 112, Faith Evans i Total. Produkował kawałki niemal wszystkich znanych postaci światka r&b, a jakby tego było, wraz z Notoriousem stanął na pierwszej linii frontu w konflikcie East Coast-West Coast. Cena za tę zuchwałą postawę okazała się ogromna. Najpierw poległ 2Pac, a Puff Daddy'ego długo podejrzewano o udział w zamachu na Shakura. Zanim na dobre się wyplątał z tej sprawy, zginął jego największy przyjaciel. Były diler narkotyków, raper uznawany niemal bezsprzecznie za króla Nowego Jorku. Notorious B.I.G. na chwilę przed wydaniem swojego drugiego albumu, podwójnego „Life After Death", został zastrzelony. Był 9 marca 1997 r.

JUŻ SOLO

Nie brakowało głosów, że tak naprawdę Sean Combs doskonale wiedział o możliwości zamachu na Biggy'ego. Ba nawet więcej – sugerowano, iż mógł maczać palce w całej tragedii, będąc świadomym, iż podniesie to sprzedaż albumu Biggy'ego i narobi dużo szumu przed planowanym debiutem solowym Puffa. Dowodów na to znaleźć się nie udało. Co stało się później? Chyba każdy pamięta. „I'll Be Missing You" z Faith Evans, album „No Way Out" i całkowita dominacja w 1997 roku. Puff nie wyglądał jednak na szczęśliwego. Jakby coś w jego życiu się zawaliło. Stracił kreatywność muzyczną. Kiedyś jego bity i remiksy z miejsca podbijały kluby, z biegiem czasu zaczęły irytować ciągłym sięganiem po spuściznę muzyki lat 80. Bez przeróbek, bez kreatywnego samplingu. Po prostu pętla za pętlą, motyw przewodni za motywem przewodnim, miały być takie, jak oryginały. Podobać się ludziom starszym, którzy doskonale znali wersje oryginalne, a trafiać też do młodych. To nie mogło długo pociągnąć...

W 1999 r. Daddy wydaje drugie solo – „Forever". I co? I nico. Dno. Płyta słaba. Wtórna. Bez hitów. Jakby tego było mało, zaczęło się sypać imperium Bad Boya, bo płyty z logo tego labelu nie generowały już takich zysków, a sam Puff musiał wydać np. 2 miliony dolarów odszkodowania za fizyczną napaść na Steve Stoute'a, menedżera Nasa, w związku z aferą towarzyszącą klipowi do „Hate Me Now". Król nagle stawał się nagi. Stracił koronę najlepszego rap biznesmena na rzecz Mastera P, stracił kolejnych artystów z wytwórni (The Lox odeszli do Ruff Ryders), jego ekipa coraz mniej liczyła się na muzycznej scenie. Puff jednak miał zawsze głowę na karku i wiedział, co zrobić, by nie stracić chociaż miejsc na okładkach poczytnych magazynów. Obalany król związał się z królową. Latynoską w dodatku. Jej imię Jennifer, nazwisko Lopez. Resztę znacie dobrze. Dzięki Puffowi J. Lo zaistniała na scenie muzycznej i z liczącej się, ale wcale jeszcze wówczas nie największej latynoskiej gwiazdy, stała się największą na przełomie wieków gwiazdą Hollywood. Skończyło się, jak się skończyło. Puffy narozrabiał w klubie, Jennifer zwróciła zaręczynowy pierścionek, a Shyne trafił do pierdla.

LATA POSUCHY I REAKTYWACJA

Od 2001 r. Puffowi szło średnio. Niby wciąż był niemal non stop obecny w popularnych magazynach i stacjach telewizyjnych, ale jego kolejne albumy okazywały się klapą. Gospelowe wydawnictwo „Thank You" możemy pominąć, ale „The Saga Continues", pierwsze wydane pod pseudonimem P. Diddy, było już wpadką poważnych rozmiarów. Nie pomogli nawet The Neptunes. Później było „We Invented The Remix" i jubileuszowe „Bad Boy's 10th Anniversary... The Hits".

Nie było dobrze. Eightball & MJG, których Diddy zaprosił do swojego labelu licząc, że zdyskontują i na Wschodzie swoją ogromną popularność, zawiedli. Powrót nawróconego i odwróconego w końcu Mase'a przeszedł bez echa. Wokalista Mario Winans nie okazał się drugim Usherem. 112 niby wciąż sprzedawali w Stanach sporo płyt, ale gdzie im tam do popularności, jaką kiedyś mieli chociażby Boyz II Men. Słoneczko na nowo zaświeciło dopiero wiosną. Najpierw Puff zaczął promować młodziutką wokalistkę Cassie i trafił całkiem dobrze. Teraz zaś wydał nowy album, w mega gwiazdorskiej obsadzie. I na szczęście pozbawiony praktycznie jego bitów. Czy to wystarczy, by na nowo zasiąść na tronie?

PEJA SLUMS ATTACK



OD A DO Z

ANTY

Peja: Pierwszy szerzej zaprezentowany kawałek, który wyszedł poza własne podwórko i od razu z oddźwiękiem medialnym. Spontan. Spawacze mieli pętlę Snoopa, nagrali zwrotkę, a ja akurat przyjechałem do nich i pierdolnąłem swoją tak z marszu. No i poszło w świat. Czysta amatorka, aż łezka się kręci w oku. Nie żałuję, ale nie zrobiłbym tego po raz drugi. Liroy ciągle jest w grze, ale „Anty" na pewno przyczyniło się do załamania jego kariery. Teraz mogę nagrać „Anty" przeciwko politykom na przykład.

BALANGI

P: Ja już nie piję 19 dni! (śmiech). Jak już piję, to nie bez powodu jeden kolega nazywa mnie polskim ODB... No, co – lubimy się pobawić, potańczyć, przyjebać komuś w łeb... (śmiech).

Decks: Nie, ja nie lubię przyjebać komuś w łeb, bo to mają być balangi.

P: Ale ze wszystkimi dobrymi i złymi stronami.

D: No to komu musiałeś ostatnio przyjebać na balandze w ryj?

P: Mam wymieniać daty, kluby i ofiary? To też jest balanga, nocne życie klubowe, nie?

D: Dla mnie balanga zaczyna się po 24 w domu wikingów na starym rynku, „Majorka" i te sprawy (śmiech).

CIĘŻAR

D: Rychu się chwali, że 110 bierze na klatę.

P: Poprawka. I 150 się cisnęło.

D: Nie wierzę, dopóki nie zobaczę, przepraszam Rysiu.

P: Co do ciężaru popularności, to już minęło. Kiedyś, za Jazu, było strasznie. Kiedy wchodziłem do miejskiej komunikacji, to stwierdzałem, że to po raz ostatni? Bo akurat było po jakimś programie w TV...

D: Na przykład po takim programie „Blokersi" (śmiech).

P: Czasem przyczaiłem się w domu, żeby odpocząć, ale to jest wbrew pozorom fajne.

DECKS

P: Człowiek, który jest zrównoważony na tyle, żeby przewidzieć bardzo dużo sytuacji. Wielokrotnie gdybym go posłuchał, to moje życie byłoby lepsze. Darek przejawia zupełnie różne zainteresowania niż ja – i nie mówię tu o muzyce, bo różnimy się pod względem sztuki, kina, nowinek technologicznych. Ja czytam książki, a on przegląda gazety z grami (śmiech). Nasza wspaniała przygoda trwa już 8 lat. Nie jest tak, że lubimy się tylko wtedy, kiedy przychodzi co do czego i trzeba coś zrobić, coś nagrać.

D: A co do gazet komputerowych, to lepsze są niż te jego książki (śmiech).

ELITY

P: Wbrew pozorom poznaliśmy takich osób bardzo mało. Mieliśmy styczność z kilkoma tuzami, w stylu zespołów o mniejszym stażu, ale wykreowanych przez media, jak Łzy na przykład. Ale jeśli gramy obok Oddziału Zamkniętego czy Dżemu, to czuję się dobrze, bo przy nich mogę się wiele nauczyć. O, Steffan Moller dzisiaj jechał z nami do Warszawy (śmiech).

D: Daliśmy autografy, zrobił z nami zdjęcia, powiedział, że podoba mu się kawałek „Pierdolony 05" i że będzie go rapował na swoim przedstawieniu (śmiech).

FANI

P: Potrzebni, jak najbardziej.

D: Tylko czasem zdarzają się tacy, którzy powinni być na „P" jako „psycho-fani" (śmiech). Są oni niestety nie do zniesienia, a co do normalnych fanów, to nie wyobrażam sobie, żeby ich nie było.

P: No, tak. Są normalni fani i tacy, z którymi nie da się zamienić słowa. Szturchają cię kuflem piwa, chcą się z tobą napić i grają nie wiadomo kogo. Tylko że z drugiej strony trzeba to zrozumieć, bo jesteśmy dla nich jakimiś idolami i tak musimy to sobie tłumaczyć. Jak nie masz fanów, to co? Możesz grać dla rodziny, nie wydawaj płyt i chuj z tym, jeśli udajesz, że robisz to tylko dla siebie.

GUSTA

P: O gustach się nie dyskutuje, tak przede wszystkim, ale spróbujmy. Ja lubię owoce morza (śmiech).

D: A ja takich wynalazków nie lubię... Poproszę z restauracji Pekin zestaw 51a + zupa kwaśno-pikantna.

P: Lubię czasem gotować. Jeśli mam dla kogoś to zrobić, to z chęcią. Darek raz przyszedł na moje urodziny i przyniósł mi sałatkę z kurczaka z warzywami. A nasze gusta muzyczne też się różnią. Ja kiedyś byłem taki underground w stylu ABB Records, Stretch Armstrong, Peanut Butter Wolf, cały katalog Rawkusa, a on miał Ruff Ryders i takie tam rzeczy, i były jakieś zgrzyty. A teraz widzę, że sam wszedłem raczej w mainstream. Bo się zarobiło, chce się przewieźć autem, to się słucha innej muzyki (śmiech).

HAJS

D: Myślę, że jak na polskie warunki zarobiliśmy go swego czasu sporo.

P: Jak na polskie warunki, tak. Nie będę hipokrytą: zarabiam i utrzymuję się z rapu od 10 lat. Nie wstydzę się powiedzieć tego, że dobrze mieć pieniądze, żeby czasem gdzieś wyjechać i odetchnąć, żeby móc na bieżąco zapłacić rachunki, pomóc komuś kupując jakiś ciuch na dupę czy stawiając parę flaszek wódki na imprezie. Ja komuś dzisiaj, on mi jutro. Bez pieniędzy nic nie zrobisz. Wiem, jak to było nie mieć pieniędzy, mieć wyłączony prąd czy nie mieć gdzie mieszkać. Miałem długi, wszystkie hajsy z rapu pakowałem w ich oddawanie. Nigdy w życiu nie doprowadzę do sytuacji, żeby do tego wrócić.

ICEMAN

D: MC Posąg (śmiech).

P: Bo mało jest ekspresyjny na scenie. Tak samo jak ja zaangażowany był na początku naszej działalności w hip-hop i SLU. Iceman cały czas gdzieś jest, teraz jeździ z nami jako hypeman, kariery nie planuje, chociaż czasem zapowiada, że chce zrobić jakieś swoje rzeczy. Można powiedzieć, że jest jedną z tych nielicznych osób, dzięki którym ta scena u nas powstała. I jako jedyny z nielicznych zna i pamięta moją historię.

JUTRO

D: Moje plany najbliższe to skończyć dom, bo praca przy nim kosztuje mnie naprawdę sporo nerwów, własne studio, no i potomek. Chciałbym się jeszcze sportem zająć na poważnie od nowego roku, póki jeszcze mam siłę.



Peja i Decks bez dwóch zdań zasłużyli na szacunek ludzi ulicy. Nie tylko za sprawą rapu, ale też dystansu do samych siebie, umiejętności uczenia się na błędach, autentyczności. Wszystko to znajdziecie w naszym alfabecie

P: No i chyba wypasiony mixtape volume 4, nie? A mój plan na jutro to zaproszenie pana Janusza Gajosa na kawę, koktajl, kolację, cokolwiek. A, no i tatuaż muszę jeszcze skończyć jeden, drugi, trzeci.

KLIKA

P: Czyli ludzie, którzy niezmiennie pojawiają się w moim życiu. Im więcej przyjaznych ludzi tym lepiej, ale nie mogą być to przyjaźnie na pokaz. Kocham moją klikę. Pozdrawiamy wszystkich naszych ludzi.

LECH

P: Lech to piwo, Lech to klub. Kibicowanie takie bardziej aktywne już mi minęło. Teraz po prostu oglądam piłkę. A tak w ogóle, to zaliczyłem 65 wyjazdów na „Kolejorza" od 93 do 98 roku, matołaty! (śmiech). Byłem na ostatnim meczu z Arką – po raz pierwszy od pięciu lat. I bardzo mi się podobało.

D: Piję go rzadko, ale uważnie śledzę tabele z wynikami tymi jednymi i drugimi (śmiech).

ŁZY

D: Mnie bardzo dużo rzeczy może doprowadzić do łez, ale nie powiem jakie, bo będą chcieli wykorzystać to przeciwko mnie (śmiech).

P: Nie jesteśmy babami, ale facet też powinien mieć zdrowy odruch i umieć płakać, jestem tego zdania zwolennikiem. Kobiety lubią, jak facet czasem łezkę uroni...

D: I dlatego Rychu systematycznie, co piątek na każdej imprezie płacze (śmiech).

MEDIA

P: Są potrzebne. Wiadomo, unikamy bulwarówek, ale z drugiej strony oni nami też nie są aż tak zainteresowani, bo żaden z nas to nie Michał Wiśniewski. Chociaż pewnie mieliby o czym pisać. Współpracujemy z mediami, bo każda rewolucja musi być jakoś nagłośniona.

NIEPRZYJACIELE

P: Oby było ich jak najmniej. Nie chcę nakręcać tu jakiejś spirali i gadać o tym publicznie, bo może jeszcze podsunę komuś jakiś głupi pomysł. Przez muzykę trzeba zjednywać sobie jak największą liczbę przyjaciół, a że zawsze będą jakieś antagonizmy, to trudno. W sumie nie wyczuwamy jakiejś wrogości i nie chcemy też być postrzegani jako wrogowie ludzi – chyba że jako wrogowie elit i wrogowie rządu.

OLDSCHOOL

D: W moim przypadku kojarzy się to z imprezami i ekipą CH2H gdzie byłem DJ'em, z koncertami, ze spaniem na dworcu przy minus dwudziestu stopniach, z graniem za zwroty i dokładaniem do wszystkiego siana. To życiowo, a co jest dla mnie oldschoolem muzycznym? Nie wiem... BVSMP (śmiech).

P: Kiedyś byłeś zajarany Marky Markiem (śmiech).

D: No i Technotronic, podstawa. Byli nawet na żywo w Sopocie.

P: Mój oldschool zaczyna się w połowie lat 80. A skończył się na „Back To Hell" Run DMC.

PEJA

D: To taki mały Gollum (śmiech). Bardzo mu się wszystko zmienia szybko w tym małym móżdżku. Gada za dużo, za pięciu. Jak go już nikt nie słucha, to sam sobie odpowiada.

P: Powiedz, że mam charyzmę!

D: Ma charyzmę (śmiech). Mam nadzieję, że się ustatkuje, bo już nie mam ochoty wysłuchiwać „telefonów do przyjaciela" i latania do niego z tabletkami na sen: weź Rysiu tableteczkę i uśnij, nie przyjdą złe duchy do Ciebie (śmiech). Czasami wydaje się, że sam nie wie, czego chce, niestety. Ma talent, skubany.

RODZINA

D: Moja rodzina się powiększyła po 21 lipca 2006, wtedy to powiedzieliśmy sobie z moją żoną „tak". No i pożyjemy zobaczymy, oby jak najdłużej.

P: Moja rodzina ogranicza się do siostry, mojej nieżyjącej matki. Miałem kiedyś swoją rodzinę, ale jestem już po rozwodzie, rozpierdoliłem ją. Teraz jest moja narzeczona i jej rodzice, a ja jestem taką sierotką, którą oni przytulają.

SZACUNEK LUDZI ULICY

P: Płyta, z której jestem zadowolony. Dwie rzeczy męczą mnie w miksie, ale nie ujawnię jakie. Mam nadzieję, że materiał się spodoba, wiążemy z nim duże nadzieje, wypchnęliśmy kilka tysięcy na sklepy w tydzień i oby tak dalej.

D: Dobra płyta, w którą wsadziliśmy całe nasze serca.

TERRORYM

P: Może ta marka zaowocuje jakimś niezależnym wydawnictwem, może będzie to biznes z ciuchami. Czekamy, jesteśmy otwarci. Może z tego coś wyjdzie, a może nie wyjdzie nic. Hasło to z nami jest już trzy lata, powstało na Ski Składzie.

ULICA

D: Ulica w Polsce jest fatalna, są straszne dziury (śmiech).

P: Nie boimy się chodzić po ulicy, wychodzimy do ludzi. Potrafimy sobie znaleźć lepsze miejsce niż ulica, ale wciąż mamy jakieś tam nierozerwalne z nią związki.

WYDAWCY

P: Myślę, że wydawca powinien być lojalny i nie powinien sięgać po pieniądze należące się wykonawcy. Po tym, którego mamy obecnie, czyli Fonografice, do każdego poprzedniego mogę mieć pretensje. Takiego Delisia boli, kiedy mu się mówi, że jest złodziejem, a jesteś, Arku, złodziejem i każdy dobrze o tym wie. Niedługo dojdzie do tego, że będzie trzysta zespołów i trzysta wytwórni, bo każdy będzie sam wydawał swoją płytę. A ja tak nie chcę.

ZŁOŚĆ

D: Mnie denerwuje, jak Rychu za dużo gada (śmiech), jak puszcza w aucie głośno jakieś bebły i ogólnie jest we mnie chyba sporo złości ostatnimi czasy, ale próbuje jakoś tego nie okazywać. Niestety, jestem bardzo nerwowy.

P: Z mojej natury wynika, że dużo rzeczy mnie wkurwia. Mam poprzestawiane w deklu i czasami górę biorą emocje i dlatego czasem jest się ze mną trudno dogadać, bo mój stopień dyplomacji jest ograniczony. Trzeba jednak pokazywać siebie takim, jakim się jest.

TAK, JAK CHCIAŁEM

LUKASYNO

pytał Wojtek Antonów

Białostocki raper ma dla was twarde i bezkompromisowe wypowiedzi. Zarówno na wydanej właśnie płycie „Na ostrzu noża", jak i w naszym wywiadzie

Doczekaliśmy się Twojej solowej płyty...

W końcu się doczekaliśmy. Miała wyjść przed wakacjami, ale z przyczyn niezależnych ode mnie wychodzi dopiero teraz. Spora cześć materiału to utwory, które napisałem już parę lat temu. Kilka tematów musiało dojrzeć, dzięki temu ta płyta jest bardziej dojrzała i dopieszczona.

A co z WNB?

Traktuję naszą płytę, jako zamknięty rozdział mego życia. Szanuję ten materiał, bo dzięki niemu wybiliśmy się na powierzchnię. Mieliśmy kilka dobrych zwrotek, dobre featuringi, dobre bity. Nie odcinam się od treści tam zawartych, ale życie pokazało, że rzadko jest tak, jak byśmy chcieli. Dla mnie czyny są ważniejsze od słów i tyle. Pewne okoliczności zaważyły nad tym, że poszedłem w swoją stronę.

Łatwiej nagrywać solówkę czy pracować z kimś jako zespół?

Nie widzę żadnej różnicy. Nagrywając tę płytę zawsze byliśmy w kilka osób w studiu, była pozytywna atmosferka, dobra motywacja. Praca nad solówką nie wymaga żadnych kompromisów a propos treści i tematów. Ta płyta jest taka, jak chciałem.

Skąd tytuł „Na ostrzu noża"? Czemu tak ostro stawiasz sprawę?

Tytuł oddaje klimat tej płyty i jest metaforą zawartych na niej treści. To metaforyczne ujecie tego, jak się czujemy w obecnej sytuacji społecznej i politycznej. A sprawę stawiam tak dlatego, że jestem zwolennikiem zaangażowanego rapu. Jest dużo ciekawszych tematów do nawijania niż te, które promujc media. Takie, które pobudzają świadomość społeczeństwa oraz są odzwierciedleniem życia i pokazują zupełnie odmienną wizję kultury ulicy, kultury buntu wobec systemu.

Co było dla Ciebie najważniejsze, gdy nagrywałeś ten materiał?

Najważniejsze przy nagrywaniu było dla mnie, by miał kopa, by były głośne wokale nagrane na jeden track i podbitki, tak żebym mógł je zarapować bez przerw i nie mieć problemów na koncertach. Drugą rzeczą, nad którą pracowaliśmy długo, są dobrze powykręcane bity. Każdy z instrumentów wgrywaliśmy osobno i ustawialiśmy jego brzmienie w przestrzeni i w połączeniu z innymi instrumentami. Tej płyty dobrze się słucha w samochodzie, na głośnych kolumnach, ale równie dobrze na słuchawkach przed snem.

Powiedz coś o swojej zajawce na reggaeton.

Reggaeton wkręcił mi się przed dwoma laty, gdy mieszkałem w Stanach na latynoskiej dzielnicy. Muzyka w ich kulturze jest obecna od dziecka i towarzyszy im całe życie. Przyjaźniłem się z kilkoma Meksykanami, chłopakami z Salwadoru. Poznałem ich kulturę, byłem na imprezach reggaetonowych. Ostry klimacik, gorące dziewczyny i dobre wariaty. To samoistnie przeniknęło do naszej muzyki. Przywiozłem płytki, większość moich ziomków jara się reggaetonem. Braciak zrobił kilka bitów. To było to, czego mi brakowało na koncertach. Tempo, wysoka temperatura i jazda, kurwa!!! Jak w Białymstoku Dejot i Forest grali na imprezach reggaeton, to jeszcze MTV nie wiedziało, co to Daddy Yankee. Zresztą nie tylko ja się jaram reggaetonem. Zajebisty kawałeczek nagrał Sokół z Los Sicarios.

Jakie doświadczenia przywiozłeś po pobycie w Stanach? Zmieniło się Twoje podejście do hip-hopu? Do świata?

Pobyt w Stanach utwierdził mnie w przekonaniu, że nie jest to wcale demokratyczny raj. Z ludzi, którzy tam szukają szczęścia, robi maszynki do zarabiania forsy. Fakt, że pracując stać cię na dużo więcej niż w Polsce, a jak się elegancko zakręcisz, to jest w porządku. Na filmach Ameryka jest piękna. W rzeczywistości to taki sam burdel, jak i tu. Ja lubię nieznane i lubię wyzwania, więc mimo wszystko mam pozytywne wspomnienia.

A wiesz, co się teraz dzieje w Białymstoku? Jesteś na bieżąco? Wspierasz lokalną scenę?

W Białymstoku jestem na każdym koncercie. Jest intensywnie działające podziemie, mamy sporo imprez, niepowtarzalny klimat i najładniejsze dziewczyny w Polsce. Mamy coroczny festiwal młodych talentów Zgrzyty, na którym gra mnóstwo kapel z regionu i całego kraju. Ostatnio nagrałem kawałeczek, gdzie pół tekstu jadę po hiszpańsku na mixtape mojego koleżki, DJ'a Fame. Będzie tam można usłyszeć większość białostockiego podziemia.

Głosowałeś może na Krzysztofa Kononowicza? Masz jakieś poglądy polityczne czy socjalne, którymi chciałbyś się podzielić?

Nie, nie głosowałem na tego dziwnego kogoś, i nie sądzę, by ktoś świadomy powagi sytuacji w ogóle na niego głosował. To była akcja kilku kabareciarzy, ale nie chce mi się tego komentować, bo zrobili z chłopa komedię, robiąc przy tym lipę naszemu miastu. Gdy chodziło o podział funduszy europejskich lub jakieś dofinansowanie programów kształcenia bezrobotnych czy młodzieży, to o Białymstoku nikt nie pamiętał. A tu nagle pojawił się jakiś gałgan, co się dał zakręcić i Białystok we wszystkich wiadomościach. Powiem ci, że to miejsce jest kuźnią wielu indywidualności i artystów cenionych w świecie: Bagiński, Tarasewicz, wielu innych. Nie głosowałem na nikogo, ponieważ w związku ze zmianą adresu jestem pozbawiony przez rok prawa do głosowania. Nie mieszam się do polityki, ale irytuje mnie to, że młodzież jest pozbawiona świadomości i podłapuje hasła, które dyktują im komuchy siedzące w telewizjach. Swoje podejście do tych spraw wyraziłem w utworze „Z ręki do ręki". To chore państwo. Dopóki stare pokolenie przesiąknięte komuną nie odejdzie, nic się nie zmieni. PiS też dużo pierdoli, a robi nie to, co trzeba. Dla mnie wszyscy politycy są siebie warci.

Na koniec masz kilka linijek na freestyle: powiedz, co ci leży na sercu, albo po prostu zachęć dzieciaki do sprawdzenia „Na ostrzu noża".

Nie dane nam immunitety, luksusy i diamenty / mamy siebie, nasze podwórka i tłuste skręty / kozackie bity, najgłośniej wykręcony wokal nie daje lipy / ten rap u nas na wszystkich blokach / Nuty jak seria z glocka odmulają jak koka / psy kręcą się z shotgunami jak w mieście Boga / To nasza droga, mottem „nie dać się złamać" / śmierć konfidentom, od kurew trzymać się z dala. Pozdrawiam, do zobaczenia na koncertach!

Rasco i Planet Asia to uznana marka zarówno w undergroundzie jak i mainstreamie. Świadczyć o tym mogą ich liczne kolaboracje z bardzo różnymi artystami z rap biznesu. Prosto z Kalifornii zawitali w Polsce. Zagrali jeden koncert, a przy okazji odpowiedzieli nam na kilka pytań

CALI AGENTS
RZĄDZIMY!

rozmawiali cZm, Guo i Sebol /wersalka.com/
foto Kolano

Obaj jesteście na scenie już dość długo. Jak oceniacie zmiany, jakie zaszły przez ten czas, który upłynął od Waszej pierwszej płyty?

PA: Wszystko jest bardziej oryginalne. Kiedy nagrywaliśmy „How The West Was One", to były najlepsze czasy, podziemie było młode...

R: O, człowieku. Dla mnie to była świetna zabawa, ponieważ znam Planet Asię od czasów college'u i długo o tym rozmawialiśmy. Z perspektywy czasu uważam, że ten album był dobry, świeży. To było ekscytujące, że zrobiliśmy ten album. Najwięcej zabawy było podczas robienia tej płyty. Praca nad kolejnym albumem była trochę bardziej stresująca, gdyż ja mieszkam w San Francisco, a Planet Asia w Los Angeles. Latanie czy jazda samochodem – to było męczące, ale ten nowy materiał jest mniej surowy, to jest inne uczucie. „How The West Was One" to były dla mnie dobre czasy...

PA, jak tam sprawy z Twoją nadchodzącą płytą „The Medicine"?

PA: Wychodzi w poniedziałek (premiera była 3 października 2006 – przyp. red.), będą na niej Dilated Peoples, Evidence, Black Thought z The Roots, Strong Arm Steady, ten album jest szalony.

Rasco, masz swój label Pocketslinted Ent. oraz firmę odzieżową. Jakieś kolejne plany?

R: Wiesz, w sumie to to samo. Będę kontynuować pracę nad labelem, będę wydawać wiele rzeczy moich, Cali Agents i innych ludzi. Będę też starać się rozwijać kwestię ubrań, ale główna rzecz, jaką się zajmę, to label.

Powiedzcie coś o nowej płycie CA.

R: Wydajemy ją w moim labelu, wyjdzie w listopadzie. Pracujemy nad nią z paroma producentami, m.in. z Soul Professorem z Los Angeles, który zrobił 10 z 12 utworów. Ten album jest cięższy niż „How The West Was One", bity są brudne, chcemy dać ludziom szansę, aby usłyszeli coś innego niż na pierwszym albumie.

Możecie powiedzieć coś o jakichś nieznanych, ale utalentowanych ludziach z podziemnej Kalifornii?

R: Jest ich naprawdę wielu. Powiem wam, z kim ja pracuję: Aarophat, Concise Kilgore, Turbin, z ludźmi od Planet Asia. Wiesz, po prostu mamy swoich ludzi, z którymi się trzymamy i z nimi współpracujemy.

PA: Wiesz, podziemie w Kalifornii jest świetne. Rządzimy!

Planet Asia, współpracowałeś między innymi ze Swollen Members. Jak się poznaliście?

PA: Tak, ich album jest już w sklepach, „Black Magic" to świetna płyta. Wiesz, oni mi pomogli w produkcji mojego albumu, który wyszedł jako współpraca Battle Axe z ABB. Chciałem, aby jakiś label to dystrybuował, dlatego ABB, który jest tak jakby kuzynem Battle Axe. Tu chodzi o promocję.

Tak na marginesie, nie wiem, czy wiesz, że Mad Child jest Polakiem z pochodzenia?

PA: Tak, tak, to mój człowiek, mój Polski brat.

W takim razie opowiedzcie nam jeszcze coś o Waszej współpracy ze Stones Throw.

PA: Cały czas z nimi współpracuję. Teraz pracuję z Madlibem, robimy album. To naprawdę świetny człowiek. W pracy z nim lubię jego bity. Wiesz, znamy się 10 lat.

R: Wiesz, cały czas jesteśmy przyjaciółmi, gramy razem koncerty. Za parę dni gramy razem z Peanut Butter Wolfem, Madlibem i J Rocc'iem w Belgii, potem na 10-leciu Stones Throw w San Francisco. Ciągle trzymamy się razem, wszystko jest między nami ok. Pracujemy z Madlibem, wyprodukował jeden track na nowy album Cali Agents. Asia, jak powiedział, też robi z nim swoje rzeczy.

Na „How The West Was One" współpracowaliście z kolei z The Molemen Crew. Dlaczego nie pojawili się na Waszej kolejnej płycie „Head Of The State"?

PA: Wiesz, próbowaliśmy coś zrobić... Ja lubię współpracować z ludźmi o innych stylach niż mój.

R: To wszystko moi ludzie, gramy w przyszłym miesiącu razem koncert w Chicago. Robiłem dużo rzeczy z Panikiem, nigdy tego nie zapomnę, to moje życie. Pierwszą piosenkę zrobiliśmy w nocy – powiedziałem „Yo, Panic, potrzebujemy jakieś pianina" i trzy godziny później zagrał nam to przez telefon. To było długo przed tym, kiedy można było wysłać tracki przez Internet. Wzięliśmy to. Powiesz mu, co potrzebujesz i dostajesz dokładnie to, co chciałeś.

Jak powstawał track „Beware" Cali Agents z nowej płyty Oh No?

R: On zrobił rzeczy na mój album „The Dick Swanson Theory" i dobiliśmy targu, że ja zrobię coś na jego materiał. Najśmieszniejsze jest to, że słyszałem go dopiero parę dni temu, a ten track powstał ponad rok temu. Wiesz, zapomniałem o tym, a potem widziałem Oh No na koncercie i zapytałem, co z tym utworem, czy skończył już ten album, a on mówi, że album wychodzi już na dniach.

Widzicie jakieś różnice między postrzeganiem hip-hopu przez słuchaczy europejskich i amerykańskich?

PA: Tak, tu lubią dobry hip-hop, nie lubią gówna. Dlatego tu przyjeżdżam. W Ameryce tak nie jest.



Jak się czujecie po dzisiejszym występie?

PA: Chcę całować dziewczyny. Przyprowadź tu jakieś... (śmiech). Dziewczyny, człowieku! Ja je lubię, jestem pimpem. W klubie nie dbam o muzykę, jaką tam grają. Dziwki, wiesz, o czym mówię, chodzi o kobiety (śmiech).

Zawsze chodzi o kobiety...

PA: Zawsze jeśli nie lubisz kobiet, jesteś pieprzonym homo. Kocham cipki, jem cipki, Planet Asia je cipki (śmiech)!

Co sądzisz w takim razie o rozpowszechniającej się w USA scenie porno rapu?

PA: Kocham to! Kocham porno! Jestem fanatykiem, jestem świadomym hip-hopowcem, kocham planetę porno! „Planet Porno Music"... (śmiech).



TOO SHORT



CZTERDZIEŚCI LAT MINĘŁO...

50 Centowi nie rosły jeszcze wąsy, a większości obecnych fanów hip-hopu w Polsce nie było nawet na świecie, kiedy Todd Shaw sprzedawał z bagażnika nagrywane przez siebie amatorsko płyty, zyskując w całej Kalifornii sławę prawdziwego alfonsa rapowego światka. Lata minęły, szacunek pozostał. Ale czy wróci jeszcze dawna popularność i wielka sława?

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Nie sposób zliczyć, ilu amerykańskich raperów inspirowało bądź nadal inspiruje się osobą Too Shorta. Snoop Dogg, Tha Liks, Jay-Z, ś.p. Biggie czy Kurupt mówią (lub mówili) o tym jak najbardziej otwarcie. Reszta wspomina przede wszystkim o wielkim szacunku, jakim go darzy, bezczelnie zapominając przy tym, że gdyby nie Too Short i jego twórczość, być może hasło „pimp" i ostre, pikantne historyki o panienkach lekkich obyczajów nigdy nie weszłyby do rapowego kanonu. No, ale żeby to wszystko opisać, cofnijmy się wstecz o wiele, wiele lat...

Todd Shaw przyszedł na świat w 1966 r. w Los Angeles. To jednak nie z tym miastem związał najważniejszy fragment swojego życia – w wieku czternastu lat osiadł bowiem w Oakland i w zasadzie od zawsze jest utożsamiany z hip-hopową sceną tegoż miejsca. Był jednym z pionierów sceny Zachodniego Wybrzeża, nagrywając pierwsze albumy już na początku lat 80. I tak jak już mało kto pamięta, że Schooly D. był pierwszym prawdziwym gangsterem na Wschodzie i reprezentantem Filadelfii, tak niewiele osób wspomina, że to wcale nie N.W.A. czy Ice-T byli największymi obrazoburcami i skandalistami na scenie Zachodniego Wybrzeża. To miano zdecydowanie należy do Too Shorta. Od początku kariery jego teksty cechował skrajny seksizm, szowinizm i kult męskiej siły. Świetne storytellingi traktowały o przygodach z paniami, próbach nielegalnego zarabiania kasy i planach podbicia rapowej sceny. To wszystko rapowane z niezwykłą lekkością, jedynym w swoim rodzaju flow, z charakterystycznym zaciąganiem i płynnością. Fantastyczne, trafiające w samo sedno pancze, kapitalne bragga eksponujące jego umiejętności – o tak, Too Short zdecydowanie ma prawo nazywać się graczem z krwi i kości.

Pierwszy kontrakt płytowy z lokalnym labelem 75 Girls pozwolił mu na wydanie w ciągu dwóch lat trzech krążków, z których szczególnie „Don't Stop Rappin'" (1983) zdobyło spore uznanie. Pieniądze, jakie zarobił na sprzedaży tych wydawnictw (dystrybucja ograniczała się w zasadzie tylko do okolic Oakland), pozwoliły Shortowi na założenie z przyjacielem Freddy'm B. własnego labela Dangerous Music (później oficyna zmieniła nazwę na Short Records, by ostatecznie zostać przemianowaną na Up All Night Music). W nim nagrał swój przełomowy krążek „Born To Mack". Płytka sprzedawana w lokalnych sklepach, podczas koncertów i objazdów z krążkami w bagażniku w okolicach Oakland, bardzo szybko znalazła ponad 50 tysięcy nabywców. Tak precedensowe wydarzenie nie mogło oczywiście umknąć uwadze włodarzy wielkich wydawnictw, w związku z czym już pod koniec 1986 r. prawa do dystrybucji albumów Too Shorta przejął Jive. W 1987 r. podjął się on re-edycji płyty, która szybko osiągnęła status złotej.

Od tego czasu kariera rapera nabrała oszałamiającego tempa. Wszystkie kolejne albumy osiągnęły ogromne nakłady i to bez wielkiej radiowo-telewizyjnej promocji, bardzo utrudnionej w związku z charakterem twórczości Too Shorta. Fani pokochali jednak jego specyficzne poczucie humoru, hedonistyczne podejście do życia, wybaczyli stosunek do kobiet i tłumnie oblegali sklepy za każdym razem, gdy trafiały do nich materiały rapera. Nie ma sensu wyliczać teraz wszystkich tytułów jego wydawnictw, ale na pewno musicie zapoznać się z „Life Is...Too $hort" (1989), „Shorty The Pimp" (1992) i „Cocktails" (1995). Te płyty pokazują w najlepszy sposób jego rozwój, a zarazem zmiany stylu jego muzyki. Na początku były to nieprzekombinowane, proste muzycznie produkcje wypierdziane na automatach TR-808 i TR-909. Styl tych bitów dostał nawet swoją nazwę – Mobb Music. No i rzeczywiście – wiele wydanych później materiałów nagrywanych w okolicach Bay Area i Oakland miało takie brzmienie. Z czasem Too Short odchodził w stronę bardziej funkowych, rozbudowanych melodii. Apogeum możemy usłyszeć na ostatnim naprawdę doskonałym krążku rapera „Can't Stay Away" z 1999 r. Nagrał go w trzy lata po tym, jak ogłosił przejście na emeryturę, ale oczywiście nie udało mu się wytrwać w tym zamyśle.

Trochę może szkoda, bo żadna z płyt datowanych później niż „Can't Stay Away", a wydał ich multum, nie dorosła już poziomem do legendarnych nagrań Shorta. Szacunek w rapowym świecie ma jednak na zawsze. Dowodem tego nowy krążek rapera „Blow The Whistle" nagrany z udziałem takich tuzów jak Lil' Jon, Will.I.Am, Jazze Pha czy Rick Rock. Wydawnictwo naprawdę wysokich lotów, naprawdę przyzwoite i godne wysłuchania. Szacunek na zawsze, Panie Za Krótki. 

FAKTY, NIE MITY:

Siedem regularnych, studyjnych krążków Too Shorta z rzędu pokryło się przynajmniej platyną. Serię rozpoczął album „Life Is...Too $hort" z 1989 r., a zakończył „Can't Stay Away" z 1999 r. W międzyczasie były jeszcze dwa materiały „Greatest Hits", których jednak nie zaliczamy do klasyfikacji. Taką serią w historii hip-hopu pochwalić się może zaledwie garstka artystów.

W 1994 r. Short przeprowadził się do Atlanty – od tego czasu najczęściej usłyszeć go można na albumach artystów z tego regionu Stanów.

W 2003 r. Too Short pojawił się w epizodycznej roli pomosa „Get In Where You Fit In" – był to niejako hołd dla jego osoby, nawiązujący do tytułu nagranej przez niego w 1993 r. płyty.

Raper pojawił się gościnnie na ponad stu dwudziestu albumach. Lista osób, z którymi współpracował, jest oszałamiająca, wymienię kilka z nich: Jay-Z, The Notorious B.I.G., Twista, Daz Dillinger, E-40, Erick Sermon, Kelis, Lil' Jon, Keith Murray, Scarface, Three Six Mafia.

To Too Short jako pierwszy raper nazwał się dumnie alfonsem (pimp) i zaczął używać charakterystycznie akcentowanego słowa bitch (bee-yatch) w roli przecinka.



afront
WETERANI CHAMSTWA

Z Afrontem spotkaliśmy się w mieszkaniu ich wydawcy. Dzielny reporter SLG dotarł do tego strasznie ulokowanego miejsca, pokonał dygresje O.S.T.R.'a, piwo, dzwoniące telefony, a nawet odciągnął chłopaków od filmu DVD, by zderzyć się dla was z sympatyczną odmianą teofilowskiego chamstwa

pytał Marcin Flint
foto sewerx.com

Uważacie się, panowie, za ludzi konsekwentnych?

Kas: No, nie. Nie do końca. Jeszcze zależy w czym, ale ja się zdecydowanie za takiego nie uważam.

Jasiek: Potwierdzam (śmiech).

Jest taki jeden utwór na płycie, w którym na wszystkie pytania kierowane do Afrontu odpowiadacie „wszystko w porzo". To dlaczego, do cholery, płyta nazywa się „Coraz gorzej"?

J: Tytuł jest przekorny. Pierwsza płyta nazywała się „A miało być tak pięknie", która to nazwa wiązała się z wszystkimi przejściami, jakie mieliśmy z wydawcami. Teraz natomiast jest rzeczywiście „Coraz gorzej". I nie chodzi tu o nas.

Tylko o Tytusa, tak? Taki mały afront w domu własnego wydawcy? (śmiech)

J: W żadnym razie. Bardzo jesteśmy zadowoleni z nowej promocji. Ogólnie jest coraz gorzej w muzyce. Coraz cięższa bania.

K: Chodzi o to, że prawdę mówiąc naokoło jest coraz gorzej, ale z nami nadal jest „wszystko w porzo".

Jak to z Wami jest? Optymiści? Pesymiści? Realiści?

J: Wieczni optymiści. Nie zrażamy się, robimy rap, jest pięknie. Wydajemy w najfajniejszej wytwórni, beaty robią nam najlepsi producenci, mamy własne studio, którego nagrywki miksuje nam najlepszy specjalista w kraju. Cieszymy się.

K: I jeszcze Haem nam skrecze nagrał!

No tak, nie dość, że macie nowego producenta, to jeszcze jest oficjalnie włączony do składu.

K: Zależy, czy on chce. Raz twierdzi, że tak, drugi raz, że nie.

J: Skład jest płynny, będzie się zmieniał. Do rodziny włączamy tylko kolejnych ludzi. Jest jeszcze beatboxer Turi, który robił z nami pierwszą płytę. Tę, która się nie ukazała. Afront się poszerza. Funksion jest na przykład wciąż w Afroncie, choć już nie ma go w kraju.

K: Nie można odejść z Afrontu (śmiech). Następną płytę zrobimy być może jeszcze z kimś innym.

A już podejrzewałem Was o przemyślną taktykę, że wciągacie Metro do Afrontu, póki nie jest super znany, żeby do końca życia robił podkłady tylko Wam.

K: Współpraca z Metrem to przykład pozytywnego wykorzystania Internetu. A jest tych przykładów niestety mało (śmiech). Po sieci przysyłaliśmy beaty i zwrotki.

J: To on zwrócił się do nas w sprawie swojej epki. Był nam zupełnie nieznany. Dopiero później skojarzyłem, że Adam (O.S.T.R. – przyp. red.) mówił nam o nim i puszczał jego beaty, ale to było trzy lata temu. To co przysłał na próbę, zaskoczyło nas. Było zupełnie, zupełnie inne od tego, co słyszeliśmy. Szybko poprosiliśmy o więcej, chcąc się wreszcie sprężyć po momencie zastoju. Z czasem podkłady spodobały nam się jeszcze bardziej i doszliśmy również do wniosku, że trudno będzie je połączyć z innymi. Wątpliwości, że wyjdzie z tego coś dziwnego czy ciężkiego towarzyszyły nam jedynie przez moment. Metro ma zwyczaj zmieniać beaty, ale i my, i mocno zajarany pierwotnymi wersjami Tytus prosił, żeby nie ruszać tego, co przyszło.

Czyli nawet wydawca był zadowolony? Nie płakał, że tym razem nie uda się Wam przewieźć na ksywce O.S.T.R.? (śmiech)

O.S.T.R.: Razem zaczynaliśmy. Od początku było powiedziane, że komu się uda, ten ciągnąć będzie całą resztę.

J: Adasia beaty nam się zawsze podobały i niejedno jeszcze zrobimy razem, ale pewno też jest zadowolony, że wyszliśmy spod jego skrzydeł.

K: Zrobiliśmy coś nowego, nawet jak na nas. Inny rodzaj muzy.

J: Inaczej się pod to rapuje, inne są podziały. Podpasowało to pod nasz styl, bo nigdy nie rapowaliśmy wers w wers. Jak się okazuje, nawet inaczej zapisujemy wersy. A ta muzyka jest dzika, można troszkę ją złamać.

Można właściwie wszystko, tylko trzeba mieć motywację. Mówicie, że o swoją pasję należy walczyć. Tyle że zrobisz zajebistą płytę, a 90% procent fanów i tak jej nie kupi. Uczulasz ludzi na kwestie polityczne, a tu – jak sami rapujecie – 50% ludzi nie obchodzi prezydent czy premier. Co gorsza, 30% wciąż popiera frakcję tych, którzy obecnie te funkcje zajmują.

J: Nie nagrywasz rapu po to, żeby dotrzeć do miliona, a po to, żeby rozwijać się i nie zgnuśnieć. Kawałek, do którego pijesz, „Nie zamulaj", jest głównie biczem na własne plecy. Przez dwa lata nie byliśmy w stanie nagrać drugiej płyty!

K: A żeby coś zmienić, trzeba zmienić siebie. Brzmi trywialnie, ale jest prawdziwe.

J: Jedyne co możemy zrobić, żeby wpłynąć na sytuację w kraju, to nagrywać kawałki. Powiedzieć, co sądzimy, ośmieszyć.

K: Do rządu nas nie wybiorą (śmiech).

Czy ja wiem... Są w Stanach ideowcy zaangażowani w inicjatywy społeczne. Jak Kweli czy Common...

J: Mamy swoje problemy. Chociaż jeśli stajesz się osobą publiczną... Ale nam to nie grozi.

K: I pewno nie jest przyjemną rzeczą.

K: Angażować się w akcje społeczne można, kiedy wyprostujesz własną sytuację. I masz co przekazać. My mamy przed sobą trochę czasu.

J: Nie mamy za to parcia na szkło.

Chyba jesteście jednak zbyt skromni.

J: Nie jesteśmy na przykład ojcami, nie wiemy wszystkiego. Mogę mówić tylko młodszym od siebie, w co się nie pakować. O tym nagrywamy kawałki, ale nic nie można robić na siłę. Nawet dzieci w szkołach uczy się teraz przez zabawę i dowcip.

Tak, najlepiej świadczy o tym program „Zero tolerancji".

K: No comment (śmiech).

J: W naszej podstawówce na Teofilowie działy się różne rzeczy. Od niektórych włos stawał dęba na głowie. My też nie byliśmy święci, ale nie było tak jak teraz. Może „zero tolerancji" nie jest dobrym wyjściem, ale wypada się zastanowić. Po części rap ponosi odpowiedzialność za to wszystko, co się dzieje. Wreszcie trzeba tę odpowiedzialność brać. Premier i Guru mieli do tego właściwe podejście. Dzieci chłoną i zrobią to, co usłyszą. Możesz spieprzyć komuś życie.

K: Nie puszczaj synowi rapu (śmiech).

Słuchanie Afrontu mogłoby go pchnąć do browarów i fajki wodnej.

K: Tak to jest. Ale lepsze to niż Crazy Frog.

J: Marycha i picie to część nas. Bez tego kawałki nie byłyby szczere. Może dobrze, że nasz target to nie jest 12-13 lat. Zawsze widzieliśmy swoich odbiorców nieco starszymi. A może nam się tylko wydaje.

K: Żeby w pełni mogli zrozumieć. Ironię, sarkazm...

Ironia i sarkazm na co dzień może powodować u sąsiadów zmęczenie materiału?

J: Przed samym nagraniem płyty, w czerwcu, mieliśmy wielką kłótnię przed wejściem do studia. Płyta mogła nie dojść do skutku.

K: Znamy się od lat, widzimy codziennie. Odpoczywamy od siebie i jedziemy dalej.

J: Mając co roku te dwa, trzy miesiące przerwy. Za to rozumiemy się bez słów.

A co jeśli style ujednolicą się Wam tak, że słuchacz nie będzie wiedzieć, kto jest kim?

J: Tak stało się przy pierwszej płycie, tej niepublikowanej. Tytus słysząc ją, myślał, że to jeden raper (śmiech). Ale to dobrze, nam się to podoba. Style są akurat inne, barwa głosu podobna. Uzupełniamy się. Chcemy jak najwięcej patentów takich jak na „Coraz gorzej". Częste wymiany.

K: To idealnie się sprawdza na koncertach. Łatwiej się dzięki temu pisze, fajniej nagrywa. Siedzieliśmy we dwóch w kabinie i obywało się niemal bez podbić.

J: Tak miało być. Efekt mini-live.

A na jakim gruncie mogą wybuchają między Wami kłótnie?

J: Zwykle chodzi o terminy nagrań. Raczej nie o treść utworów, tylko organizację. Mamy inny tryb pracy i inne obowiązki.

Kto jest tym porządnym?

K: Może Jasiu jest bardziej zdyscyplinowany, ale granica jest cienka.

Przyznam, że gadamy już chwilę i nie widzę u Was tego „chamstwa", którym tak chwalicie się w rymach.

J: Nie wiem, jak wyobrażasz sobie chamstwo w takim pałacu (śmiech). Nie będziemy przecież skakać po żyrandolach. A chamstwo mamy we krwi.

K: Tak od początku było i jest. Nie twierdzimy, że jesteśmy najgorszymi typami, ale nie jesteśmy też wzorowi. Daleko nam od tego.

Chamstwo stało się nagle czymś pozytywnym...

J: Jest trendy. My spotkaliśmy je wiele lat temu i nikt nie posądzi nas o plagiat. Jesteśmy weteranami chamstwa.

Po chamstwie czas na coś dla studentów. Eskapizm. Na Baktlipie chcieliście uciekać do Australii, na drugim Afroncie uciekacie do różnych miejsc świata, jak na singlu, a nawet w kosmos. I to z Metrem. Jakaś technologiczna rewolucja (śmiech).

J: Widzisz, tematy na tę płytę wynikały nieco inaczej. Z freestyle'u. Najpierw ćwiczymy go przez pół godzinki albo godzinkę, potem zapisujemy to, co ciekawego wpadnie. Przez to jest abstrakcyjniej. Temat „Pól" mówi o czymkolwiek, „Podróż" to podróż palcem po mapie. Mam w pokoju dużą mapę świata, na wolnym stylu dobieraliśmy sobie z niej nazwy miast i państw.

Wiele państw znacie z autopsji?

K: Nie bardzo. Jesteśmy patriotami lokalnymi. Choćby ze względu na okoliczności, które są, jakie są.

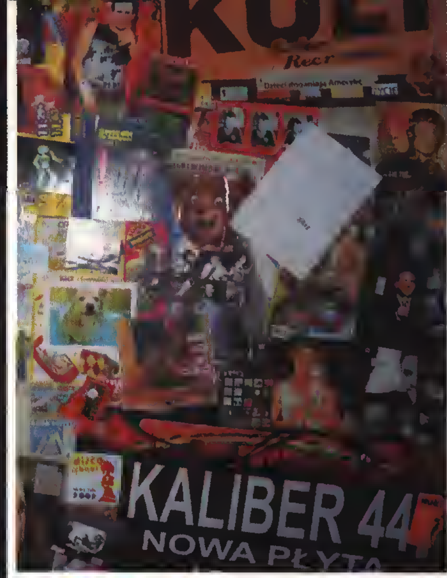
J: A na emigrację nas nie ciągnęło. Przeraża nas trochę ten motyw, choć jest absolutnie zrozumiały. Trzeba walczyć tutaj.

I z każdą płytą wkurwiać się coraz bardziej? Płyta miała nie być wkurwiona, ale nastawienie jakby przeszło z Baktlipu.

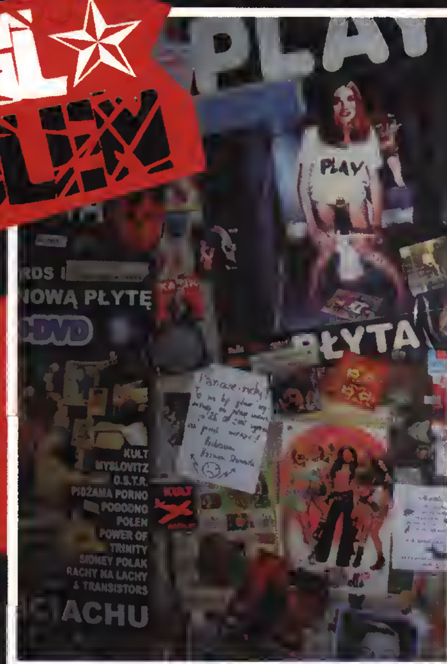
J: Trochę inaczej nagrywamy wokale, ten proces wyzwala więcej energii, w studio czujemy się lepiej. Płyta powstała przy większym spontanie, na trzech mocno zakrapianych sesjach. Chcieliśmy też pokazać koncertowy potencjał.

A po trzeciej płycie można się spodziewać praktycznie wszystkiego?

K: Chyba, że się pozabijamy (śmiech).







Sławomir Pietrzak

S.P.Records

Założyciel wytwórni kojarzonej głównie z Kazikiem Staszewskim i jego projektami, ale słynnej też z wydania pierwszej polskiej płyty hip-hopowej. Kariery zaczynali dzięki niemu członkowie Kalibra 44, Wzgórza Ya-Pa-3, 3XKlanu, a także niesławny DKA

tekst i foto Zdzisław Nieszczególny

Jesteś właścicielem SP Records, wydałeś bardzo dużo płyt. A jak dotarłeś do hip-hopu?

Słuchałem na początku Grandmaster Flesha, Run DMC. Na początku lat 80. usłyszałem płytę Malcolma McLarena. Było to wtedy totalnie nowoczesne rapowanie i puszczałem to w kółko. Podobnie rzecz się miała z Grandmaster Fleshem „Too much, too many people". Parę lat później usłyszałem pierwszy raz Wzgórze Ya-Pa-3. Od razu mi się spodobało i wydałem tę płytę. Nie wiem, czy młodzi ludzie pamiętają, ale był wówczas jeszcze taki rap wesoły – ludzie na koncertach skakali, bawili się i cieszyli. Później nadeszła epoka, kiedy to cwaniacy nie pozwalali bawić się. Gitostwo ruszyło na miasto. To była słaba akcja, bardzo duża promocja agresji. Ja nie wiem, czy ja w ogóle hh wydawałem, bo to trudno powiedzieć. No ok, WYP3 mogło być hh, natomiast Kaliber, Snuz, 3XKlan to nie wiem, czy są zespołami hip-hopowymi... No może są, bo rapują. W ogóle bardzo lubię to, co wydawałem na początku.

Mnóstwo było projektów, które chciały się wydać wtedy u Ciebie, czy to były jedyne rzeczy, które znalazłeś?

Tak naprawdę uczciwie, to do dziś tych dobrych zespołów, które mógłbym i chciałbym wydać, było tylko parę. Kilka mi się udało wydać.

Czy hip-hop może wrócić w dobrej, uczciwej formie?

Hip-hop strasznie podobał mi się na początku w Polsce, bo po prostu był taki świeży. Każda rzecz mnie emocjonowała. Jak wyszła pierwsza płyta WYP3, to mi się gacie trzęsły. Było wesoło. Jak usłyszałem płytę Kalibra, to mi wszystkie włosy na plecach stanęły. Zajebisty Tede w 1Kiltahertz. Jak usłyszałem Molestę, to też miałem bardzo dużo uczuć związanych z tą płytą. Potem to wszystko słabło. Po prostu z roku na rok wszystko stało się powszedniejsze, było coraz więcej hip-hopu i coraz bardziej podobnego do siebie. W związku z tym nieoryginalnego.

Kupujesz jeszcze płyty z hh?

Tak, ale raczej amerykańskie. Być może nie mam w tej chwili takiego wglądu w polską scenę, bo stała się ona obszerna, ale nadal mimo wszystko dostaję dużo demówek z rapem i większość tych rzeczy nie jest taka, jak by mi się podobało. Bardzo chętnie poznałbym ludzi, którzy w bardzo mądry, świadomy i ciekawy sposób pewne rzeczy kreują i coś opowiadają o sobie... Tylko kiedy ktoś mówi, co tam dzieje się na blokach, to ja rozumiem, że to może być bardzo ważne dla niego i jego kolegów, tylko że to nie jest „moja dzielnica, moja klatka, moja piwnica". To może być fajne dla 100-300 ludzi, którzy żyją w jakimś getcie, ja natomiast chciałbym, żeby to było dla mnie.

A dużo tych demówek?

Średnio tak z 30-50 płyt miesięcznie, z tym że był czas, że było najwięcej hip-hopu, ale to nie był dobry hip-hop na wysokim poziomie.

Jakieś świeże propozycje wydawnicze ze świata hip-hopu w SP Records?

Wydaję teraz Zajkę ze Wzgórza pod nazwą Patent. Jest to bardzo ciekawe rozliczenie z hip-hopem, szczególnie utwór „Babilon" (bardzo oldskulowo-nowoczesny kawałek). Wiesz co, być może coś jeszcze się zrodzi. Mówił mi Dab, że coś nagrał, mówił ktoś jeszcze. Ja mam dwa takie plany, ale nie chciałbym o nich mówić, bo nigdy nic nie wiadomo.

To są debiuty czy kolejne płyty?

Jedna z nich to kolejna. Postanowiłem nie wydawać hip-hopu, za którym bym w 100% nie stał. Raz w życiu popełniłem taki błąd i nie chcę nawet mówić, co to było, bo mnie ktoś prosił, namawiał itd. Raz popełniłem błąd i już więcej tego nie zrobię.

A co mogłoby być środkiem, żeby coś w hip-hopie Cię zainteresowało?

Jakby ktoś np. wziął bluesa i w nowoczesny sposób pokombinował to mogłoby być coś surowego, ale fajnego. Brakuje mi też electro, takiego na maksa plastikowego i wykorzystania np. brzmień Kraftwerk... Coś z brzmień Kurtzwiela, Nordleada. Ważna jest bardzo energia, ale jak to w hip-hopie treść jest istotna. Nie chciałbym usłyszeć tekstu „ja i moi ludzie" lub „ja i moja ekipa". Chciałbym usłyszeć dorosłych, świadomych i wrażliwych ludzi.

Czym interesujesz się oprócz muzyki i prowadzenia SP Records?

Jestem chyba najstarszym mi znanym snowboardzistą, pływam na windsurfingu. Lubię świeże sporty, lubię pograć w piłeczkę. Interesuje się na maksa kinem, sam już napisałem chyba czwarty swój scenariusz. Od wielu lat interesuję się psychologią i filozofią. Lubię ciekawych ludzi i ich historie. Piszę książkę jakąś tam... To takie rzeczy, którymi żyję.

Co do kina, to może wymienisz tytuły i nazwiska kultowe dla Ciebie?

Największe wrażenie w młodości zrobił na mnie Michelangelo Antonioni. „Powiększenie" czy „Zabriskie Point" to są totalne filmy, tak samo jak Bergmana „Jajo węża". Kolejni reżyserzy to Bunuel, Visconti, Sergio Leone, Forman, Kubrick. A najlepszy film polski to „Nóż w wodzie" Romka Polańskiego. Współczesne kino to „Pulp Fiction" i „Snatch" z najfajniejszą rolą Brada Pitta. Lynch to też bomba. Jego filmy „Blue Velvet", „Mulholland Drive" i „Zagubiona Autostrada" zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Jest też sporo takich filmów undergroundowych, które mi się podobały. Byłem niedawno na filmie „Babel", naprawdę warto go obejrzeć genialny scenariusz, reżyseria, zdjęcia, aktorzy.

Co Cię wkurwia ostatnio w tym naszym kraju?

Myślę, że najbardziej wkurwia mnie polityka. Przeraziło mnie to, że ludzie więcej czasu poświęcają temu bełkotowi niż muzyce, teatrowi, filmowi czy w ogóle życiu. Wkurwia mnie to, że nie ma dróg, że jacyś zakompleksieni kolesie, którzy nie posiadają prawa jazdy i nigdy nie prowadzili samochodu (nie mieli takiej potrzeby), będą decydowali kiedy i gdzie będą w Polsce autostrady. Wkurwia mnie to, że tak wielu jest zalęknionych i przerażonych kolesi, którzy szerzą agresję w naszej kochanej Polsce.

Co myślisz o tym, że młodzi ludzie wyjeżdżają za zarobkiem za granicę?

Mogę tylko powiedzieć, że gdy miałem 20 lat, to wyjechałem z Polski, ponieważ dostałem bilet do wojska, a były to gorące czasy i przez kilkanaście lat mieszkałem na zachodzie. Ciężko pracowałem na budowach i wychowywałem dzieci. Jestem Polakiem, uwielbiam Warszawę. I zawsze wiedziałem, że wrócę do Polski. Nie myślę, że dużo ludzi wyjedzie i zostanie. Mądrzy ludzie wrócą do kraju. W tej chwili jest im ciężko lub nie mają pomysłu na funkcjonowanie w tym kraju. Ale za parę lat nabiorą doświadczeń, zarobią kasę i wrócą. Pewnie nie wszyscy, ale powracający zobaczą, że można jakoś inaczej funkcjonować, przywiozą nowe doświadczenia, być może nowe techniki i przywiozą też pieniądze. Wydaje mi się, że nie ma niczego złego w emigracji.



Opowiedz o swoim wykształceniu muzycznym, bo to jest ciekawe. Na jakiej muzyce się wychowałeś?

Szkoła muzyczna na wiolonczeli, nic więcej. Natomiast słuchałem jako dzieciak trudnych rzeczy, takich jak muzyka poważna, jazz rock, modern jazz... Jak miałem 13-14 lat, słuchałem generalnie trudnych rockowych rzeczy, takich jak King Crimson, Yes. Natomiast później wyluzowałem. Punk rock mnie dopadł i było bombowo, a jeszcze później usłyszałem hip-hop, ale o tym już opowiadałem.

ARRESTED DEVELOPMENT

OPOWIEŚĆ Z AMERYKAŃSKIEGO POŁUDNIA

Mimo że większości nazwa może się kojarzyć z popularnym w Stanach wątpliwej jakości serialem komediowym, to fani rapu powinni ich znać doskonale. Wesoła rodzinka po przejściach wydała kolejny album po reaktywacji. Ich losy przedstawiamy poniżej



tekst (EST)

I AM BLACK AND PROUD

Historia zaczyna się w Atlancie, co od razu udowadnia, że tamtejszy hip-hop nie zaczął się od Outkastu i Dungeon Family. Zainspirowani twórczością rebelianckiej, afrocentrycznej funk-rockowej grupy Sly & The Family Stone raper DJ Peech (później znany jako Speech) i DJ Headliner postanawiają założyć zespół. Była to połowa lat 80. Grupa na początku nazywała się Disciples of Lyrical Rebellion, później Secret Service, by w końcu przyjąć obecną nomenklaturę. Aby jednak Arrested Development byli tacy, jakich ich znamy, to do składu musiało dołączyć dziesięć osób, w tym najważniejsi: Dionne Farris i Baba Oje (najstarszy, zanotowany w Księdze Rekordów Guinessa, 75-letni wówczas hip-hopowiec!).

Zanim ta grupa zebrała się w sobie i wypuściła swoje pierwsze dzieło, minęło... No właśnie: „Three Years, Five Months And Two Days In a Life Of..." (to tytuł ich debiutanckiej płyty), czyli „3 lata, pięć miesięcy i dwa dni", ale tak doskonałe dzieło nie mogło rodzić się na kamieniu. Ich afrocentryzm był raczej radosny. Daleko mu do tak gniewnych z owych czasów Public Enemy, Parisa czy X-Clanu, a bliżej do wykonawców Native Tongues, choć ich styl był nieco inny. Bliższy korzeniom czarnej muzyki: soulowej, bluesowej, funkowej czy nawet muzyce etnicznej. Pochodzący z tej płyty utwór „Everyday People" był remakiem klasycznego już „People Everyday" wspomnianych Sly & The Family Stone. Na tym dziele znajdziemy jeszcze takie klasyki jak „Mr. Wendal" czy „Tennessee".

ASK THOSE TREES FOR ALL THEIR WISDOM

Mnóstwo nagród, jakie spadły na Arrested Development – w tym takie wyróżnienia jak Grammy dla najlepszego nowego wykonawcy i za najlepszy album w kategorii rap – zawędrowanie wszystkich trzech wyżej wymienionych singli na najwyższe miejsca w przeróżnych listach przebojów oraz prestiżowa nagroda magazynu „Rolling Stone" dla grupy roku spowodowały, że Speech i spółka musieli wykazać się niemałą mądrością w wykorzystaniu wszystkich laurów, jakie na nich spływały. Robili to jak w pełni świadomi, dojrzali gracze. Najpierw był soundtrack do kultowego „Malcolma X" Spike'a Lee. Nie trzeba wspominać, jakie dla zorientowanych afrocentrycznie Amerykanów było to wyróżnienie. Do tego udział w kultowej serii „MTV Unlugged" jako nieliczni z rap-gry. Trzeba przyznać, że byli pupilkami białych szefów stacji i mieli jej niesłabnące poparcie.

Kolejnym ciosem, jaki zadali, był trzeci już album w ciągu trzech lat czyli „Zingalamaduni". Nie da się ukryć, że komercyjnie był to niewypał. Artystycznie Arrested Development pozwolili sobie na spory eksperyment. Wplatanie elementów języka suahili i większy niż dotychczas udział afrykańskiego brzmienia oraz brak potencjalnych hitów spowodowały bardzo surowe głosy krytyków i fanów, no i mierną sprzedaż płyty. W konsekwencji grupa się rozpadła.

PROBLEMS GOT ME PESSIMISTIC / I SET MYSELF ON A QUEST FOR TRUTH

Charyzmatyczna wokalistka Dionne Farris jeszcze w 1994 roku nagrała swój solowy album „Wild Seed – Wild Flower", który okazał się dużo większym sukcesem niż krążek grupy. Nie dziwnego, bo zaprosiła na niego świetnych muzyków, żeby wymienić tylko Lenny'ego Kravitza. Eklektyzm poprzez połączenie takich gatunków jak soul, rock, pop i folk nadał płycie ponadczasowości. Słucha się jej bez zażenowania po dziś dzień, mimo że technika – jak wiemy – była dużo uboższa.

Speech także wyruszył ostro ze swoją karierą solową. Był to jednak rajd jeźdźca bez głowy. Jego „Speech" to istna tragedia. Kompletnie niekomunikatywny album, który był raczej kontynuacją „Zingalamaduni", przeszedłby kompletnie bez echa, gdyby nie to, że artysta był bądź co bądź liderem Arrested Development. Echo jednak było tak niewielkie jak pogłos skrzeczących drzwi w mieszkaniu. Czy ktoś to słyszy w skali bloku? Czasem. Sprzedaż była tak słaba jak sprzedaż polskich debiutów z rapem. Tylko kawałek „Ghetto Sex" jest godny uwagi. Całe szczęście, że „Hoopla" z roku trzech dziewiątek była już bardziej przystępna. Z niej pochodziła „The Hey Song". To już było stłuczenie szklanki, wracając do poprzedniej metafory.

DON'T KNOW WHERE I CAN GO

W zasadzie droga była jedna: reaktywować stary skład. Nie było to jednak proste. Takie kroki zostały podjęte już w 2000 roku, ale na efekt finalny trzeba było jeszcze poczekać. Speech zdążył wydać kolejne dwa albumy: „Spiritual People" i „Down South Production". O niebo lepsze i rzucające promyk nadziei na to, że reaktywacja może się powieść. W międzyczasie wychodzi jeszcze płyta z remiksami „Extended Revolution" i „Heroes Of The Harvest" na japoński rynek, które mają być przystawką przed głównym daniem – „Among The Trees".

Mimo tego, że z oryginalnego składu zostały raczej strzępy, to płyta chwyciła. Nie była spektakularnym sukcesem, bo przecież rynek muzyczny zmienił się przez te lata i zapotrzebowanie na tego typu muzykę było sporo mniejsze. Grupa zaś mocno się promowała (m.in. odwiedzając Polskę i grając tu jedyny koncert w warszawskim CDQ), a singiel „Honeymoon Day" śmigał po kanałach telewizyjnych... tylko że w środku nocy. Speech jeszcze raz spróbował sił solo, nagrywając „The Vagabond". W naszym kraju pewnie nikt o tym nie słyszał, ale w Stanach krążek znajdował się w przeróżnych zestawieniach obok chociażby „Be" Commona.

Mamy rok 2006. Od założenia grupy minęło już prawie dwie dekady. Skład zawęził się z 12 do 7 osób. Każdy dobrze wie, co króluje i co się sprzedaje w telewizji. Czy jest tam jeszcze miejsce na single z „Since The Last Time" ze swoim lekko przytemeperowanym afrocentryzmem za[illegible] z ek[illegible]gicznym przesłaniem? Wątpliwe. Jest jednak dla niej nisza i warto czasem zwrócić uwagę na powracające legendy.

Wszystkie śródtytuły pochodzą z kawałka „Tennessee" z płyty Three Years, Five Months And T[illegible] Days In The Life Of..." bohaterów tego artykułu

tekst Marcin Flint
foto Dominika Cess

Kiedy pojawił się pomysł na całą płytę z remiksami? Na świeżo po płycie „Vabang!", czy w miarę grania z nią koncertów i obserwowania, jak jest przyjmowana?

Daddy Raffi: Tak naprawdę, to zaczęło się w trakcie nagrywania pierwszej płyty. Zrobiliśmy dwa remiksy i spodobały nam się na tyle, że stwierdziliśmy, iż warto byłoby wydać album zawierający ich więcej.

Mothashipp: Spotkania z artystami podczas koncertów utwierdzały nas tylko w tym przekonaniu.

Emili Jones: Oni mówili, że podobał im się koncert, my chwaliliśmy się, że robimy płytę z remiksami. Często reakcją było: „O, super, to byśmy zrobili dla was jeden".

Z zagranicznymi, nieraz utytułowanymi twórcami też szło tak lekko?

DR: Oni przysłali najwięcej.

EJ: A co, zagraniczni to lepsi czy gorsi?

Być może trudniej dostępni i trudniejsi do namówienia.

EJ: Każdy z nich przejawiał chęć. Było tak, że trzeba było kogoś prosić?

DR: Trzeba było bardziej wiązać.

EJ: Ręce ściślej i od razu inna rozmowa.

Sporo artystów jest przywiązanych do oryginalnych wersji swoich kompozycji. Nie mieliście lęków na zasadzie: „O Boże, co ta grupa zrobi z naszym dopieszczanym godzinami utworem"?

M: Jesteśmy szczęśliwymi ludźmi. Nie mamy lęków i zbyt wielu problemów ze sobą. Mieliśmy za to ostateczne prawo głosu.

M: Improwizuje się w nim dużo korzystając z bluesa. Jest w tym dużo energii i radości. Ernest Ranglin albo Monty Alexander grają inaczej niż Europejczycy czy nawet Amerykanie.

Właśnie, niby płyta nazywa się „Dubang!", ale dub nie jest przecież jedynym gatunkiem, jaki można na niej znaleźć. Nazwa może być nieco myląca.

Pablopavo: Potraktowaliśmy słowo „dub" jako sposób przetwarzania muzyki. Chodziło o postprodukcyjną zmianę, dub jest wszak ojcem remiksów wszelakich. „Dubang!" to ładne słowo. „Remix bang" nie byłoby już takie fajne, to po pierwsze. Po drugie, na krążku jest trochę dubu, wersje hip-hopowe, trochę nowoczesnej muzyki, ale wszystkie wersje są „zdubowane", przetworzone przez wrażliwość artystów, którzy je robili. Są pewno ludzie dla których dubem jest hip-hop. Kiedy DJ Mario myśli, żeby coś zmienić, to kombinuje kategoriami hip-hopowymi, choć ma na myśli dub. Tyle że on tego nie wie. Nie wie, że jest dubowym artystą. A myśmy to jemu i innym uświadomili.

To, co zrobił dla Was Mario, trochę odbiega od tego, co zdaje się go teraz kręcić. Na pewno nie wpływaliście na artystów?

P: Nie. Każdemu po usłyszeniu piosenki coś się rzuciło do głowy. Jedni mówią, że rzucił mu się westcoast, mi się to kojarzy z Alliance Ethnik, starym francuskim graniem. Wszyscy, z którymi współpracowaliśmy, to poważni ludzie i daliśmy im wolną rękę.

Nie wszystkie utwory traktowane są na równi. „Jah jest prezydentem" jest trzykrotnie, niektórych kawałków z „Vabang!" nie ma w ogóle.

Macie teraz więcej swobody w planowaniu. Już przy poprzedniej rozmowie reggae rokowało dobrze, teraz stoi na nogach bardzo pewnie. Dobrze się sprzedaje, na Wasz koncert przychodzi tysiąc osób. To już moda.

P: Moda idzie i postępuje, ale z modami jest tak, że przemijają. Nie obawiam się tego, bo i tak będziemy robić, co robimy. Może być jak z hip-hopem, że rośnie, rośnie i wszyscy myślą, że będzie rosło w nieskończoność, a tu zaczyna spadać. Eksploatowane zanadto przemijają. Reggae ma dużo nisz i można je na szczęście długo penetrować. Z hip-hopem jest zresztą podobnie, ale media zawęziły go do mainstreamu amerykańsko-polskiego. Wszyscy tymczasem dobrze wiemy, że dzieją się w nim fantastyczne rzeczy.

Wracamy do odjechanych pomysłów. Czyj remiks zaskoczył Was najbardziej?

DR: DJ'a Zero. Nie spodziewaliśmy się, że tak zobaczy ten utwór.

EJ: DJ Zero i Lubay. Lubay zremiksował także wokale, przerytmizował wokalne linie. Za to wielki szacunek.

M: Mnie najbardziej zaskoczył remiks „Fatal Error".

Z tym utworem, czy może bardziej skitem, na pewno wiąże się jakaś historia.

Mr. Reggaenerator: Okazało się, że remiksów jest trzynaście. Ja nie chciałem tej liczby w ogóle pisać, tylko od razu przeskoczyć do czternastki. Na próbie padła jednak idea, żebyśmy coś wymyślili. Ktoś krzyknął, żeby zrobić numer pod tytułem „Fatal Error", ja wymyśliłem DJ'a Disconnected, który podzielił się potem przy okazji zabaw na Disco'n'ected. To nieznany DJ, a jako jedyny wziął za remiks hajs (śmiech).



Piosenki Vavamuffin, reggae'owej sensacji 2005 r., właśnie zyskały nową oprawę. Grupie towarzyszy jednak ta sama pozytywna energia

VAVAMUFFIN
ZDUBOWANI

Sami zrobiliście ciekawą wersję „Bless". Skąd pomysł na remiks w stylistyce jamaican jazz?

M: Mamy w zespole agentów od dawna zainteresowanych kulturą jamajską, nie tylko tą nowoczesną, ale również korzeniami. Brzmieniowo wyszło nam przyzwoicie, choć można było to troszkę bardziej „zniszczyć".

A czym charakteryzuje się jamajski jazz?

DR: To nurt wywodzący się z rocksteady (gatunek muzyczny na Jamajce w latach 60., następca ska, prekursor reggae – przyp. red.).

DR: To właśnie świadczy o wolności artystów. Dotyczyła również wyboru utworów. Niektórzy wybrali ten sam.

EJ: I u każdego brzmi zupełnie inaczej.

P: Bo to trzy różne pomysły. Jeden, powiedzmy hip-hopowy Feel-X'a, drugi dubowo-2stepowy Dziurexa i absolutnie odjechany pomysł Lubaya z klaskaniem oraz bhangrą. Z powodów zdrowotnych nie ma niestety remixu Pechaya, jednego z twórców drum'n'bassu. Stąd brak „Smoking" – zaklepał to, a my czekaliśmy do ostatniej chwili. Nic straconego, mamy póki co założenie, żeby każda z płyt Vavamuffin miała swoją wersję dubową czy remiksową.

Na koniec zapytam o plany. Wiadomo, że zupełnie inaczej brzmicie w studio i na koncertach, więc może wersja live?

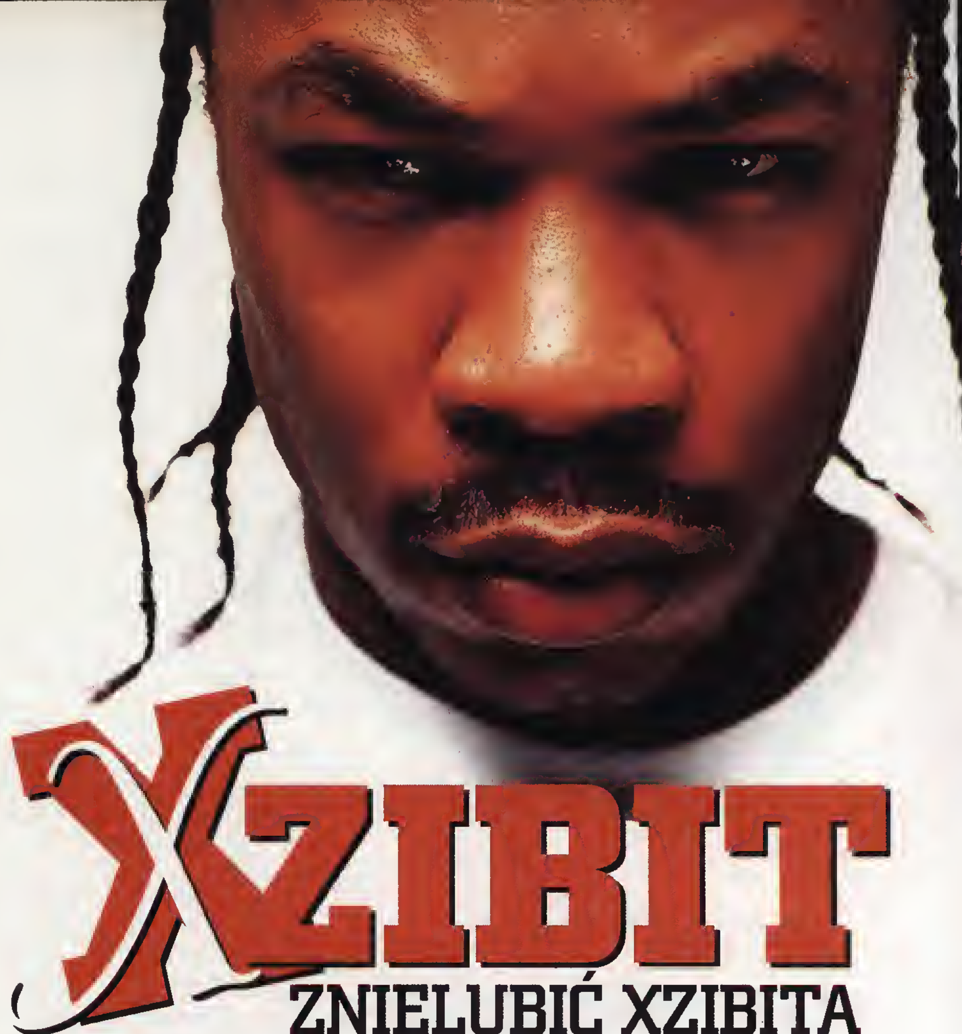
DR: Na razie kupujemy sprzęt. Kiedy będzie dobry, pomyślimy.

P: Nie chcemy w nieskończoność mnożyć bytów.

„Oabang!", „Live", potem „The best of"...

P: I siedzimy na Majorce... Prędzej już wydawnictwo DVD, ale to po nowej płycie. Nią zajmujemy się ostatnio – będzie lepiej nagrana, bo i my jesteśmy mądrzejsi, starsi i lepiej gramy. W grudniu planujemy singiel, całość na marzec. Wstyd przyznać, ale najbardziej ociągają się wokaliści (uśmiech).

tekst Dominika Cess



XZIBIT
ZNIELUBIĆ XZIBITA

Xzibit wydaje się wam zajebisty? Polak nie jest taki, żeby nie znalazł powodów, dla których można go nie lubić. Oto kilka z nich...

1. WYSZEDŁ NA LUDZI

Zamiast urodzić się w Warszawie w stanie Illinois, w Warszawie w stanie Ohio lub kilku innych amerykańskich Warszawach, co z pewnością pomogłoby promocji naszego kraju, on bezczelnie przyszedł na świat w Detroit. Jednak tuż po śmierci matki wyprowadził się wraz z ojcem, jego nową żoną i rodzeństwem do Nowego Meksyku. Mógł tam odpocząć od hałasu i zamętu „motorowego miasta" i zamiast spalin wdychać aromat pustynnego piachu, spacerując wśród kaktusów i kojotów.

On jednak zareagował agresją. Wstępując do niezbyt elitarnego grona „trudnej młodzieży" zaczął rozmyślać, co chciałby zrobić ze swoim życiem. Jak dziś przyznaje, „Miałem duży wybór... Zawsze będę kochał muzykę, ale zdałem sobie sprawę, że nie mam samolotu, nie mam łodzi, nie zostanę także dobrym dilerem narkotyków, muszę więc wykorzystać to, co mam, by dostać się tam, gdzie chcę być". Co więc zrobił? Wziął nogi za pas i wyniósł się z domu do słonecznej Kalifornii. Tam znalazł pracę w sklepie odzieżowym, ale szuflady zapychał raczej nowymi tekstami. Wieczorami zaś wdawał się w regularne bitwy na rymy w lokalnych spelunach. To tam został zauważony i wciągnięty do kolektywu Likwit Crew. Od tego momentu przestał być jednym z miliona zwykłych kolesi i stał się jednym z tysiąca raperów.

2. MA ZNAJOMOŚCI

Wyliczankę wypadałoby zacząć od samego Kinga Tee, jednej z legend kalifornijskiej sceny. Najpierw pomógł zaistnieć Alkaholiksom, a potem wyciągnął pomocną dłoń ku X'owi (swoją drogą, czy przypuszczalibyście, że ten groźnie patrzący, dobrze zbudowany raper nazywa się Alvin Nathaniel Joiner IV?). Dzięki temu prawdziwi koneserzy westcoastu mogli usłyszeć dokonania naszego bohatera już na „IV Life" Kinga Tee z 1994 roku. Rok później Alvin pojawił się gościnnie w utworze „Hit And Run" z drugiej płyty Tha Liks i dopiero ta kooperacja pozwoliła mu zwrócić na siebie uwagę.

Po wyjściu ze studia cała radosna i zapewne nieźle podpita ekipa pojechała w tournee po Stanach. Efekt? Świetna promocja tuż przed wydaniem debiutanckiego „At The Speed Of Life", gdzie Xzibita wspomogli także DJ Muggs, Diamond D i Ras Kass. Jednak prawdziwym cudotwórcą w dziedzinie organizowania towarzystwa okazał się Dr. Dre, który zaprosił Xzibita do występu obok Eminema w utworze „What's The Difference" i w piosence zbiorowej „Some L.A. Niggaz" z albumu „2001".

Po tym wydarzeniu notesik z kontaktami wzbogacił się we wpisy. Nate Dogg, Too Short, KRS One, Method Man, Snoop, The Game, Kurupt, Eminem, Busta Rhymes. X może się pochwalić tym, że rymował na bitach Scotta Storcha, Quika, Hi-Teka, ale także Rockwildera czy Premiera. Możecie powiedzieć, że jest po prostu dobry, choć z drugiej strony za pewne rzeczy łatwiej zapłacić kartą Mastercard...

3. MA GŁOS

Nie można odmówić Xzibitowi tego, że ma głos – i to w każdym znaczeniu tego słowa. Bezczelnie wykorzystuje wszelkie jego walory. Odpowiednio niski, odpowiednio naładowany emocjami, odpowiednio wyrzucony, by podkreślić konkretne frazy. Ten gość nie dość, że dostał w prezencie od życia taki fajny wokal, to jeszcze ma flow i styl (hej Polacy, nie uważacie, że to za dużo na raz?). Choć jego teksty raczej nie stanowią tomiku poezji studenta literatury romantycznej, to można powiedzieć, że także za ich pomocą zabiera głos w pewnych sprawach. Nie mam tu na myśli tej części kawałków, w których mówi, jaki był zły albo jak fajnie być pieprzonym alkoholikiem, a raczej teksty, w których ocenia (a raczej poniża) innych i mówi o sobie. Jest uważany za jednego z lepszych w tej dziedzinie. Może być w miarę uprzejmy, jak w dissie na Jermaine'a Dupriego: „Jak jesteś tak bardzo, bardzo głuchy (So So Def.to wytwórnia JD – przyp. red.), dziwko, zdobądź aparat słuchowy", albo jak w innych utworach: „Wyobraź sobie, jak zgniatasz mnie swoją gadką-szmatką, to jakby Christopher Reeves próbował tańczyć elektro". Ale jest też w stanie powiedzieć komuś po prostu: „Trudno ci mówić z chujem w gębie". Chcielibyście mieć takiego przyjemniaka za sąsiada?

4. MA PRZEBOJE

Trzeba przyznać, że każda jego płyta to przynajmniej jeden hicior. Począwszy od rzewnego i patetycznego „Paparazzi" (kto pamięta te wspaniałe ujęcia na plaży, klasyk prawie jak Puff Daddy w mokrym podkoszulku) i „The Foundation" z debiutu, potem były praktycznie same hity z albumu „40 Dayz And 40 Nights", ale to za sprawą singli „L. A. Times" i „What You See Is What You Get" płyta sprzedała się ponoć w 1,4 miliona egzemplarzach na całym świecie. Potem był legendarny „X" i cała sala robi wielkie X za pomocą rąk! „Multiply" – kto z was w tamtym czasie nie skakał do tego jointa w klubie? „Hey Now (Mean Muggin')" samo wpada w ucho, ale chyba nie na tyle, by przebić rekord sprzedaży ustanowiony przez przebojową trzecią płytę „Restless" (1,5 miliona egzemplarzy w samych Stanach). Teraz wszyscy się zastanawiają, czy którykolwiek z singli na „Full Circle" dorówna poprzednikom. Warto jednak zauważyć, że Xzibit utrzymuje tempo wydawania nowych płyt co 2 lata i tak już od dekady. Pozazdrościć kondycji...

5. MA FURY

Samochód to dla każdego zmotoryzowanego sąsiada znacznie lepszy powód do zazdrości niż jakieś tam piosenki. Xzibit ma na własność prawdziwą limuzynę wśród samochodów terenowych, Hummera H2, choć w jego garażu jest też miejsce dla Cadillaka Escalade i Mercedesa. Najgorsze, że co chwila jeździ innym samochodem. Wszystkie prędzej czy później wyglądają jak sen szalonego impresjonisty, a to za sprawą programu „Pimp My Ride". Sam Alvin Nathaniel mówi, że to nie jest program o samochodach tylko o dzieciakach i o tym, kim się stają, kiedy pod koniec odcinka wyjeżdżają swoim przerobionym samochodem. Nie dajcie się zwieść pozorom – to program o ludziach, którzy zapuszczają swoje auta do tego stopnia, że mają dziury w podłogach i gąbkę zamiast tapicerki, i o bandzie kolesi, którzy z uporem maniaka przez 6 lat montują w każdym kolejnym aucie co najmniej 3 monitory LCD, kilka dobrze pierdzących głośników i odtwarzacz DVD z bonusową kolekcją klipów Xzibita. No i jak tu ich wszystkich lubić?



GRAMOFONOWI LUDZIE
DANIEL DRUMZ i MENTALCUT

Daniel Drumz jest ze Stalowej Woli, MentalCut z Poznania. Dzieli ich masa kilometrów, łączy sentyment do głębokiego basu i przestrzennych sampli, seria jazzowych mixtape'ów i wysoki poziom. Z tym pierwszym przeanalizujemy elementy okładki jego ostatniego mixtape'u. Drugi przeprowadzi nas przez meandry swojej szerokiej aktywności

pytał Marcin Flint

DANIEL DRUMZ

Na okładce widać winyle De La Soul i ATCQ. Zresztą tytuł twojego mix-cd nawiązuje do utworu tych drugich. To ojcowie Native Tongues, na płycie szeroko obecne są również „dzieci" tej ekipy: Kweli, Mos Def, Bush Babees, Slum Village. Wychodzi na to, że jesteś w wobec tego takim „polskim wnuczkiem".

Haha, nie mam nic przeciwko. W sumie jak pierwszy raz usłyszałem ATCQ, to miałem nie więcej niż 8-9 lat, więc to określenie jest chyba najodpowiedniejsze.

Nie pokazujesz twarzy, widać za to koszulkę z napisem „Dilla lives!". Nie obawiasz się, że Dillę czeka dość obrzydliwy pośmiertny żywot w stylu 2Paca i nie za bardzo jest się z czego cieszyć?

Hm, wątpię. Po pierwsze, wizerunek rapera jest jednak łatwiej sprzedać. Jay Dee, nawet teraz po śmierci, jest dosyć undergroundową postacią. Bez wątpienia to geniusz, który zmienił całkowicie hip-hop, neo-soul, broken beat i nie wiadomo co jeszcze, ale wątpię, żeby kojarzyło go sporo osób nie poruszających się swobodnie w hip-hopie. 2Paca natomiast znają wszyscy, odszedł w nieco innych okolicznościach i innym czasie. To też miało spore znaczenie.

Poniżej tytułu mixu kolejny raz przypominasz słuchaczom, że DJ Taśmy to teraz Daniel Drumz. Czyżby zmieniło się znacznie więcej niż ksywka? Widać, że zacząłeś interesować się produkcją.

Generalnie zmieniło się bardzo dużo. Przede wszystkim moje podejście do muzyki, którą gram, ale też do muzyki w ogóle, między innymi właśnie dlatego zrezygnowałem z udziału w ITF/IDA na rzecz produkcji. Dla mnie to kolejny etap, coś bardzo naturalnego.

Ostatnio rozmawiałem z pewną dwójką, która uparcie nazywała cię „Dinal Drumz". Cenisz sobie chyba grę solo, nie chcesz być związany na stałe z jakimś zespołem, crew i tak dalej?

Haha, ciekawe o kim mowa, pozdrawiam Opole (śmiech). W każdym razie nie do końca się z tobą zgodzę. Co prawda zachowuję sporą niezależność w tym, co robię, ale moje crew to Grammatik i projekty pokrewne i generalnie bardzo sobie cenię układ, jaki mam z chłopakami.

Prawy górny róg okładki. Barry White. Dobrze ktoś ostatnio zauważył, że w Polsce słabo rozumie się hip-hop, bo nie miał z czego wyrosnąć. Choć akurat Twoi goście, Smark i Pat Patent, wydają się doskonale go rozumieć. Jego korzenie zresztą również.

Smark na początku miał rapować pod jakiś hip--hopowy beat, ale w momencie kiedy podesłałem mu pierwsze szkice i usłyszał numer Kleeer w mixie, wiedział, że właśnie do tego numeru musi coś nagrać. Pat jest świetnym producentem, poza tym bardzo dobrze się rozumiemy, gramy razem sporo imprez i to, co zrobił na „Electric Relaxation", jest dokładnie tym, co chciałbym tam nagrać, gdybym grał tak na klawiszach jak on (śmiech). Nie wiem, jak dużo osób pamięta, że Smark też produkował bity, a jeżeli jesteś producentem i dorastałeś na hip-hopie z lat 90., to po prostu nie możesz nie znać pojęcia „breaks" itd. Mnie ciekawość nie pozwoliłaby nie wiedzieć, jak powstała muzyka, która zmieniła moje życie.

Tuż obok Barry'ego jest Anglik Ty. Obserwujesz brytyjską scenę? Masz jakiś pomysł, skąd na Wyspach tyle kreatywności?

W sumie nie za bardzo ją obserwuję. Praktycznie śledzę tylko płyty Ty'a i Roots Manuvy. W Anglii

NIELEGALE



recenzował Flint



DANIEL DRUMZ
ELECTRIC RELAXATION
WWW.DANIELDRUMZ.COM

DJ Daniel Drumz zgodnie z tytułem funduje czysty relaks. Trzeba przyznać, że osiągnął prawdziwe mistrzostwo w harmonijnym miksowaniu, mało kto ma więcej wyczucia i robi rzeczy bardziej spójne. Z drugiej strony miał ułatwione zadanie o tyle, że zamiast natłoku artystów jest garstka takich, z których czerpie się bardzo hojnie: Kweli, Bush Babees, Dwele. I niestety, jeśli ktoś za taką muzyką nie przepada, bardzo wątpliwe, by ów mix-cd mu się spodobał. Daniel dba o urozmaicenia, trafia się blend, utwory często są w remiksach, trafiamy na miłe soulowo-funkowe akcenty. Dwa razy pojawia się król undergroundu Smark, producenckie patenty Pata Patenta mogą budzić u konkurencji tylko zazdrość. Co tu dużo gadać, fantastycznie wyszło. Ciepło, z głębią, matowo, z retro posmakiem. Ten mixtape można postawić obok świetnie edukujących i znakomicie wykonanych mixtape'ów Twistera. Absolutna czołówka.



HEAVYWAIT
REMIXES VOL. 1
WWW.DJMENTALCUT.COM

Żeby nie było – remiksy MentalCuta i Icka to dużo pracy i parę intrygujących pomysłów. To ludzie z całą pewnością nieprzypadkowi i muzycznie uświadomieni. Z rezultatem ich roboty zapoznać się można, jednak nie trzeba. MentalCut sięga po sample na tyle ciężkie, histeryczne i rozbudowane, iż wokal właściwie przestaje być ważny. Gdzieś tam utwory stają się sztuką dla sztuki, numery nie płyną, tracą dynamikę, słuchanie ich sprawia umiarkowaną przyjemność. Zwłaszcza w wypadku Nasa i Wu-Tangu, bo Quasimoto i Aesop Rock już w oryginale nie grzeszą normalnością. Icek ma styl bardziej bujający, pełen wigoru, choć brak mu dopracowania i tłustości słyszalnej u Kut-O czy Metro. Mówiąc

zawsze dużo więcej działo się w muzyce elektronicznej. Bugz In The Attic, Mark De Clive-Lowe itd. Na Wyspach masz ogromną wielokulturowość, masę imigrantów z byłych kolonii. Poza tym, warunki wydawnicze są najlepsze w Europie.

Na koniec wnętrze okładki i reprezentant polskiego jazzu – Krzysztof Zgraja. I tu dwa pytania. Pierwsze: jak to jest, że muzyka mająca opinię hermetycznej i – jak szydzii Tymański – ziohącej „czosnkiem i kiełbasą" stała się nagle inspiracją modnych wokalistek, speców od cut&paste, dj'ów, producentów?

Jazz, soul, funk są w tej chwili wszędzie. Fani muzyki house zdziwiliby się, jak sporo w tej muzyce jest pętli funkowych (śmiech). W momencie kiedy masz do wyboru albo wtórne, nudne pętle, albo oryginalne, bogate aranżacje, to wiadomo, że druga opcja jest o wiele bardziej interesująca, zakładając oczywiście, że w muzyce interesuję cię przede wszystkim muzyka. Poza tym, powoli w końcu wszyscy odkrywają, że w Polsce naprawdę robiło się świetną muzykę na światowym poziomie.

Drugie: czy podejmując zaczętą przez MentalCuta serię „Footprints" starałeś się jakkolwiek nawiązać od poprzednich części?

Mój mix jazzowy żył całkowicie innym życiem niż seria „Footprints". Nagrałem go na swoją stronę, a dopiero później miałem zabierać się za „Footprints". Przed publikacją na www podesłałem wszystko MentalCutowi, jemu bardzo spodobał się ten mix i zaproponował, żeby to właśnie ta wersja była trzecią częścią „Footprints". Oto cała historia.



MENTALCUT

Już wiesz, że pojawisz się na drugiej części turntablistycznej składanki „Cuts of Culture". Tym samym znajdziesz się wśród wielu prestiżowych ksywek. Jak udało Ci się to zrobić i jak wiele to dla Ciebie znaczy?

Ja i Eprom jesteśmy jedynymi polskimi turntablistami, którzy zostaną wydani przez zachodnią wytwórnię. Płyta ukaże się pod szyldem Eclectic Breaks, dla której pracuje Laurent Fintoni, twórca internetowego „Turntable Radio". Przyjaźnimy się od pewnego czasu, dotychczas pełniłem jednak funkcję „informatora", pisałem ludziom w Anglii czy Stanach, co ciekawego dzieje się w polskim turntablismie. Parę miesięcy temu nagrałem swój showcase video, wrzuciłem do netu, spodobał się wielu osobom i wtedy Eclectic Breaks zgłosili się do mnie z chęcią wydania owego showcase'u na płycie DVD dołączonej do „Cuts of Culture". Będą tam także Netik, D-Styles, Rafik i cała masa innych pierwszoplanowanych dla światowego tablismu postaci. Kompilacja ukaże się w styczniu w Europie, USA i Japonii. Jestem naprawdę szczęśliwy i uważam, że to duży krok nie tylko dla nas, ale dla całego polskiego dj'ingu.

Pierwszym „Footprints" zainaugurowałeś serię jazzowych mixtape'ów, na „Attention" łączysz electro, funk i breakbeat, ostatnio remiksowałeś hh od Def Jux po Stones Throw, przy okazji imprez grasz też angielski grime. Co przyciąga Cię do tak wielu gatunków i co odnajdujesz w każdym z nich?

Nigdy nie ograniczałem się do jednego gatunku, byłoby to po prostu nudne. Zresztą turntablism to przecież umiejętność posługiwania się instrumentem, a nie przyporządkowanie do konkretnego nurtu. Hip-hop zawsze był u mnie na pierwszym miejscu, słucham tej muzyki od kilkunastu lat. W jazz wkręciłem się właśnie dzięki takim producentom jak Madlib, czy dzięki temu, co lubiłem wcześniej – Mood, ATCQ itp. Mój ostatni mixtape „Attention" jest esencją tego, co obecnie uważam za dobrą muzykę na imprezy. Żałuję tylko, że prząśny polski naród nie jest tego samego zdania (śmiech). Oczywiście w każdym gatunku odnajduję wspólne elementy. Lubię głębokie basy, dobrze rozmieszczone w przestrzeni sample i ciężkie bębny. Dlatego uwielbiam dubstep, Wiley'a, lecz także Madliba i przede wszystkim produkcje J Dilli z ostatnich 2-3 lat jego działalności.

Żeby zdać sobie sprawę z pełnej aktywności MentalCuta, trzeba dodać trzy terminy: „Aiiight", HeavyWait, skrecz.com. Mógłbyś krótko opisać każdą z inicjatyw i swoją rolę w niej?

„Aiiight" to cotygodniowa audycja na antenie poznańskiego Radia Merkury. Niestety, zawieszona do końca roku ze względu na pośrednie skutki wprowadzenia do zarządu radia polityka LPR do tej pory odpowiedzialnego za dowozy ciastek do hurtowni czy coś w tym rodzaju. W audycji pełnię funkcję producenta, realizatora i współtwórcy. HeavyWait Records to label, obecnie tylko internetowy. Jestem jego szefem i artystą w nim wydającym. Pozostałe zrzeszone w tej inicjatywie osoby to raper Prof, Icek i Piotruś Pan (zwycięzca Skrecz.com Battle 2006). Naszym najnowszym releasem są „HeavyWait Remixes", w planach mamy zaś EP-kę Profa na bitach Metro, Pata Patenta, moich, Icka i innych beatmakerów. Sprawdzajcie na bieżąco stronę heavywait.net. Natomiast skrecz.com to najpopularniejszy polski serwis internetowy, z najlepszym forum i wszystkim innym co najlepsze, pracuję tam.

Gdybym na podstawie Twojej biografii miał wynotować rady dla młodych dj'ów, brzmiałyby tak: „Pracuj wściekle dużo, w żadnym wypadku nie unikaj zawodów i nie zabiegaj o rozgłos". Coś jeszcze?

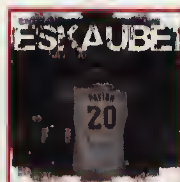
To nie do końca prawda, bo dbam o promocję swoich działań. Z drugiej strony, przyznaję rację, że nie staram się, by moja muzyka stała się oprawą muzyczną festynów czy meczów piłkarskich. Obserwując turntablism w Polsce czuję, że tym młodym ludziom nie trzeba dawać żadnych rad. Ambitnie pracują nad techniką, spotykają się w domach i nie przejmują się tym, co dzieje się w klubach. Co ciekawe, skillsy wielu z nich są o klasę wyższe niż tzw. DJ'ów rapowych.

Cały czas nie tkwisz w głównym nurcie muzycznej sceny Wielkopolski. Nie chciałbyś być jej integralną częścią jak choćby DJ Story?

Nigdy nie czułem się częścią lokalnej sceny hip-hopowej. Nie chodzi tu nawet o przeogromne różnice muzyczne, po prostu nie mam i nigdy nie miałem o czym z tymi ludźmi rozmawiać. O wypadach do popularnych dyskotek? Mogę pogadać o wypadzie na Rootsów do Berlina. O muzyce? Kiedy w latach 90. oni słuchali 2Paca, dla mnie wyznacznikiem jakości były audycje Druha Sławka. Dziś mam wrażenie, że nie zmieniło się nic oprócz tego, że 2Paca zastąpił DMX czy jakiś inny wynalazek. Nic nie mam do ich muzyki. Wiem, jak brzmi i wiem, że to coś innego niż mój styl.

---

krótko, jego funkowy vibe jest biały. Zabił lekkość Eryki Badu, stłamsił remiksowane tysiąc razy „Woo-Hah!!!" Busty Rhymesa, świetnie za to poradził sobie z Masta Ace'em. Z ciekawością patrzę więc na przyszłość HeavyWait.



ESKAUBEI
NA RELAKSIE MIXTAPE
ESKAUBEI@O2.PL

A właśnie, że nie na relaksie, bo najlepiej Eskaubei wypada tutaj, kiedy ma ciśnienie bądź przebija przez niego rozgoryczenie. Początek (konkretnie zaś „3 x intro" i „Lód w sercach") i koniec mixtape'u to świetne momenty. O ile Eskaubei-poczciwina, miły misio, który każdemu przybije piątkę i nagrywa rapy o robieniu rapu przynudza i pożyczone beaty niosą go gorzej od własnych, to Eskaubei-głodny mc z długim stażem, który chce „rekontrę dojebać" tym, których rap woła o „pomstę do nieba", jest zajebisty. Trochę czasu minęło od premiery tego wydawnictwa, warto je jednak przesłuchać. Rzeszowianin na dobre rozpoczął marsz po swoje – jeśli będzie miał taką rękę do beatów jak na poprzedniej płycie i gość od nagrywania wokali zmusi go, by nawijał czyściej i staranniej, jestem dobrej myśli.



TYBET
MENTOLOVE MIXTAPE
WWW.ITSME.PL

Tybet to weteran i jeden z mocniejszych, a przy okazji bardziej zaawansowanych stażem graczy na południowym wschodzie, z kredytem zaufania po paru dobrych numerach, więc nie wypada go pominąć. Tak myślałem przed przesłuchaniem, bo jednak wyszedł z tego Tede dla biednych. Pożyczone podkłady są strasznie plastikowe, minimalistyczne i nowoczesne, a ZNA zamiast rapu dostarcza dwa drum'n'bassy. Gospodarz za bardzo chciał wykorzystać swoje możliwości w kwestii flow. Być może przecenił je nieco, bo brzmi jak jamnik, który popiskując i ujadając biega koło nogi nie wiedząc, jak ją ugryźć. Jazgot, masa nieświeżych, przeszarżowanych linijek, dwie znakomite. Jedna o pannie, która „jak ciągnie, to zasysasz dupą prześcieradło". Druga z najlepszego na płycie „Newschoolu" – „Nie ma podziemia / jest pot i ziemia". Dzięki nim nie uznałem czasu za stracony. Uwaga, wszyscy mc, którzy czują się nazbyt gorący – podczas nagrywania trzymajcie jaja w zimnej wodzie.



INNA STRONA MUZYKI
WILL HOLLAND / QUANTIC

Stojący za projektem Quantic brytyjski producent, didżej i multiinstrumentalista Will Holland to prawdziwy człowiek orkiestra. Gra m.in. na gitarze, saksofonie, organach, klawiszach i basie. Nie ma jeszcze trzech kresek na karku, a zdobył już pozycję uprawniającą go spokojnie do miana żywej legendy współczesnych brzmień okołofunkowych

tekst Andrzej Cała

Żeby jednak nie pozostać gołosłownym, pora przejść do konkretów. Od połowy lat 90. Holland grywał na gitarze w różnych zespołach rockowych, były to jego pierwsze szlify na muzycznej scenie. Nazw tych grup nikt w zasadzie nie pamięta, bo też po co zaprzątać sobie głowę zupełnie nieistotnymi faktami na temat kapel meteorytów, które chwilę po rozpoczęciu swej działalności zwijały żagle? Will dobrze wiedział, że wielkiej przyszłości z tego nie będzie i w 1999 r. rozpoczął produkcję własnych nagrań. Jego styl od początku charakteryzowało najlepiej słowo eklektyzm. Funky rock, soul, muzyka etniczna, trochę hip-hopowej melodyki, szczypta house'owego groove'u i broken beatowej energii. To właśnie jego brzmienie. Połamane, ale płynące. Taneczne, ale rozluźniające i świetne do słuchania w zaciszu czterech ścian przy kubku wyśmienitej herbaty.

Początkiem prawdziwej kariery okazało się dla Hollanda wypuszczenie pierwszego singla pod szyldem Quantic – nagrania „We Got Soul" w 2000 r. Podpisał umowę z labelem Tru Thoughts (którego amerykańskim reprezentantem jest kapitalna oficyna Ubiquity) i w przeciągu dwóch lat wydał dwa długogrające albumy – „The 5th Exotic" (2001) i „Apricot Morning" (2002). Świetne przyjęcie tych wydawnictw, pozytywne opinie ze strony takich autorytetów odnośnie nowych czarnych brzmień jak Gilles Peterson, LTJ Bukem czy Mr. Scruff, nie mogły przejść bez echa. Od tego czasu materiały autorstwa Hollanda każdorazowo znajdują tysiące nabywców, którym artysta odwzajemnia się najlepiej jak umie. Wciąż szlifuje swój styl, dodając do nagrań elementy jazzu i nowych brzmień. Nie bawi się w klasyfikowanie swojej muzyki, bo też w jaką szufladkę włożyć twórczość kogoś, kto grywa na jazzowych festiwalach w Ameryce Północnej, wielkich rockowych spędach Roskilde czy Glastonbury, koncertując również jako support dla De La Soul czy główna atrakcja pikniku w Puerto Rico?! Nie da się tak.

Szczególnie, że mając na myśli Quantic, analogicznie przychodzi do głowy formacja Quantic Soul Orchestra. Jest to żywy band założony przez Hollanda z myślą o koncertach i wszelkich gigach. Muzyka QSO jest bardziej żywiołowa, rozbujana, energetyczna. Z grupą blisko współpracuje wspaniała wokalistka Alice Russell, której głos ozdabia każdorazowo kilka utworów na albumach formacji. Na sam koniec mamy projekt The Limp Twins z Russem Porterem. Całkiem sporo jak na typa, który debiutował oficjalnie pięć lat temu. Jego ostatnie projekty to opisywana miesiąc temu w „Ślizgu" płyta „An Announcement To Answer" oraz nagrana w ramach QSO płyta „I'm Thankful" z fantastyczną wokalistką soulową Spanky Wilson (pani obecna na scenie od lat 60.!).

Gwoli uzupełnienia, poniżej pełna dyskografia:
Quantic – „The 5th Exotic" (2001), „Apricot Morning" (2002), „Mishaps Happening" (2004), „One Off's Remixes And B Sides" (2006), „Quantic Presents World's Rarest Funk 45's" (2006), „An Announcement To Answer" (2006); Quantic Soul Orchestra – „Stampede" (2003), „Pushin On" (2005); Limp Twins – „Tales From Beyond The Groove" (2003).



LITTLE & DJ CHWIAŁ
DEMO
WWW.LITTLEDJCHWIAL.DOG.PL

„Mam 13 lat i bardzo lubię Dużego Pe" – tak Little'a podsumowała moja żona po chwili słuchania. Niesprawiedliwie, bo chłopaczyna z Włocławka rozwija się szybko – zgrabniej wplata follow-upy, powoli gubi naleciałości, a gówniarskie zająknięcie tylko urozmaica i tak już płynny flow. Pozostaje wyzbycie się linijek czerstwych (na zasadzie: „wy słabi, my zajebiści") i zrymowanych na siłę oraz kompleksu net-undergroundowca z małego miasta (przydużo gadania o www i WWA). Nie powinno być to trudne, bo taka „Szara Eminencja" jest jednym z lepszych kawałków podziemnych AD 2006, spostrzegawczość idzie tu w parze z humorem i daje kupę frajdy. Little klei też niezłe beaty (choć nie ma jeszcze „wykopu" jak u Bobera, a bas nie idzie tak kozacko jak u Scora, a całość nie jest tak dopieszczona jak u Szoguna – wszyscy oni dali po podkładzie), ma też we wsparcie w Chwiale, młodym DJ'u z kozacką ręką do cutów. Fajna epka i duża obietnica na przyszłość.



NIEUKUBEU
BIAŁY KRUK, CZY CZARNE OWCE?
ALBOALBO.INFO

Ani biały kruk, ani czarne owce. Fan podziemia powinien ten album mieć, jeśli nie z racji na poprawne flow raperów czy pomysły rzeszy nieznanych producentów (najlepiej zaprezentował się SebaKK i Kosa z Tulim, konia z rzędem temu, kto znał ich twórczość wcześniej...), to chociaż z racji na poligrafię. Trudno mówić o scenie w Zambrowie, ale Nieuk jest jednym z ciekawszych graczy „nowej Pragi", co najlepiej wskazuje przemyślane solowe „Nie wiem". Jest też druga strona medalu – panowie niby mają flow, jednak jeden i stały. Błaga o urozmaicenie (nie takie jak w „Regatach", gdzie Kubeu brzmi jak Blef). Producenci mają pomysły, ale nie umieją ich rozwinąć, nie mówiąc, że różnie jest z brzmieniem, a część remiksów jakby ignorowała wokale. O ile „Nie wiem" jest ciekawe, reszta płyty tekstowo dziwi wtórnością. Brak też przebojowych, zapamiętywalnych utworów w rodzaju „Alpinistyki", opartej na wpadającym w ucho samplu i niepotrzebnie tyle razy remiksowanej.



PRZECENIENI VS NIEDOCENIENI
EDAN

„Zamiast dziwek R'n'B zrobię refren z japońskimi dziećmi" – rymuje Edan, po czym słyszymy chórek piskliwych skośnookich bachorów. Czyżby deklaracja pedofilii o określonej preferencji rasowej? Nie, to raczej manifest niezależności, bo ten koleś prędzej dałby się wyruchać samurajowi niż przejął obowiązującymi trendami

tekst Hadero

Edana poznacie po kilku rzeczach i to zanim go jeszcze usłyszycie: roztrzepana fryzura, elegancki ubiór (nie ten od Ecko czy Hilfigera, lecz krawat i marynarka z second handu), multi-kolorowe okładki płyt i singli. Do tego cięty dowcip (na pytanie dziennikarza, jak uzyskuje tak surowe brzmienie bębnów, krótko odrzekł, że rzuca kanapką z kurczakiem o ścianę i nagrywa odgłosy kolizji), miłość do winylowych płyt (obecność na płycie Cut Chemista to zapewne wynik wspólnie dzielonego sentymentu do wosku), zaskakująco duża jak na młody wiek wiedza na temat hip-hopu, sympatia dla sztuki współczesnej i prześmieszna biografia zamieszczona na jego stronie. Po czym poznacie jego muzykę? Przede wszystkim po naturalnych bitach. To właśnie on dał Mr. Lifowi najbardziej funkowe podkłady na jego płytach.

Sprawdźmy dorobek tego kolesia. Cztery lata na scenie, dwa albumy, jedna epka, dwa mixtape'y oraz featuringi, które da się policzyć na palcach obu rąk. Macie rację, to niedużo, zwłaszcza w czasach, w których wydawanie dwóch albumów rocznie to niemal standard, w dodatku pochwalany. Sęk w tym, że produkcje Edana mają się nijak do współczesności – na debiucie („Primitive Plus") złożył bowiem hołd latom 80., z kolei ubiegłorocznym „Beauty And The Beat" zabrał słuchaczy w abstrakcyjną wyprawę w przyszłość.

Zatrzymajmy się na moment przy debiucie. „#1 Hit Record" to idealny przykład humoru bostończyka. Trafiamy tu na tak rubaszne wersy jak: „Gadam głupoty i rozkręcam imprezy / muszę zrobić pranie, bo moje pieprzone skarpety śmierdzą / ej, stary, to nie są żarty / zdejmuję buty i skurwysyny dławią się jedzeniem". Banalne i głupie? Pozornie. W kontekście końcówki („Ten numer będzie hitem") nabiera sensu, pozwala zrozumieć, że przeboje to tylko kawałki pełne bzdur. Radosne „Emcees Smoke Crack" brzmi niczym parodia Digital Underground, podczas gdy refren „Raperzy palą crack? / ja palę aluminium!" należy odczytać jaką błyskotliwą metaforę wyższości rapera, bycia „o krok dalej" od innych. „Mic Manipulator" jest dla autora okazją do świetnego braggadoccio i oddania szacunku dla mistrzów. Utwór tytułowy kładzie na łopatki. Na samplach klasycznych beat boxów słyszymy Edana na zmianę z... Edanem po efekcie „łyknięcia helu" – dynamiczny, perfekcyjnie zarymowany track, gdzie koniec wersu jednego „głosu" jest początkiem dla drugiego. Polecam zwłaszcza fanom dialogów Madliba z Quasimoto.

EP-ka „Sprain Your Tape Deck", prócz hołdu dla Schooly'ego D, kryje jeden z zabawniejszych tracków bostończyka, „Let's B. Friends". Bezczelnie wyluzowany numer, drwiący ze wszystkich raperów zgrywających twardzieli, których nasz bohater namawia, by „poszli z nim na spacer do parku poobserwować motyle" i „dali się zaprosić na lody". Brawurowy sarkazm, jeszcze jeden przejaw swoistego poczucia humoru. „Robię to świadomie. Daję ludziom alternatywę. Wszyscy lubią się śmiać, ale gdy słuchasz hip-hopu, masz wrażenie, że nikt się tu nie śmieje. Pieprzyć to!"

Na płycie „Beauty And The Beat" żartów już mniej, sporo natomiast brzmień dziwnych, gitar, przesterów. Krytycy ukuli na to termin „psychodeliczny hip-hop", tymczasem Edan tłumaczy im, że chciał „umieścić twarz Syda Barreta (kogo? – spytajcie rodziców) na korpusie Biz Marka z mózgiem Kool G Rapa". Wyszła rzecz odważna, jeden z ciekawszych krążków ubiegłego roku, album-kalejdoskop, w którym dzieje się potwornie dużo jak na 37 minut. „Murder Mystery" to fikcyjny storytelling z suspensem w stylu Edgara Allana Poe, ale bez śledztwa. „Fumbling Over Words That Rhyme" jest dwuminutową lekcją historii hip-hopu, poczynając od Kool Herca na Nasie kończąc. W „Rock And Roll" mamy coś więcej, to mistrzowska gra nazwami zespołów rockowych i tytułami kawałków, nie zawsze ulubionych (Kravitzowi się np. oberwało za kopiowanie Hendriksa). Dalej jest coraz trudniej: by załapać „Beauty", warto znać malarstwo współczesne, Dalego, symbolizm, bo inaczej „liczby spadające z zegarów o północy" pozostaną dla was narkotycznym bełkotem. A kolejny raz zapewniam, że tak nie jest. Tym razem to już muzyka ambitna.



834
KOLUMNY PŁONĄ
WWW.834.PL

VNM powoli odnajduje swój styl. Ma już własne patenty na flow i akcenty, nie przypominając już tak bardzo tych, którymi chciał być jeszcze niedawno. Szkoda, że nadal brak tu lekkości, czuć wymuszenie i spięcie. Mimo to, jest raperem, który przy większej pokorze jeszcze zamiesza. Gorzej z Boxim. U niego podwójne są jak szpila w ucho. Nienaturalne tak samo jak przestawianie akcentów, na które cierpi. Podobnie z flow, w którym nadał słyszalne echo zarówno tych z underu, jak i z oficjalnego obiegu. Tematyka jest taka jak zwykle. Nadal chłopaki „wymiatają i chcą pęgę za flow" i nadal „należy im się legal". Aż chce się wrzasnąć: „weź go, kurwa, w końcu wydaj, a nie gadaj o nim trzecią płytę". Chlubny wyjątek to lekki ekshibicjonizm w najlepszym „Efekcie motyla". Największym plusem na „Kolumny płoną" – płycie zmarnowanego potencjału – są bity Bobra. Fajnie tnie sample, perkusja wali jak powinna, aranże w jego przypadku to coś więcej niż dodanie jakiegoś dźwięku w refrenie. **(Kamelito)**



KONCEPT
LOKALNE RAPY EP
REPREZENTUJ.PL

Jeżeli męczy cię złożony, dopieszczony rap podany grzecznym głosem na bogato zaaranżowany podkład... Jeżeli wymagasz, żeby rapowano do ciebie zupełnie wprost, na nieskomplikowane tematy i głosami, przy których uczniowie gimnazjum nerwowo łapią za komórki w kieszeniach, a mimo wszystko nie życzysz sobie patologii i nie chcesz mieć wrażenia przeniesienia się o 8 lat do tyłu... Jeśli beat ma szeleścić i trzeszczeć, służyć do bujania łbem, nie podziwiania i rozczulania się nad subtelnym pięknem każdego jego elementu... Tak, wtedy Koncept jest dla ciebie. Łodzianie Hryta (jedna z ksywek, o którą ludzie zaczęli pytać widząc liste gości na „7" Ostrowskiego) i Modry rymują na doskreczowanych przez Haema beatów O.S.T.R.'a. Dają materiał bardzo surowy, przy czym czuć w tym „zajawkę na progres" i ma prawo się podobać, zwłaszcza tym, dla których hh stał się w pewnym momencie o wiele przekombinowany.



BITWA O ANGLIĘ
PHI LIFE CYPHER

Znacie tę nazwę z opowiadań znajomych, którym udało się wrócić, słyszeliście ją od rodziców znajomych, którym udało się zostać. Jest na plakatach, w radiu, w telewizji, w spamach... Londyn-Luton, lądowisko dla tanich linii lotniczych, przedsionek ziemi obiecanej...

tekst Dominika Cess

Jest jeden problem. Luton samo w sobie jest miejscem przedziwnym. Po pierwsze, wcale nie jest w Londynie, bo do najodleglejszych jego przedmieść jest jeszcze 50 kilometrów. Po drugie produkuje się tam samochód Vauxhall (kto nigdy nie był na Wyspach, ten nie wie, co znaczy zobaczyć zaparkowany na chodniku najnowszy model Vauxhalla Corsy, Vectry, a nawet Astry). Co roku w maju odbywa się tam największy karnawał w Europie i tysiące skąpo ubranych imprezowiczów paraduje sobie w strugach wiosennego deszczyku wywijając do rytmu czym popadnie. Luton zajęło też pierwsze miejsce w drugiej edycji konkursu na Najbardziej Gówniane Brytyjskie Miasto, a to zobowiązuje.

Tylko co to wszystko ma wspólnego z hip-hopem? Cóż, Luton jest rodzinnym miastem zespołu Phi Life Cypher, który sam w sobie jest już specyficzny. Tworzą go DJ Nappa, Si Philli i Life, a cechą charakterystyczną może być to, że mają coś do powiedzenia, przy czym wydają się nie chcieć mówić zbyt głośno. Współpracowali z ikonami brytyjskiej sceny od Vadima, przez Marka B i Blade'a, Task Force, po The Herbaliser, pojawili się na singlu Gorillaz (remiks „Clinta Eastwooda"), a mimo to nieczęsto słychać o nich w mediach. Problemem raczej nie jest niepoprawność polityczna (w tym wypadku BBC nie powinno było produkować serialu „Little Britain") ani fakt, że Life jest chodzącym przykładem resocjalizacji w działaniu.

Może użyte w tekstach metafory są nazbyt zawiłe? Phili i Life od pierwszego wspólnie wydanego singla („Baddest Man" w 1998 roku) zaskakują słuchaczy nie tyle brzmieniem, co ciekawymi, czasem błyskotliwymi, a często po prostu dziwacznymi tekstami. Największym zbiorem jest debiutancki album „Millenium Metaphors". Przykładowo, wzorem Gift Of Gaba, PLC nagrali utwór „A.B.C.", gdzie pod literą „M" kryje się tekst: „Moje niesamowite metody mordowania to szaleństwo, wywołuję zniszczenie umysłem miliona matematyków, unicestwiam masy wprowadzając zamaskowany chaos w wasze włości jak mafioso, rządząc totalnie od Montrealu do Manhattanu jak Motorola".

Drugi album, „Higher Forces", stanowi mieszaninę zarówno tekstów przekombinowanych, jak i tych bardziej dosadnych – czasem antyrządowych, niekiedy pro-marihuanowych. Dużo rymów bitewnych, sporo zadziorności i nieodłączna kreatywność stanowią duży atut tej płyty, jednak rok młodsza EP „The Chosen Few" powstała we współpracy z Task Force jest jakby bardziej błyskotliwa i charakterna. Jako finaliści konkursu Tima Westwooda „Talent 2000" raperzy z Phi Life Cypher potrafią odpowiednio się dowartościować. Life, uznawany za lidera zespołu, jest też jednym z lepszych freestyle'owców na angielskiej scenie, nic dziwnego więc, że ani braggadoccio, ani rymy ofensywne nie są dla niego problemem. Dodatkowo cała ekipa ma status najlepszego składu koncertowego na Wyspach. Mają wszystko co potrzebne – charyzmę, style, wyobraźnię i odpowiednią dawkę luzu pozwalające stworzyć show, który widzowie rozpamiętują przez następne 10 lat.

LICZ, BICZ!
90-99

tekst Szaweł Spermalski

90 Toni-L mówi o różnicach między niemieckimi festiwalami i Hip Hop Kempem: „W Niemczech to 90% biznesu i 10% serca, na HHK to 90% serca i 10% biznesu". Z innych statystyk: 90% osób na Kempie zmuszona jest do załatwiania się poza toaletami, pozostałe 10% jest tak najebane, że jest im wszystko jedno. One love. Już Fu nawijał o „brudzie społeczeństwa". Czysty hip-hop potrzebuje przecież jego odrobiny.

91 W 1991 r. Cezary Ciszewski wyjechał do Amsterdamu, gdzie spędził 5 lat. Piętnaście lat później rozprawił się w emitowanym w telewizji dokumencie z własnym uzależnieniem od narkotyków, niestety nie tak miękkich, jak te dostępne w Holandii. I to podziwiamy, mając nadzieję, że nie będzie już promować „żyjących zasadami" zespołów wyszukiwanych w małych miasteczkach. W końcu jak sam mówi, „tylko zła muzyka może kształtować w człowieku złe rzeczy".

92 Canibus kończy high school, zaczyna pracować dla AT&T oraz amerykańskiego ministerstwa sprawiedliwości, a przy okazji staje się internetowym maniakiem. I dobrze, bo jego „punche" trafiać będą raczej na fora (aż chciałoby się zakrzyczeć za Doniem „Tylko jaaa i moja cyber-przestrzeeeeeeń") niż do rozgłośni. Tak to już jest, że ci „specjaliści", którzy zwyciężają w internetowych rankingach punchlines – od Vakilla przez Chino XL do Copywrite'a – są skazani na drugą ligę.

93 „93…94" Juhasa i Numer Raza ze składanki Volta „Szejsetkilovolt" to jeden ze słynniejszych utworów wspominkowych w polskim rapie. Szczególnie lubi go pierwsze, związane z imprezami w Hybrydach, pokolenie warszawskiego hip-hopu. Teraz, jak nawijał Vienio, „Awantury w 'Hybrydach' to już są dzieje", ale dobrze widać związki polskiego hip-hopu z polską rzeczywistością. Wystarczy tylko wiedzieć, gdzie i w jakim dziejowym momencie dobrze się najebać, a potem odcinać z tego kupony.

Dlaczego więc nikt nie wymienia ich jednym tchem z najpopularniejszymi przedstawicielami tak grime'u, jak i klasycznego rapu? Problemem może być muzyka jako całość. Nappa nie jest wybitnym producentem, jego sztuka samplowania odbiega od czołówki. W dodatku wydaje się cały czas szukać swojego stylu, bo o ile pierwsze nagrania Phi Life Cypher były raczej mroczne (a nawet paranoidalne), to obecnie mamy do czynienia z mieszaniną ciężkawych bębnów i zapętlonych próbek. Skoro już o tym mowa, często sięga po długie patetyczne czy filmowe sample, z którymi raczej nie kombinuje. Podkłady nie przeszkadzają w słuchaniu, ale można odczuć różnicę klas, podczas słuchania „The Chosen Few", a także podczas porównywania remiksów Nappy umieszczonych na najnowszym albumie PLC „Playback" z oryginałami.

Podobnie rzecz ma się z ilością materiału. Phi Life Cypher można dawkować sobie w małych ilościach albo przygotować samemu małe „Najlepsze przeboje", inaczej można przedawkować, a to kończy się szumem w uszach, bólem głowy i mdłościami. Wielu krytyków przyznaje, że owszem, Life i Si Phili są utalentowani, ale na dobre wyszło zaproszenie do współpracy nowego mc, Skit Slama, który wprowadził ożywczy ferment i pozwolił odróżnić momenty, w których obaj wchodzą na bit.

Niemniej jednak słuchając najnowszych kawałków tak całego zespołu, jak i solowych płyt Life'a, można mieć nadzieję, że chłopaki nie zmarnują się wiecznie stojąc w cieniu innych i nie pozostaną jedynie fajnym zespołem do zaproszenia na występ. Swoją drogą, grupę zauważył ostatnio polski „Popcorn" – recenzja w tym magazynie może być namiastką świetlanej przyszłości. W razie czego zawsze jest Tha Youts Phi-Life, dzieciaki Life'a, które stały się ulubieńcami połowy londyńskiej sceny. Tymczasem jeśli umieracie z ciekawości, najnowszy album Phi Life – wspomniany już „Playback" – jest wyborem najciekawszych kooperacji wzbogaconym o nowe jointy, więc powinien was w pełni usatysfakcjonować i zachęcić do dalszych podróży po świecie tria z Luton.

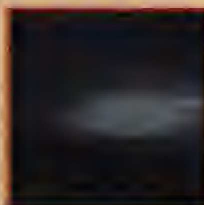


JAZZ THING
IDRIS MUHAMMAD

przygotował Andrzej Cała / „Machina"

Jeden z najwybitniejszych bębniarzy w historii jazzu, zarazem prekursor soul-jazzu. Urodzony 13 listopada 1939 r. muzyk zaczął grać profesjonalnie w wieku szesnastu lat. Do 1960 r. pod swoim prawdziwym nazwiskiem – Leo Morris. Idrisem Muhammadem stał się po przejściu na islam. W 1964 r. dołączył do zespołu Lou Donaldsona, załapując się na pierwsze w życiu poważne granie za dobre pieniądze. W latach 1970-1972 był nadwornym perkusistą wytwórni Prestige Records. Nagrał dziesiątki płyt jako lider zespołu, współpracując z takimi tuzami jak Pharoah Sanders, Ahmad Jamal i Grover Washington, Jr. Ten ostatni brał udział w sesjach u Rudy'ego Van Geldera z 1 i 14 marca 1974 r., nadzorowanych p rzez geniusza Boba Jamesa. To w ich trakcie powstał najsłynniejszy, najbardziej doceniony i istotny w karierze Muhammada materiał – składająca się z czterech kawałków płyta „Power Of Soul". Płyta, na której znalazły się nagrania „Power Of Soul", „Piece Of Mind", „The Saddest Thing" i „Loran's Dance". Jazz nigdy wcześniej i nigdy później nie miał takiego funk-soulowego groove'u. Innym wydawnictwem Idrisa, które polecam szczególnie, jest pochodzący z 1976 r. krążek „House Of The Rising Sun".

RECENZJE:



TOMASZ STAŃKO QUARTET
LONTANO
ECM/UNIVERSAL

Ostatni album naszego mistrza trąbki nagrany z akompaniamentem Simple Acoustic Trio. Pełny melancholii, nostalgii i zadumy. W dużej mierze balladowy, ale nie pozbawiony też momentów niepokoju. Dojrzałość, piękno i klasa idą tu w parze. Jak zawsze u Stańki.



MILES DAVIS
COOL & COLLECTED
SONY BMG

Kompilacja wydana z okazji piętnastej rocznicy śmierci najbardziej wpływowego jazzmana w historii. Materiał wyselekcjonowany naprawdę udanie – od „So What" z „Kind Of Blue", przez „Round Midnight" z Thelonius Monkiem, aż do „Time After Time". Nie tylko dla fanów Milesa.



BONEY JAMES
SINE
CONCORD/ UNIVERSAL

Jeden z najbardziej popularnych amerykańskich saksofonistów po raz kolejny w dobrym stylu łączy smooth jazz, soul, r&b i pop. Otwarty na współpracę z młodymi twórcami, zaprosił na płytę Dwele'a, Faith Evans i Esthero. Płyta raczej do miłej kolacji we dwoje niż wieczornych rozmyślań.

94 Sebastian Muliński, czyli nieoceniony Seba, szef hip-hop.pl, kończy w 1994 r. piątą klasę podstawówki, który to wyczyn nie udał się jeszcze wszystkim fanom jego portalu (i niektórym, jak można sądzić, pewno się nie uda). Na stronie sztambuch.pl deklaruje, iż lubi opowiadania Topora i „groteskowy humor". Doskonale widać to po opublikowanym ostatnio wywiadzie z HNG, istniejącymi jedynie w sieci postaciami znanymi z... niszczenia jego forum...

95 „Wigilia. Nie nakrywam stołu. / Nie mam choinki poza tą w telewizorze. / Matka i ojciec umarli. / Mam tylko czerwony barszcz", pisał w 1995 r. Sylwester Latkowski pokazując, że jest równie udanym poetą co reżyserem. Teraz ma na wieki szacunek w rapowym Poznaniu. Traktują go tam jak prawdziwą damę, nazywając z galanterią „Sylwią Latkowską".

96 W roku 1996 r. Hirek Wrona współzakłada legendarne B.E.A.T. Records, a przynajmniej tak donosi jego „lebsajt". Ostatnio Hirek stał się bohaterem komiksu Pvek (http://pvek.org/?p=128). Dwójka bohaterów nudzi się w nim niemiłosiernie, ożywia ich dopiero „autorytet moralny naszego pokolenia, HIREK WRONA". „Hej-hip-hop dzieciaki!", mówi. „Nie róbcie rzeczy nielegalnych, bo rozpieprzą wam komputer". No, dzieciaczki, autorytetów moralnych się słucha. To lepsze niż „Iligal teksas dogfakin". Głębsze.

97 W 1997 r. Andrzej Buda zrobił wywiad z Kalibrem 44. „Nie przeszedł przez cenzurę katolickiego Radia Głogów, ale jego fragmenty prezentowałem w audycji o marihuanie", donosi nasz wojownik o wolność słowa. Autor najśmieszniejszej publikacji o polskim hh mówi też stronie poznan.hip-hop.pl, iż zawsze „jedną nogą stał w tej kulturze". Reszta ciała, z głową na czele, do dzisiaj pozostała gdzie indziej, w trwałej izolacji od rzeczywistości. Buda? Raczej buta i bezczelność.

98 Rok beefu między LL Cool J'em i Canibusem, jednego z ciekawszych do obserwowania pojedynków. Polski „beef" to rzeczywiście zwykle mięso. Mielone razem z Budą.

99 Jak Jay-Z, mamy 99 problemów, ale dziwki nie są jednym z nich. Przynajmniej po zakończeniu cyklu „Licz, Bicz". Będziecie tęsknić...

Battle of the Year 2006

Coraz więcej pokazówek, coraz mniej breaka. Niestety, z roku na rok Battle Of The Year wydaje się tracić znaczenie...

tekst Tomek Michniewicz

Gdzie te łowione na VHS-ach „batelki" sprzed lat, w których chłopaki dokręcali co trzeba i wracali do domu? Teraz na BOTY jedzie się z własną ekipą telewizyjną, nosi sponsorowane stroje, a od dobrze dopracowanego Thomasa bardziej liczy się, żeby choreografia wypadła równo. Rozmach ma też oczywiście plusy – 19 lokalnych eliminacji, ekipy od RPA po Tajwan, prawie dziesięć tysięcy ludzi i sędziowie z górnej półki. Można natomiast faktycznie narzekać na część pokazową – komercja i tandeta, ale zdarzają się momenty naprawdę wypasione.

Przykład: Hiszpanie (Fallen Angelz) – wszyscy wychodzą ubrani na biało, a jeden delikwent na czarno. Okazuje się, że to cień, który odzwierciedla wszystko, co robią b-boye, latając na czworakach. Uprock, footworki, nawet jakieś powery... Wrażenie niesamowite. Przykład drugi: USA (Knuckle Head Zoo, których obecność to dowód, jak bardzo Amerykanie mają gdzieś Europę i wolą Freestyle Session. Najwyraźniej tylko tej ekipie chce się przyjeżdżać do Niemiec, bo byli po raz kolejny, i po raz kolejny wylądowali w środku tabeli). Naoglądali się oni Michaela Dudikoffa, wyskoczyli na scenę w strojach wojowników ninja, dali niezły show i zniknęli równie niespodziewanie, prawie w chmurze dymu.

Lekarstwem na taneczne podrygi w stylu TVN-u powinny być mięsiste bitewki finałowe. W tym roku nie było bitwy o trzecie miejsce. Zamiast tego odbyły się dwa półfinały i finał. No i oczywiście, co nie jest zaskoczeniem chyba dla nikogo, w pierwszej czwórce dominowali Frenchmani i Koreańczycy. Spinów masa, dziewiątek masa, dobrych piguł kilka, no i oczywiście... taneczne TVN-owe podrygi w duetach, triach, kwartetach i drużynowo, żywcem wyjęte z wcześniejszych pokazów. Ile można?! Kolesie mają 15 minut, żeby pokazać, kto jest lepszy. A zamiast tego bawią się w układy i to gęsto. Nic dziwnego, że tyle ludzi psioczy na komercyjny walor. Ale teledyskowe szesnastki, czyli duża część publiczności, bardzo się cieszy...

Sytuację ratowały pokazy pozakonkursowe. Przede wszystkim Francuzi z O'Trip. Kilku postawnych Murzynów z dreadami/warkoczykami do pół pleców, bez słowa i zbędnego animowania publiczności młócących sporo electro i kilka solidnych powerków. Jeśli tak wyglądają imigranci palący samochody pod Paryżem, to nie chciałbym wejść im w drogę. Naprawdę warto zaopatrzyć się w DVD (ok. 100 zł), żeby zobaczyć ich pokaz. Drugi showcase nie był gorszy. Dwóch Japończyków z Hamutsun Serve i kilkanaście minut z popping/locking. Gdy rozmawiałem z nimi po imprezie, powiedzieli, że ten taniec to w sumie drugorzędna sprawa, bo tak naprawdę, to oni się realizują w zespole muzycznym. Dali mi demówkę (coś a la porąbany talk-show z „Między słowami" Coppoli).

Najlepsza część imprezy miała jednak miejsce, gdy w hali już zgasły światła. W centrum Brunszwiku jest mało hoteli, a na BOTY obcokrajowców przyjeżdża mnóstwo. Kto nie miał gdzie spać, uderzał do klubu Toxic na after party. Kto się nie zmieścił w klubie, pędził na dworzec, gdzie w sporej hali poczekalni didżeje BOTY grali do rana. I tu się odrodził duch tych VHS-ów! Bez nagród, bez popeliny, pierwotne i surowe potyczki, batlujące się b-girls, goście idący na całość, bo nie ma już na co oszczędzać... Bomba. Najwięksi zapaleńcy tańczyli do piątej rano, kiedy to odchodziły pierwsze pociągi – i to mimo faktu, że didżeje skończyli grać po czwartej.

Ostateczna kwalifikacja BOTY:
1. Vagabonds (Francja)
2. Last For One (Korea)

Najlepszy show: Vaganbonds


Vagabonds (Francja) - aktualnie numero uno i w show, i w technice



Sponsorzy na scenie, sponsorzy za sceną


A w gimnastyce artystycznej ryzykowne loty nie są ponoć premiowane...



Amerykańscy ninja, Knuckle Head Zoo - USA


Finał - Korea vs Francja, a w tle niezawodne układy choreograficzne





TRENING CZYNI MISTRZA

Wielu początkujących b-boyów szuka „złotego środka", by jak najszybciej osiągnąć jak największe umiejętności. Dróg jest kilka. Jak wybrać tą właściwą?

tekst elCookizoRock

W większości dużych miast istnieją „szkółki", w których można za opłata uczyć się tańczyć. To wspaniała rzecz dla początkujących – pod warunkiem, że trafi się na kompetentne osoby prowadzące ją, a z tym czasem bywają drobne problemy. Przy pierwszym spotkaniu z prawie każdym instruktorem dowiemy się, iż jest on aktualnie najlepszy w tej branży, iż posiada dostateczne umiejętności i osiągnięcia do tego, aby przekazywać swoja wiedzę innym. Na takie zapewnienia trzeba troszkę przymknąć oko i samemu dowiedzieć się czegoś więcej o prowadzącym.

Na co głównie przy wyborze należy zwrócić uwagę? Przede wszystkim, na własną rękę zorientować się więcej o ekipie, w której tańczy lub tańczył, sprawdzić jego osiągnięcia. Sprawdzić, czy oprócz zajęć w szkółce, do której chcemy przynależeć, prowadzi on inne projekty mające na celu rozwój młodych. Zapytać o formę prowadzenia zajęć, które nie powinny ograniczać się tylko do części praktycznej, ale także obejmować wprowadzenie w historię oraz wykładanie wiedzy na temat b-boyingu. Jeśli uznacie, iż instruktor to kompetentna osoba, możecie być pewni, iż trafiliście na prawdziwy skarb i korzystanie z jego umiejętności będzie dla was, początkujących, zbawienne. Pieniądze nie pójdą na marne i jeśli tylko pozwalają na to warunki finansowe, bez zastanowienia powinniście skorzystać z jego pomocy.

Taki człowiek jest przydatny w unikaniu błędów, nakierowywaniu na właściwą drogę, ale nie można od niego oczekiwać, iż zrobi on za was całą ciężką pracę. Instruktor daje impuls do kreatywnego myślenia i uczy, jak wykorzystywać swoje naturalne predyspozycje do tańca.

Jeśli rozpoczynacie treningi sami, bez pomocy żadnego instruktora ani starszych kolegów, należy pamiętać o kilku fundamentalnych sprawach. Każdy trening należy rozpocząć od rozgrzania się. Rozgrzewka powinna być możliwie delikatna, aby nie pozbawić się energii potrzebnej później. Może ona spowodować lekkie spocenie, natomiast nigdy zmęczenie. Rozgrzewka powinna zawierać także w sobie elementy stretchingu. Najbezpieczniejszym jej sposobem jest metoda statyczna, polegająca na stopniowym rozciąganiu mięśni do momentu ich maksymalnego oporu. W tym punkcie zatrzymujemy ruch na chwilę i powracamy do pozycji wyjściowej. Po chwili odpoczynku ponawiamy. I tak kilkakrotnie w każdym ćwiczeniu.

Oczywiście, by uzyskać progres w ćwiczeniach, należy stopniowo powiększać zakres ruchu, pokonując opór mięśni (co najważniejsze, z rozwagą – zbyt szybkie próby powiększania zakresu rozciągnięcia mięśni mogą zakończyć się ich kontuzją). Po takim przygotowaniu możemy przejść już do treningu właściwego. Tutaj należy zaznaczyć, iż efekty są współmierne do ilości godzin spędzonych na parkiecie. Zatem jeśli ktoś oczekuje, iż po tygodniu będzie mógł spokojnie ruszać podbijać świat, jest w błędzie.





PlayStation przygotowała swoistą ciekawostkę dla wszystkich breakdancerów. Mowa tutaj o grze, w której można wcielić się w postać jednego ze znanych bboy'ów i toczyć wirtualne bitwy. Pomysł może wydać się początkowo zbyt komercyjny i chybiony, lecz może warto mu dać szansę? Patronat nad tym projektem objął legendarny już Crazy Legs, członek Rocksteady Crew. W grze natomiast mamy do wyboru wiele innych postaci m.in. K-mela, Sonica, Lilou, Mouse'a. Gra w początkowo wydaje się trudna, aczkolwiek po opanowaniu zasad sterowania staje się naprawdę przyjemna. Zdobyła tytuł Best Music Game (najlepszej gry o tematyce muzycznej) w plebiscycie IGN Best of E3 Awards. Ciekawostką może być to, że na oficjalnej stronie http://www.bboythegame.com Crazy Legs przygotował kilka lekcji, które wprowadzą zupełnych laików w świat b-boyingu i pozwolą im czerpać z tej produkcji jak najwięcej. Należy dodać, że w grze usłyszymy aż 40 w pełni licencjonowanych klasyków muzyki do b-boyingu, co zdecydowanie podnosi wartość tej pozycji.

Kuba Bączkewski nollie fs. heelflip
foto Modest



Nazwę zawodów Cortoz 5 Stars kojarzyliśmy do niedawna z okolicami Opola. W tym roku organizator imprezy sprawił jednak wszystkim niespodziankę, zapraszając na ósmą edycję do Warszawy. Miejscem zmagań stał się znany skatepark w Blue City

tekst ToiOi

Wiadomość ta zmartwiła wielu mieszkańców Opola, a szczęście uśmiechnęło się do warszawiaków. W skateparku Blue City nigdy do tej pory nie było takiego oświetlenia, co w dniu zawodów. Organizatorzy przywieźli ze sobą niezłe lampy, które przydawały się bardzo, gdy trzeba było zmusić skaterów do przerwania jazdy. Włączano wtedy mocny stroboskop, więc nie widziało się nic, skatepark pustoszał i można było kontynuować przejazdy.

Skatepark do tej pory był miejscem wielu dziwnych imprez, takich jak zawody zośkarskie, sesje mody, premiery filmów, ale nigdy nie był miejscem koncertu. Adam, orga-

nizator Cortoz 5 Stars, postanowił zmienić ten fakt i zaprosił zespół Bomb The World, aby zagrał po conteście. Lekka punkowa muzyka grana przez ten zespół bardzo umiliła chwile przed ogłoszeniem wyników. Sami widzicie, że atrakcji dodatkowych było co niemiara, przejdźmy jednak do skateboardingu...

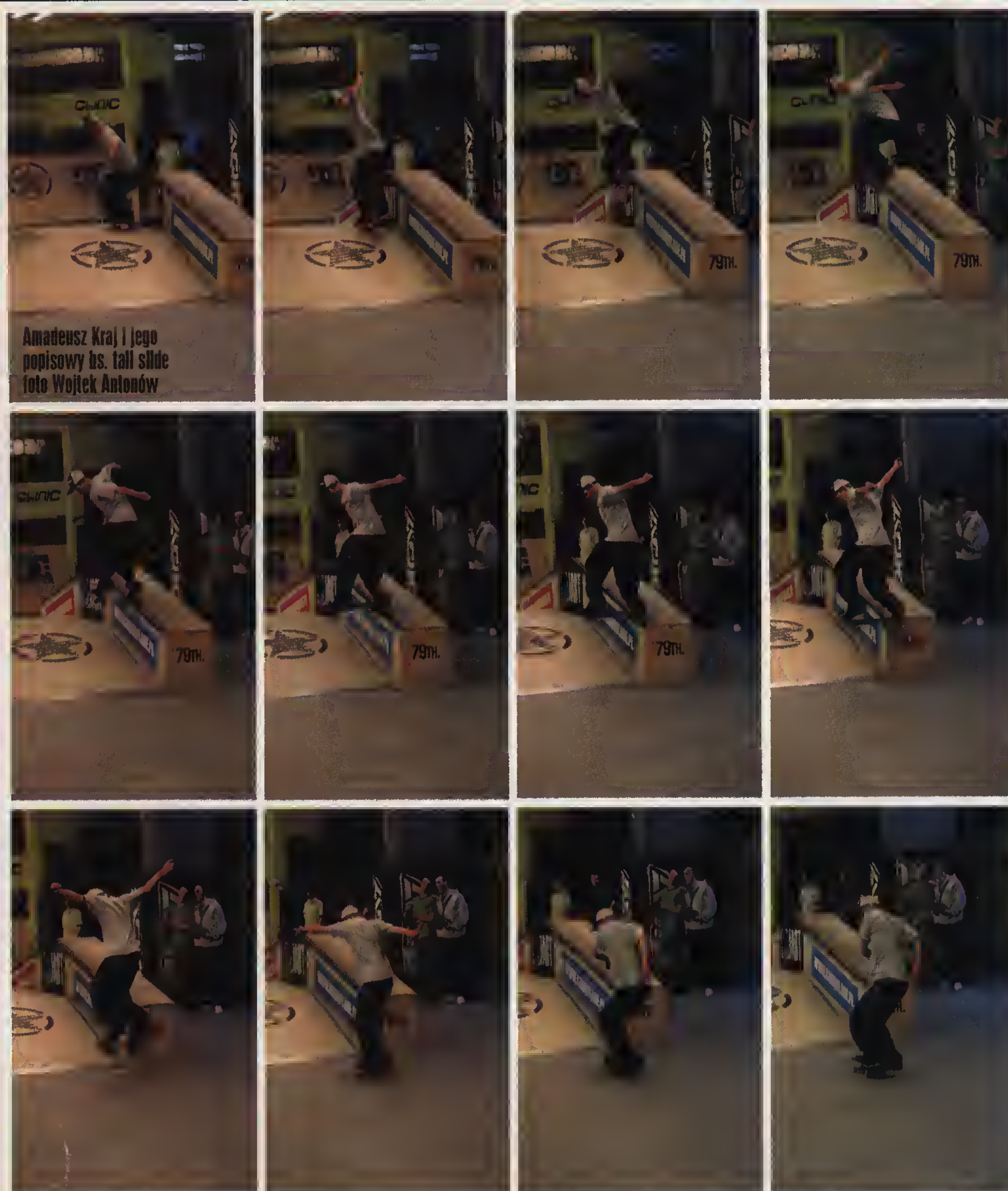
W tym roku wybraną piątką „gwiazd" byli Tomek Dworzak, Michał Kulczyński, Roman Rybałow, Tomek Szkiela i Paweł Kopczyński. Mieli oni zapewniony udział w finale bez potrzeby zmagań w eliminacjach. Do kwalifikacji stanęło kilkudziesięciu skateboarderów, głównie z Warszawy, choć nie tylko.

Zawody miały mianowicie charakter międzynarodowy, bowiem do Blue City przyjechała niemiecka część teamu Lando. Alexander Siegfried, Matthias Burger i Bjorn Skowronek pokazali się z jak najlepszej strony. Szczególnie w czasie wolnej jazdy Alexander i Bjorn robili bardzo interesujące triki, których wcześniej nie widzieliśmy w skateparku. Matthias za to w swoim stylu latał wysoko i popisywał się skutecznością.

Polacy wcale nie odstawali od swoich gości i dzięki temu w pewnym momencie zrobiło się ciekawe widowisko, które wcześniej z reguły kończyło się z chwilą rozpoczęcia przejazdów, bo wtedy dawał o sobie znać stres. Kilku skejcików poradziło sobie z nim tego dnia. Jednym z nich był Albert Domański, którego przejazd eliminacyjny mógł się bardzo podobać. Robił on wszystko bardzo wysoko i czysto. Niestety, nie powtórzył tego wyczynu w finale, ale i tak wszyscy zapamiętali jego występ kwalifikacyjny.

Bardzo dobrze radziła sobie młoda gwardia z Warszawy, która spędza całe dnie w tym skateparku – Tomek Ziółkowski, Andrzej Rogala czy Alan Szulc. Chłopaki pokazali, że umieją jeździć na desce. Młody Michał Juraś również miał bardzo dobry dzień, jeździł bardzo płynnie i robił trudne triki.

Zwycięzcą okazał się przybysz zza zachodniej granicy Matthias Burger, który – co tu dużo mówić – latał najwyżej i robił triki z największą skutecznością. Widać, że chłopak lubi contesty, i choć można się przyczepiać do sposobu, w jakim robi triki, był on tego dnia najlepszy na zawodach.


Amadeusz Kraj i jego popisowy bs. tail slide foto Wojtek Antonów

SWISS

flumserberg

+ munchie magazine week

SNOWBOARD

W kalendarzu już prawie zima, za oknami niestety nie, dlatego musimy wrócić pamięcią do tego, co działo się w minionym sezonie, a konkretnie pod jego koniec, na wiosnę

tekst i foto Wojtek Antonów

To właśnie wiosna jest najlepszą porą na wypad w góry - po zimie wszyscy są rozjeżdżeni, dni są coraz dłuższe, słońce świeci, a górskie szczyty w dalszym ciągu pokryte są świeżym puchem. Na taki wiosenny wyjazd załapaliśmy się w kwietniu i w składzie Wojtek Pająk, Kamel Honcz, Michał Ligocki i Pawian znaleźliśmy się w szwajcarskim Flumserbergu.

Szwajcaria jest pięknym krajem, lecz niezmiernie drogim - z tego powodu polscy turyści-snowboardziści nie za często zapędzają się w te tereny, jednak tym razem zostaliśmy zaproszeni na tydzień Munchie Snowboard Magazine Week. W tłumaczeniu na język ludzki znaczy to, iż pewna agencja zorganizowała tygodniowy pobyt na miejscu dla ekip złożonych z mediów i zawodników. Pięknie - pojechaliśmy bez zastanowienia.

Oprócz naszej ekipy, znaleźli się tam też Austriacy, Niemcy, Anglicy, Nowozelandczycy, Czesi i Słowacy, ogólnie międzynarodowe bractwo na snowboardach. Założeniem imprezy było to, że nie było innych założeń poza tym, żeby dobrze się bawić, jeździć ile się da i narobić jak


Support
A
Support
A


Rookie
A
Rookie
A


Team
A
Team
A


Adapt
A
Adapt
A



najwięcej zdjęć. Dokładnie tak, zero rywalizacji, zawodów, wyścigów, a zamiast tego korzystajcie z naszych pięknych gór i wywieźcie dobre wspomnienia i zdjęcia.

Warunki we Flumserbergu są idealne, góry może nie są super wysokie, najwyżej można wjechać na 2222 m n.p.m., ale zróżnicowanie terenu i okoliczne doliny, lasy i skałki dają prawie nieograniczone możliwości jazdy. Na nasze szczęście, właśnie spadł świeży śnieg i okazja do jazdy po dziewiczych stokach, budowania skoczni z dala od tras napełniała nas wielką zajawką każdego dnia. Szczególnie dumni byliśmy z konstrukcji, którą widzicie na zdjęciu, gdzie Wupe skacze daaaaaleką 180-kę. Naprawdę: i miejsce, które wybraliśmy, i sama konstrukcja skoczni są w pełni profesjonalne. Oprócz tego, zrobiliśmy też sporo innych pożytecznych przeszkód i konkretnych trików. Pozostałe ekipy również nie próżnowały, w rezultacie czego pod koniec naszego pobytu cała góra wyglądała jak jeden wielki snowpark: tu nasza skocznia, na sąsiednim stoku wielka skocznie zbudowana przez Czechów, na trasie skały, na które wjazd podsypali Niemcy, gdzieś po drodze zbudowany na skałach konkretny manual box. Do tego, jadąc wyciągiem wszędzie widać było wszędzie ślady freeride'u i skoków ze skałek. Freestyle'owe królestwo Flumserberg.

Co do freeride'u, to nasi chłopcy też nieźle sobie pośmigali: Wojtek Pająk zaliczył zjazd wąwozem, który był tak wąski, że ledwo się tam zmieścił, Kamel skoczył z paru

SWISS

flumserberg

munchie magazine week

SNOWBOARD

skałek, a wszyscy cały czas wybierali się na nawis, który nawiasem mówiąc zaliczyli ostatniego dnia.

Każdego dnia po jeździe nasza ekipa wypoczywała, uprawiała tzw. chili. Było tak spokojnie, że pierwszy raz w życiu udało się nam przywieźć z powrotem wódkę, z którą przyjechaliśmy. Oczywiście wyjątkiem potwierdzającym regułę było popołudnie tzw. halfpipe contestu, polegającego na piciu taniego szwajcarskiego wina przy pomocy półmetrowej, plastikowej rury. Zagraniczni rajderzy na długo zapamiętają, co się działo po zaończeniu konkurencji, gdy polska ekipa wkroczyła na kolację. „Du hast grossen titschien!", usłyszała kierowniczka kwater i ogólnie było bardzo wesoło, ale był to tylko jednorazowy wybryk i to jeszcze przed północą, więc się nie liczy – byliśmy grzeczni.

Zakończenie „turnusu" uświetnił pokaz slajdów wszystkich ekip i okazało się, że zrobiliśmy kawał dobrej roboty, bo nasze zdjęcia wywołały serię ochów i achów, a także okiaski. Materiał z tego wyjazdu możecie zobaczyć sobie na przykład na MEPTV.net w produkcji WarmUp (przejazd Wojtka Pająka, a także niedługo na filmie Playground (www.playgroundthemovie.com).

Szwajcaria jest piękna, Flumserberg jest bardzo ciekawym regionem na narty i deskę, a nam pozostaje mieć nadzieję, że jeszcze kiedyś nas tam zaproszą...



RECENZJE SKATE/SNOW



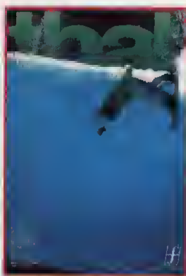
PLAN B
LIVE AFTER DEATH

Na łamach „Ślizgu" nie opisujemy z reguły krótkich zajawek filmowych typu promo. Czasem zdarzy się zrobić wyjątek, ale tylko w bardzo szczególnych wypadkach. Do takich na pewno zaliczyć można najnowszą produkcję reaktywowanej firmy Plan B, będącą zapowiedzią dłuższego video. Choć „Live After Death" jest tylko promo, to trwa dobre kilka minut i wypełnione jest po brzegi samymi niemożliwymi do zrobienia trikami. Team tej firmy stanowią przecież główni bywalcy okładek amerykańskich magazynów. Taki dream team (Colin McKay, Danny Way, Ryan Gallant, P. J. Ladd, Paul Rodriguez, Pat Duffy i Brian Wenning) zapewnia nam okrzyki zdumienia po każdym obejrzanym triku, nie ma co ich nawet przytaczać. Co prawda, film to nie jest to samo, czym były filmy Plan B sprzed lat. Jeśli spodziewacie się przełomu w deskorolce, to niestety srogo się zawiedziecie. Jest tu po prostu pokazany skateboarding na bardzo wysokim poziomie i nic więcej, nie ma tu nic odkrywczego. Ważne jednak, że produkcja ta jest całkowicie darmowa i spokojnie można ją ściągać ze strony Plan B lub oglądać na youtube. com. Pc skate



SAFARI CLOTHING
MALARIA

Do tej pory na hasło „szwajcarska deskorolka" reagowałem raczej negatywnie. Mieszkańcy tego państwa kojarzyli mi się z mało wyszukanym skateboardingiem i słabym stylem. Po obejrzeniu „Malarii" zmieniłem trochę mój punkt widzenia, ponieważ jest to całkiem niezłe video. Nie mówię tylko o poziomie jazdy (choć że będzie bardzo wysoki, wiedziałem przed obejrzeniem – zapowiadały to takie nazwiska jak Sebastian Hepp, Luc i Guy Kampfen czy Stefan Bircher), ale także o doborze miejscówek i klimacie filmu. Szwajcarzy, którzy nigdy z tego nie słynęli, przywiązali dużą wagę do ciekawych i unikalnych spotów. Safari jest firmą produkującą ubrania, założoną przez braci Kampfen i muszę powiedzieć, że video godnie reprezentuje ten brand. Widać, że każdy z teamriderów czerpie ogromną przyjemność z jazdy, a nagrywanie nie przypominało maratonu. W dodatkach znajdziecie ponadto zagraniczne wyjazdy teamu i materiały, które nie zmieściły się do „głównego" video. Pc skate



FORUM
THAT

Naprawdę długo czekałem na nową produkcję Forum. Teamowe filmy tego brandu zawsze wnosiły coś nowego do snowboardingu, jak dawniej legendarny „True Life „czy „Ressistance". Byłem ciekaw, czy nowy team Forum poradzi sobie ze standardami narzuconymi przez dawnych riderów, Jeremy'ego Jonesa czy Nate'a Bozunga. Nie zawiodłem się, naprawdę. Jest to chyba jedyny film, w którym każdy part to niezły banger. Nowy team daje radę. Ikka Backstrom, Eddie Wall, Travis Kennedy z bardzo dobrym opener partem i na koniec bang jak w Hiroszimie J.P. Walker! Stary wyjadacz, który swoimi partami zawsze ustanawiał poprzeczkę małolatom na całym świecie. Wrócił z trikami odkładanymi podobno dwa lata. Rzeź! Switch na naprawdę dużych poręczach, switch techniczne kombosy na mniejszych i parę niezłych fikołów w puch. Nie zawiodłem się poziomem, ale to nie triki najbardziej mnie urzekły, tylko dystans riderów do samych siebie i do całego snowboardingu. Nikt nie stara się wykreować na kogoś innego, bez obciachu pojawiają się wstawki, jak narybek Forum parodiuje J.P. czy też Travis Kennedy zaczynający tańczyć, gdy kamerzysta łapie go na rozgrzewaniu się przed sesją na streecie. Tłusty film, z chyba najbardziej pomysłowym intro w historii snowboardu. Rusty Screwdriver



411
#14.4

Nowy magazyn 411 już dostępny! Znajdziecie w nim jak zwykle przekrój tego, co działo się w deskorolce za oceanem (choć nie tylko), oprawiony graficznie tym razem przez Boba Kronbauera. Na początek jak zwykle „Chaos". Tym razem znajdziecie w nim m.in. Haslama, Busenitza czy Kenny'ego Andersona. Pierwszą osobą, która ma dłuższy przejazd, jest Robert Mont Lopez z Zoo York. Ten pochodzący z Puerto Rico ziomuś atakuje wszystko, niezależnie czy jest to mały murek, czy wielkie schody. Dalej mamy słoneczną Grecję i team Planet Earth, który się tam wybrał. Zobaczcie, jak Nate Broussard i reszta zmierzyli się z antycznymi spotami. Kolejnym posiadaczem dużego przejazdu jest Brazylijczyk Danny Cerezini. Nie napiszę o nim nic więcej, bo przecież nikogo już nie dziwią młodzi Brazylijczycy, którzy jeżdżą lepiej od wszystkich Amerykanów razem wziętych... Po nim kolejny reprezentant Kraju Kawy, czyli Andre Genovesi. Podobnie jak jego poprzednik, robi niewyobrażalne triki, szczególnie te wykonywane na drugą nogę. Ekipa DVS wybrała się na mały wypad do Meksyku i Kostaryki. Koniecznie sprawdźcie, co zrobili w tych dwóch niebezpiecznych państwach. pc skate



INTRANSIT
ALTERNA FILMS

Po dwóch niczym nie wyróżniających się filmach z motłochu produkcji snowboardowych, Alterna pojawia się z swoim nowym dzieciakiem „Intransit" i bobas ten jest atrakcyjny. Bryant Bell wraz ze swoją drużyną wyruszyli w długą podróż w poszukiwaniu ujęć. Zwiedzili aż 10 krajów, m.in. takie standardy jak USA czy Kanada, ale na ich liście pojawiły się też uważane za egzotyki w świecie snowboardingu Polska i Rumunia. Podróż to motyw przewodni tej produkcji. Pojawia się wiele wstawek i historii opowiadanych przez riderów w tle, ale na szczęście proporcje trików do gadki są zachowana poprawnie i jest na co patrzeć. Opener part Matta Belzile to chyba najsolidniejsza część całego filmu. Belzile sypie jak szalony dobrymi numerami w puch (m.in. cab 10 woap woap), a na poręczach uzupełniają go guest riderzy McClatchy i Dofin. W filmie pojawia się sporo ujęć z Polski w odrębnej części „Alterne luv Poland" i w obszernym DVD extras, gdzie swój trik wplątał Plaster. Podsumowując, „Intransit" to film naprawdę warty obejrzenia, ujęcia są bardzo profesjonalne, ale cała produkcja na szczęście nie sprawia wrażenia sterylnej jak szwajcarska porodówka. . Rusty Screwdriver

kto sk8?

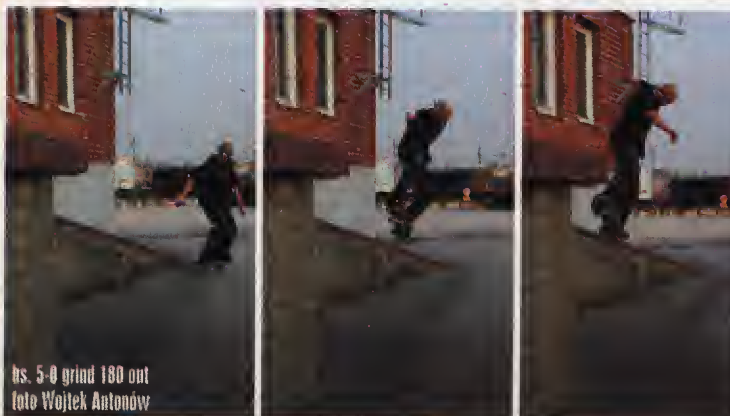
Tomka Kotrycha przedstawiać nikomu nie trzeba. Ten warszawski deskorolkowiec dzięki swym umiejętnościom znany jest w całej Polsce. Konsekwentnie od kilku lat nie ulega modom i cały czas prezentuje ten sam styl jazdy

tekst ToiOi

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
Capitol druga zmiana, 26 lat, a ile jeżdżę na desce? Nie pamiętam, zacząłem jakoś w 8 klasie, więc jakieś 25 lat temu.
Skąd pochodzisz?
Warszawa, rewir SŻC.
Czy to gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na Twoją jazdę?
Nie mam pojęcia, możliwe. Zaczynałem właśnie na swoim osiedlu ze znajomymi, więc może jakoś to się odbiło na mojej jeździe, ciężko powiedzieć.
Sponsorzy.
Realness Apparel, Front Skateboards, DC Shoes, Fenix Athletico, Dakine, Venture Trucks, Hubba Wheels, DSK Family, New Era. Wszystkim bardzo dziękuję za wsparcie.
Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Wolność, przyjaźń, radość z wykonywanych trików i ze zwykłego odpychania się. Kozak.
Czego nie lubisz w nim?
Nie lubię klimatu i otoczki, jaka panuje w tych czasach, poproszę czasy Trilogy, Capitol.
Ulubiony trik?
Sw. bs. tail, fs. crooks, fakie pivot.
Czego się teraz uczysz na desce?
Nie wiem, to zależy od dnia, nie mam zaplanowanych lekcji trików.
Osiągnięcia.
Mistrzostwo świata w wieloboju urugwajskim... Nie mam osiągnięć, nie lubię tego słowa.
Ulubiony film deskorolkowy.
„Trilogy", „20 Shot", Aesthetics, „Ulice Warszawy", Girl „Gold Fish".
Ulubieni deskorolkowcy.
J.B. Gillet, Josh Kalis, Rob Welsh, Devine Calloway.
Ulubiona miejscówka
Capitol R.I.P., Stalin, Parallel.
Co Cię inspiruje?
Jakiś dobry film przed deską, znajomi, muzyka...
Jak przełamujesz strach. Czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Ogólnie ciężko mi się przełamać do poręczy. Jeżeli na miejscówie nie ma wpatrujących się ludzi jak na zawodach lub dużo osób próbuje jakieś triki, to wtedy strach jest mniejszy i można łatwiej się przełamać. Czego bym nie spróbował? Boardslide na poręczy – chyba nie dam rady.
Zainteresowania.
Deska, muzyka, grafika.
Muzyka.
Różnie. Jak coś mi się podoba, to tego słucham. Ogólnie Boot Camp Click, Mobb Deep, 113.
Film fabularny.
„Przekręt", „Porachunki", „Głupi i głupszy", „Jak to się robi", stare polskie komedie.
Switch czy normalnie?
Sw. crooks, ale fs. kickflip na swoją.
Skatepark czy street?
Street, street, street.
Lubisz zawody?
A czy zebra ma paski? No ma, ale ja nie lubię zawodów. Showman ze mnie żaden.
Co to jest styl na deskorolce i kto go posiada?
Styl ma każdy, jedni mają kiepski, jedni mają kozacki, ale to wszystko zależy od gustu. Ja wolę deskorolkę w wykonaniu Briana Wenninga, Welsha czy Javiera Sarmiento, czysty styl bez jakichś nerwowych ruchów, sztywnej jazdy. Ogólnie nie jaram się stylem typu Olson. Sorry, ziomuś.
Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
Nie można tego tak łatwo określić, nie można oddzielić jednego od drugiego. Czy wolałbym ładnie się odpychać na desce i robić tylko ollie, czy może mieć chaotyczny, okropny styl i robić konkretne triki, które dawałyby mi naprawdę wielką zajawę? Według mnie, nie ma na to konkretnej odpowiedzi.
Co sadzisz o polskiej deskorolce?
Idzie naprawdę do przodu, co mnie bardzo cieszy. Mam kilku swoich faworytów, którzy – mam nadzieję – powalczą na zachodnim rejonie. Jest kilka osób, które mają potencjał. Niestety, jest u nas często dziwna tendencja, że młodsi dorastają i przestają jeździć z jakichś dziwnych powodów, zupełnie dla mnie niezrozumiałych, tym samym marnując swój talent. Minusem w polskiej deskorolce jest oczywiście zawiść, która panuje między dzieciakami. Zajmują się bardziej Internetem niż deskorolką. Mam wrażenie, że to ma miejsce tylko w Polsce.



fs. crooked
foto Kriwol.com



bs. 5-0 grind 180 out
foto Wojtek Antonów

Tomek Kotrych



★ U.S. BOMBS ★

DUANE PETERS

★ BEZZĘBNA DESKA ★



Gdybyście zupełnym przypadkiem trafili kiedyś w silikonowe rejony kalifornijskiego Hollywood i zaczepiłby was tam koleś pokryty dziarami niczym Kaplica Sykstyńska, zapewne nie bylibyście zdziwieni. Jednak kiedy ów typ zacząłby wywijać na deskorolce przeszalone zawodowe triki, w dodatku nie pamiętając po części ich nazw, szczęka odbiłaby się wam od asfaltu. Niesłusznie – znaczyłoby to po prostu, że spotkaliście Duane'a Petersa

tekst Łukasz Miszewski

Ten niesamowity psychopata z rocznika '61 zainteresował się deską na początku lat 70., kiedy to kawał drewna z doczepionymi doń kółkami skutecznie odrywał go od zajęć szkolnych. Gdy wreszcie finalnie porzucił edukację, zyskał dużo czasu dla skateboardingu i swojej nowej miłości – punk-rocka. Nucił sobie pod nosem (ta, darł się na całego) arcymelodyjne (kopiące brutalnym chaosem w genitalia niczym tajfun) pioseneczki w swojej pierwszej punkowej kapeli Political Crap, kiedy w jego życie wkroczyła trzecia wielka namiętność – heroina. Od tego momentu deska, punk i dragi będą się prawie nieustannie przewijać przez cały żywot Duane'a Petersa.

Zrośnięty z deckiem Peters przypominał wraz z deskorolką dwójkę syjamskich braci. Tworzył z nią jedność. Był pierwszym skaterem, któremu jeszcze w latach 70. udało się wykonać tak zwaną „pełną pętlę". Wymyślił takie triki jak indy air, fakie thruster czy layback rollout. W 1981 roku wygrał w wercie Skate City Whittier Pro-Am, a 22 lata później, w uznaniu wszystkich jego zasług, „Transworld Skateboarding" przyznał mu tytuł „legendy". Doczekał się nawet Duane swojej skate'owej biografii na celuloidzie – w 2005 roku wytwórnia Black Label Skateboards nakręciła o nim film pod wiele mówiącym tytułem „Who Cares: The Duane Peters Story".

Niestety, Peters wkręcał się też coraz bardziej w inną ze swoich ulubionych zabaw – dawanie w żyłę. Kiedy jego ojciec, żeby odsunąć Duane'a od środowiska skaterów, zatrudnił go w swoim komisie samochodowym, ten nie mógł podpisywać umów z klientami, tak bardzo trzęsły mu się ręce. Między dwudziestymi a trzydziestymi urodzinami zaliczył więcej odsiadek niż Maryla Rodowicz wiosen swojego życia. Z reguły bywały to zaledwie kilkudziesięciodniowe wyroki, jednak ich ilość sprawiła, że tę dekadę spędził Peters głównie we wszelakiej maści amerykańskich aresztach i więzieniach. Jego deskowa ksywa „Master of Disaster" pasowała idealnie również do całej pozarampowej działalności Duane'a. Bójki uliczne, bójki barowe, bójki skateparkowe. Kiedy w czasie lub po zawodach skate'owych dawał komuś po zębach, nikogo już to nie dziwiło. Mapa świata do dziś zawiera nieliczne tylko białe plamy, czyli miejsca, w których Peters nie przydzwonił komuś w czerep lub samemu nie został przydzwonionym. Śladem po tych ekscesach jest po dziś dzień bardzo nieliczne uzębienie jego górnej szczęki, z którego zrobił swój znak firmowy.

Niewątpliwy brak urody, zwłaszcza tej stomatologicznej, nie przeszkodził Duane'owi Petersowi w zrobieniu kariery muzycznej, zaczętej jednak dość przypadkowo. W 1991 roku zastąpił on zmarłego wokalistę skate'owej kapeli Exploding Fuckdolls, Kevina Edmana. Przełomem owej kariery był jednak rok 93, w którym powstał kultowy już w niektórych kręgach skład U.S. Bombs z Duane'em na wokalu. Mimo ciągów narkotycznych Petersa ekipa ta nagrała kilka płyt uznawanych za fundamentalne dla skate punka, takich jak „Put Strength In The Final Blow" czy „Back At The Laundromat". Z tej drugiej pochodzi wykorzystany w klasycznej deskorolkowej grze „Tony Hawk's Pro Skater 4" kawałek „Yer Country". Z U.S. Bombs stał się Duane w silnym zwłaszcza za Wielką Wodą środowisku skate punk tym, kim Michael Jordan dla koszykówki.

Niezmordowany, po kryzysie w U.S. Bombs spowodowanym śmiertelnym przedawkowaniem przez gitarzystę, Peters w 2000 roku z Robem Miluckym założył grupę Duane Peters and The Hunns. Ekipa ta po wydaniu trzech albumów i dołączeniu do składu przyszłej żony Duane'a, Corey Parks, przemianowała się na Die' Hunns. Wraz z nią podłożył Duane pod swoją legendę fundamenty niczym Polacy pod awans do Euro po niedawnym zwycięstwie nad Portugalią. I tego było mu jednak mało. Zgodnie z założeniem, że każda minuta nie spędzona na poniewieraniu systemu uderzeniem swoich połamanych punkowych rytmów jest dla Petersa minutą straconą, w przerwach działalności U.S. Bombs i Die' Hunns spłodził on w swoim niewyżytym umyśle spec-supergrupę od rozwałki zwącą się Duane Peters Gunfight. Ta ekipa złożona oprócz Petersa także ze starych wymiataczy z Ultravires, The Sleepers, Black Lab i The Masons nagrała jak na razie tylko jedną płytę. Potworna ściana dźwięków na niej zawarta wystarczy jednak za co najmniej dwadzieścia albumów plastikowych wykonawców z USA.

Udało się też Duane'owi po poznaniu Corey odstawić dragi i teraz Peters szaleje, koncertuje, nagrywa i prowadzi w północnym Hollywood własną wytwórnię Disaster Records, specjalizującą się w street i skate punku. Draven Shoes oddając część jego imieniu wypuściło nawet na rynek siedemdziesiąt dwa modele tenisówek, wsuwek i butów na deskę sygnowanych nazwiskiem Petersa, które w ofercie firmy stoją tuż obok eleganckich pantofelków Slipknota czy cichobiegów Sex Pistols. Przy tym całym muzycznym zamieszaniu związanym ze swoją skromną osobą nie zapomniał Duane jeszcze kompletnie o tym, jak jeździ się na desce. Dowodem na to sponsorowana przez Vans impreza Pro Tec Pool Party z maja tego roku, na której w kategorii „jam mistrzów" zajął ósme miejsce.

Petersowi nie odbiła jednak palma popularności, wciąż pozostaje zwyczajnym, wytatuowanym punkowcem spod budki z piwem. Z czystym już umysłem, ale i tak nie pamiętając nawet połowy nazw trików, które sam wymyślił, Duane Peters jest wciąż po prostu zwykłym kolesiem robiącym to, co lubi, czyli drącym się do mikrofonu o ważnych dlań sprawach. I wcale nie wyglądającym przy tym na skateboardowo-punkową legendę...

Wyjazdy deskorolkowe w naszym kraju spowszedniały. Co i rusz słyszy się o wyjeździe tego czy innego teamu. Niedawno jednak po raz pierwszy odbył się tour posiadający przewodnią ideę, tzw. „wyjazd z pomysłem". Za akcją tą stała firma Red Bull i jej Build The Trick Tour

tekst ToiOi
foto Wojtek Antonów

W imprezie tej chodziło o to, aby zebrać dwa teamy (składające się z czterech skaterów, fotografa i kamerzysty) wyposażone w całe komplety narzędzi i wysłać ich członków do trzech miast Polski, aby „podtuningowali" tamtejsze spoty. Ekipami biorącymi udział w wydarzeniu były: „Info" Team (Tadeusz Szymański, Tomek Kotrych, Michał Mazur i Krzysiek Stasik) i nasz „Ślizg" Team (Michał Juraś, Krzysiek Poskrobko, Kuba Bączkowski i Tomek Goławski). Ponadto w każdym mieście każda grupa miała dostać dodatkowego skatera. Z całego wyjazdu miał powstać jeden film i obie drużyny musiały zrobić wszystko, aby był on jak najlepszy. Poniżej przeczytacie relację z wydarzeń, które były dziełem głównie naszej ekipy.

WARSZAWA

Pierwszym przystankiem naszej wycieczki była stolica. Spotkanie wszystkich osób biorących udział w „Build The Trick" miało miejsce na kultowej warszawskiej miejscówce – Capitolu. Tam niczego nie świadomi (przed imprezą praktycznie nikt nie wiedział, co się na niej będzie działo) dowiedzieliśmy się, co będziemy robić na wyjeździe. Odbyło się też tam pierwsze losowanie spotów. Miejsca te z reguły znajdowały się w opłakanym stanie i nasza był głowa w tym, aby przyprowadzić je do porządku.

Ekipa Ślizgowa miała dosyć mało szczęścia w losowaniu, gdyż trafiły się nam same na wpół zrujnowane spoty wymagające tygodniowych prac remontowych (a w każdym mieście mieliśmy przebywać po trzy dni). Jednak niezrażeni ani trochę tym faktem udaliśmy się na pierwszą miejscówkę. Mieliśmy ogromne chęci do pracy, wiedzieliśmy, że tak naprawdę będziemy budować sobie miejsca do jazdy na przyszłość.

Naszym pierwszym remontem był tuning spotu typu „bank to wall", czyli banku dochodzącego do ściany tworzonej przez filar wiaduktu. Wyglądało to bardzo klimatycznie, jednak nawierzchnia składająca się z płyt chodnikowych była bardzo nierówna, dlatogo z zapałem i bez namysłu rzuciliśmy się do pracy. Płyty tak odstawały od siebie, że postanowiliśmy je powyciągać i ułożyć na nowo. Ludzie przechodzący koło nas dziwnie patrzyli się na naszą nieoznakowaną fluorescescyjnymi kamizelkami grupę układającą chodnik, łatającą cementem dziury i zamiatającą całą okolicę. Do wykorzystania mieliśmy cały arsenał narzędzi i materiałów pomocniczych, a kiedy tylko czegoś brakowało, po zgłoszeniu tego do centrali od razu rzecz ta się pojawiała. Dzięki temu, a także naszemu pierwotnemu zapałowi, zużyliśmy tam około dziesięciu worków cementu i przekopaliśmy prawie całą uliczkę.

Efekt był jednak bardzo zadowalający - zrobiliśmy całkiem gładką nawierzchnię. Po długiej i bardzo wyczerpującej pracy okazało się, że mało kto ma siłę do jazdy, spot nie był wcale łatwy i żeby tam coś zrobić, trzeba było się trochę wysilić. Ale że był to dopiero pierwszy dzień i wszyscy mieli jeszcze dodatkowe zapasy sił, coś udało nam się tam nagrać i sfotografować.

Po doświadczeniach pierwszego dnia stwierdziliśmy, że na razie odpuszczamy sobie gruntowne remonty miejscówek i skupimy się na lekkim tuningu. Następnego dnia wzięliśmy się za pewien zdezelowany murek przy pięciu schodach na Sadybie. Znajdował się on w stanie kompletnej ruiny, więc znowu trzeba było wziąć się do ciężkiej pracy... Jednak poprzedni dzień nauczył nas tej roboty, teraz żadna „wylewka" cementu nie była nam straszna. Murek i nawierzchnia dookoła niego zostały w dość szybkim tempie przebudowane w stan gotowości do jazdy. Naprawdę byliśmy zadowoleni z tej pracy. Kiedy cement na murku schnął, Michał Juraś znalazł wysoką barierkę, przez którą z wybicia zrobił pięknego kick flipa i backside ollie. Kiedy mureczek wysechł, wszyscy rzucili się na niego jak szaleni. Takich miejscówek nie ma za bardzo w Warszawie. Poleciało większość podstawowych trików. To nie był jednak koniec dnia. My chcieliśmy jeszcze gdzieś jechać, jeszcze coś zbudować, jeździć i nagrywać.





Tomek Golawski, smith grind w Warszawie

Red Bull BUILD THE TRICK

SKATEBOARDING TOUR 2006



Pojechaliśmy zatem na naturalną piramidkę niedaleko Dworca Zachodniego. Tam po przekonaniu miłej pani ochroniarz rozpoczęliśmy „pimpowanie" miejscówki. Na szczęście, cement, szlifierka czy kielnie nie były potrzebne. Wystarczyło tylko położyć parę sklejek i powstał bardzo malowniczy, ciekawy spot. Atrakcyjności dodała mu znaleziona niedaleko lodówka, która posłużyła za murek. Sesja na tym urządzeniu przy sztucznym oświetleniu trwała do późnej nocy. Każdy z naszych teamriderów dał z siebie wszystko. Chłopaki byli strasznie zajarani tym miejscem: Goły, Juraś, Krzysiek i Paweł Tarnowski (nasz dodatkowy rider w Warszawie) zniszczyli spot na wiele sposobów.

Ostatni dzień w stolicy spędziliśmy na objeździe po miejscówkach. Najpierw udaliśmy się pod hotel „Dom Chłopa", aby tam Kuba Bączkowski mógł zrobić kilka manuali, a potem pojechaliśmy na Pragę zobaczyć, jak drużyna „Info" poprawiła dojazd do poręczy. Rail ten był naprawdę konkretny, znajdował się przy dziewięciu schodach, a jedynym mankamentem była lekka dziura na dojeździe. „Info" Team załatał tę dziurę „plackem" z betonu – delikatnie mówiąc wyglądało to na straszną fuszerkę. Goły nie mógł się opanować, aby nie pojeździć na tak perfekcyjnym railu. Zaczął od fs. boardslide'a, a potem triki sypały się jak na zawołanie.

Finałem „przystanku Warszawa" był best trik contest rozegrany ma Placu Konstytucji. Stoi tam kilka wysokich hydrantów, które były naszym celem. Do jednego z nich przystawiono wybicie, aby można było spokojnie przez niego skakać. Tyle trików co wtedy, miejsce to nie widziało nigdy. Zdecydowanie najlepszym był Michał Mazur i to on zwinął okrągłą sumkę wygranej.



Krzysiek Poskrobko, fs. flip w Poznaniu

ŁÓDŹ

Kolejnym miastem, które odwiedziliśmy, była Łódź. Jak wiadomo, słynie ona z rozwalającej się architektury, dlatego spotów do poprawiania było tam dużo i nie mieliśmy kłopotów z ich znalezieniem. Jako dodatkowego skatera wcieliliśmy w nasze szeregi Bartka Milczarka, największego spotseekera w mieście.

Z Łodzi najbardziej zapamiętałem dwa miejsca. Pierwszym z nich był rail wychodzący z bramy do kamienicy. Tam po zrobieniu dojazdu znowu Goły dał popis swoich możliwości - 5-0, fs. board, tail slide i fs. crooked grind. Po poręczy pojechaliśmy przyatakować rampę do wyładowywania mogącą służyć jako wybicie lub murek pod górę. Po tych wszystkich dniach byliśmy już naprawdę całkiem niezłymi robotnikami i wszelkie prace remontowe szły nam jak z płatka. Szczególnie Tomek Goławski i Michał Juraś z nieodłączną szlifierką wiedli prym w tuningowaniu spotów. Rampę załatwiliśmy w kilka chwil i zaczęła się bardzo owocna sesja. Miejscówka ta przypadła do gustu każdemu, możliwości jej wykorzystania było masę. Krzysiek Poskrobko skakał z niej jak z launch rampu, Goły grindował pod górkę, Kuba wziął się za manuale, a Juraś z Bartkiem wymyślali dziwne kombinacje trików. Znowu jazda i nagrywanie przeciągnęły się do późnej nocy. Zawsze było bowiem tak, że kiedy mieliśmy kończyć, nagle ktoś zaczynał jeździć i próbował coś bardzo konkretnego.

Następny dzień był niestety dla nas nie tak owocny jak poprzedni, spędziliśmy go głównie na przygotowywaniu murka, na którym nie dało się jeździć, kłótniach i przygotowywaniu terenu pod best trik, który w rezultacie się nie odbył. Pobyt w Łodzi zakończyliśmy małym przyjęciem w jednym z klubów i nazajutrz w wybraliśmy się w podróż do naszej ostatniej stacji.

POZNAŃ

Tutaj znowu los się do nas uśmiechnął i dał nam większość miejsc, na które chcieliśmy trafić. Przede wszystkim był to spot Armii Poznań, gdzie co prawa nic nie murowaliśmy, ale wykorzystaliśmy sklejki i inne tego typu gadżety. Festiwal trików zaczął się od manuali na platformie, gdzie wszyscy na rozgrzewkę zrobili po triku. Potem jednoosobowa armia - Michał Juraś - zniszczyła najbardziej hardcore'ową część spotu, czyli miejsce, gdzie skacze się w długi i bardzo chropowaty zjazd. Najpierw zrobił ollie, a potem po kilku próbach odjechał po mega czystym kick flipie. Był to numer istotnie profesjonalny.

Bartek Mielczarek, nose pick - zrób to sam, Łódź






Znowu Goławski, znowu poręcz, tym razem tail slide, Łódź










Wszyscy zajarani wyczynami małego Jurka też chcieli zrobić coś fajnego. Krzysiek dumał, dumał, aż w końcu wybudował sobie wybicie przed bardzo długim zniczem pomnika i tam zrobił swoją popisową serię, czyli ollie, backside, kick flip i fs. flip. Nasz dodatkowy skater i jednocześnie przewodnik po zakamarkach stolicy Wielkopolski, Jacek Pawłowski, popisał się pięknym combosem i wszyscy zadowoleni mogliśmy uznać to miejsce za zaliczone.

Drugim spotem, gdzie bardzo nam się podobało, były banki pod mostem – całkiem długie i strome, wyglądem przypominające słynne kanały w Los Angeles (tyle że w mniejszej wersji). Tam Kuba poskakał sobie różnymi trikami w kąt, natomiast reszta ekipy wzięła się za budowę naszego najlepszego dzieła. Postanowiliśmy postawić tam murek, tak żeby lądowanie było w największy z możliwych banków. Budowla ta z zegarmistrzowską precyzją powstawała bardzo długo. Po skończeniu, kiedy wszystko schło, poszliśmy coś zjeść. Po powrocie okazało się, że komuś nasz murek się bardzo nie spodobał i postanowił go zepsuć. A że miał się tam właśnie odbyć ostatni best trik wyjazdu, tym większy był żal po stracie murka. Cóż, trzeba było wszystko robić od początku. Mistrzem fachu okazał się Goły, który naprawił murek na czas i można było rozegrać nasze mini zawody, mimo że pora był już naprawdę bardzo późna.

Każdy chciał jeździć na murku, widać było, że wszystkim osobom w obu teamach przypadł on bardzo gustu. Chłopaki próbowali rzeczywiście trudne triki. Sam główny budowniczy Goły też zrobił kilka zajebistych trików. jednak zmęczenie nie pozwoliło mu na to, na co go stać. Reszta skaterów nie była tak wyczerpana i posypały się konkretne numery – sw. 5-0, tail slide to fakie, bs. tail slide, nollie nosegrind. Jednak najbardziej popisał się tego wieczora Tomek Kotrych z teamu „Info". Kilka godzin wcześniej rozciął sobie głowę w hardcore'owym upadku na rurce, a na best tricku zrobił fakie pivot grind przez cały murek. Wszyscy wiedzieli, że właśnie ten arcytrudny. numer będzie próbował Tomek i że w końcu go zrobi.

Po emocjach towarzyszących jeździe na tej miejscówce wróciliśmy do hotelu na ostatnią już noc na wyjeździe. Red Bull przygotował dla nas pożegnalne przyjęcie, na którym nie żałowano niczego. Nazajutrz z lekkim bólem głowy zapakowaliśmy się do samochodów i udaliśmy się w drogę powrotną...

Wyjazd ten dał nam bardzo dużo. Po pierwsze, uświadomił, że tak naprawdę w naszym kraju jest bardzo dużo miejscówek, tylko trzeba im trochę pomóc. Po drugie, taki tuning miejscówki nie jest wcale rzeczą trudną – liczą się tylko dobre chęci i zapał do pracy. Po trzecie natomiast, najlepiej się jeździ właśnie na rzeczach zbudowanych przez siebie i ma się wtedy największą przyjemność. Dzięki za to dla Janka i Wojtka z Red Bulla za ten tour. 



RECENZJE MUZYCZNE



MOLESTA
NIGDY NIE MÓW NIGDY
RESPEKT REC.



Molesta imponuje. Po pierwsze, rozwojem. Teraz to cztery osobowości, style, spojrzenia na świat, wrażliwości, nadające mimo to na tych samych falach. Po drugie, odwagą. Wciąż jest bezkompromisowo, w dodatku raperzy dzielą się rzeczami tak osobistymi jak w „Wiem, że można się zmusić do" i „Mam to przed oczami". Po trzecie, wszechstronnością. Treści: od energetycznych utworów, gdzie świadomi swojego wkładu w scenę panowie nawiązują do samych siebie, przez wspomniane, chwytające za gardło retro-opowieści, po trochę publicystyki z ulic. Formy: wersy bardzo proste sąsiadują z finezyjnymi, a solowe kawałki z nagromadzeniem króciutkich wejść jak w „Tak się nie robi". Muzyki: ciężka elektronika Czecha Wicha, perfekcyjna klasyka White House, dopieszczona miękkość Reda i Spinache'a, płynące numery Szczurka, porwane i niespokojne Fuso, ekspresja rockowej ballady u Diesa, bogactwo harmonijnych dźwięków Erio... Długo by wymieniać... Po czwarte, profesjonalizmem. Musicie przekonać się, jak to brzmi. (flint)



AFRONT
CORAZ GORZEJ
ASFALT RECORDS



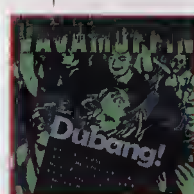
Na wstępie – piękne beaty. Nikt nie wątpi chyba, że Metro ma „chorą wyobraźnię", super brzmienie, a teraz dodatkowo wychylił się z szufladki z napisem „Stones Throw" i zdarza mu się mniej chaotyczny, bardziej tradycyjny sampel. Czasem nawet odmienny klimat, bo takie „Kosmo" miło kojarzy się z Organized Noize i drugą płytą Outkastu. Świetna, kompletna praca. Zaraz potem bezczelne i płynnie podane wersy. Dorobiliśmy się polskich Cali Agents, z częstymi wymianami zadziornych zdań. I jedyne zarzuty, jakie da się postawić, są analogiczne do tych wyciąganych Rasco i Planet Asii. W swojej klasie mistrzostwo, ale to rap przewidywalny i nie do końca uniwersalny. Nie ma też nawet ani pół gościa. Pisałem to już przy drugim Trzecim Wymiarze, teraz powtórzę, bo łódzko-brzeska inicjatywa to obowiązek dla zaczynających rap-przygodę. Album jest znakomity. Należy go pchnąć na wosk i puszczać w klubach tak długo, aż ziomusie przestaną siorbać z plastiku gazowany mocz i szukać biustu pod różowymi bluzeczkami swoich panienek. Amen. (flint)



ŚWIĘTY
TU WOLNO PALIĆ
TUWOLNOPALIC. COM



Brawa za pokazowe operowanie basem, dopieszczone brzmienie, wszechstronność, produkcje różne w klimacie, ale ze wspólnym mianownikiem. Za brak rozwiązań prymitywnych i na siłę przebojowych, za muzykę niebanalną. Z tym że zaproszeni mc są już bardzo specyficzni. Owszem, Blef stał się zaskakująco kompletnym raperem, a Pjus napisał piękny, konceptualny tekst. Tyle że to trochę słaby magnes, a reszcie czegoś w tych rapach brakuje lub wytraca uniwersalność, pakując się po szyję w stołeczne realia (np. Ansambl). Emazet i Numer to pewne style, jednak zwykle służące do nawijania o wszystkim i niczym. Jeż jest dobrym obserwatorem, potrafiącym podjechać fajnym flow na stary sposób, przy czym zdarza mu się tak położyć akcent bądź też wyskoczyć z jakimś „wisiorem", „pisiorem" i „balaskiem", że człowiek łapie się za głowę. Dizkret wykonał krok w tył i brzmi jak rookie. Munro ma dobry tekst, jednak głos i flow już do szlifu. Mes dał kapitalny numer. Co z tego, jak już znany. To, że w innej wersji, jest małą pociechą. Te produkcje zasługują na więcej. (flint)



VAVAMUFFIN
DUBANG!
KARROT KOMMANDO



To musi być niefart, jeśli dobrzy muzycy biorą się za dobre w oryginale utwory i wynik jest słaby. W wypadku „Dubang!" nie ma o tym nawet mowy, dostaliśmy udaną płytę. Z tym że jeśli zespół nie wymógł tego, żeby wszystkie kawałki utrzymano w hipnotycznej, pełnej pogłosów dubowej konwencji i postawił na płytę zróżnicowaną gatunkowo, mogło w parze z tym pójść też zróżnicowanie remiksowanych utworów. Naprawdę można znienawidzić po którymś razie bardzo przyzwoite przecież „Jah jest prezydentem". A tak poza tym, należy tylko chwalić: szokujące pomysłowe eksperymenty Mario Dziurexa i Lubaya, kojące duby P. Lusha & P. Tecka, Antonio & Paolo, Jah Free czy też wdzięczne wycieczki do jazzowego lamusa, które odbyło samo Vavamuffin i DJ Zero. Ludzie kojarzeni ze światkiem hh ogólnie nie zawiedli – dzika energia Feel-X'a dobrze równoważy się z umiarkowaniem i klasycznym podejściem Mario. Może tylko TikTak – przy całym szacunku do beatboksowych umiejętności i dążeniu do urozmaicenia – zrobił rzecz nudnawą. (flint)

newsy

Jeżeli myślicie, że **Pezet** przygotowuje z Noonem płytę pt „Muzyka Rozrywkowa", to bardzo źle myślicie. Noon jakiś czas temu zrezygnował z publikowania albumu „8 Bitów" niezadowolony z jego poziomu, Pezet tymczasem szykuje skrajnie odmienne rzeczy. Jedną nowoczesną, na czasie, z pierdolnięciem – bo tak właśnie ma wyglądać album produkowany w większej części przez Szoguna (choć pojawić ma się na nim jeszcze np. Korzeń). Drugą intymną, poświęconą sprawom serca i nagraną głównie dla siebie – taka będzie przygotowywana z Ajronem epka.



Metro zaskoczy was winylami – planuje zarówno dwunastkę jak i siódemkę (czyli winylowy singlelek). Obiecujący producent, którego pracę możecie docenić obecnie na nowym albumie Afrontu, pozwolił zerknąć nam na wstępne tracklisty. Największą atrakcją singla wydaje się utwór „Bestia", gdzie zderzają się dwa pokolenia raperów (O.S.T.R. i Tetris) oraz DJ'ów (Haem i Tort), ale hołd dla Dilli i numer z udziałem Wankza, G-Unitry i BRK też brzmi ciekawie. Na epce (wstępnie zapowiadanej na wiosnę) mają znaleźć się Wankz i Fisz.

UMC świętuje pięciolecie istnienia. Prezentem dla fanów jest kompilacja „Birthday Party", na której, według wytwórni, znajdą się „najlepsze single wydane przez UMC/My Music w ciągu ostatnich 5 lat". Płyta jest dwuczęściowa. Pierwsza to single z okresu 2002-2005, druga to utwory z 2006 roku". Nie będziemy złośliwi i zamiast życzyć na urodziny „wszystkiego lepszego", życzymy po prostu powodzenia.

Wielkie Joł znalazło właśnie nowy talent producencki (o ksywie Mpcet, znowu z północy), tymczasem Camey nie może wypuścić krążka swojego beatmakera Wavesa (uwaga, fani hip-hopu kanadyjskiego znajdą coś dla sie-



THS KLIKA
LIRYKA CHODNIKA
PROSTO



Długi staż i opieka Prosto robi swoje, tak więc THS ma niby wszystko co trzeba – od niezłej dykcji i wyczucia rytmu, po równy poziom, dobrą realizację i singiel z pierdolnięciem. Doceniając to wszystko trzeba tylko zapytać, ilu mamy w ulicznej Warszawie tak samo myślących i gadających mc's. Musi być więc czarno-biała historia porównawcza z morałem, opowieść o sprzedajnych szujach, pochwała dla własnej niuni i tak dalej. „Nocne marki" mogłyby spokojnie być kawałkiem BC, „Czarno na białym" zaś HG. „PRL" jest jak „Powrót do przeszłości" Morwy, a jeśli z wizytą wpada Pono, to wychodzi setny numer o blantach. Tytuły kawałków mówią zresztą wszystko. Do tego za dużo ciężkich tematów trafia na ciężką perkusję, ciężki bas i... słodką melodię, graną albo samplowaną. O ile na Waco można polegać zawsze, to Siwers jest już nierówny, o mniej znanych producentach nie mówiąc. Fani muzyki Prosto-linijnej będą zachwyceni, reszcie nie zaszkodzi. Warto znać singiel i kawałki z gośćmi (zwłaszcza Sokołem i Ero). (flint)



PEJA/SLUMS ATTACK
SZACUNEK LUDZI ULICY
FONOGRAFIKA



„Jakie życie taki rap", „I nie zmienia się nic". Te dwa cytaty najlepiej charakteryzują tę płytę. Zmieniły się warunki bytowe lidera SLU i to jest w tekstach: o pieniądzach, o kobietach (mocno eksploatowany wątek), a także sporo gorzkich refleksji na temat „wczoraj a dziś". Nie zmienia się Peja. Jak zawsze wykłada się nam na tacy takim, jakim jest. Nie boi się przyznawać do błędów, mówi o słabościach, nie ma dla niego tabu. Niewielu na to stać. To się ceni. Muzyka (w dużej mierze zrobiona przez Decksa) jest dobrym tłem dla opowieści Rycha. Solidnie, klasycznie i bez fajerwerków (choć są zaskoczki jak kilka „połamańców" czy wręcz dirty south w „HH Honeys"). Można ponarzekać na częstochowskie rymy, na mało eksperymentów (a udany punkowy refren w „Potrzebuje go" pokazuje, że można) czy na to, że płyta jest zbyt długa. Jeśli jednak raperowi udaje się zafascynować mnie swoim światem i sprawić, że choć trochę poczuję emocje, które mu towarzyszyły, to potrafię przymknąć oko na tych kilka wad. Hardcore, jaki cenię. Nie o „życiu", lecz „przeżyciu". KAMELito



MEZO/TABB/ KASIA WILK
EUDAIMONIA
MY MUSIC



My Music nie przysłało nam tej płyty, wychodząc zapewne założenia, że hip-pop nas nie interesuje. Ależ spokojnie, interesuje, piszemy przecież o Diddym, Timberlake'u czy Black Eyed Peas. Mnie osobiście ciekawi, czemu Tabb uznał, że skoro pop, to musi być płasko, mdło, wtórnie i biednie. Zastanawiam się też, czy Mezo ze swoją verbowo-mydlaną „Tiną" i równie szkodliwą, co infantylną „Spiralą nienawiści" jest tak na poważnie, czy może obumarła mu połowa szarych komórek? Albo znowu nie zrozumiałem ironii? Jak to jest „opalać się w gorących promieniach upojenia"? Jakich broszurek naczytał się nasz zaoczny erudyta, że gada o sacrum, eudaimonii, nieśmiertelności i cytuje Kuronia? Ile razy Kasia Wilk ziewała nagrywając wokale? Najgorsze w tym wszystkim, że Mezo została łatwość klejenia rymów i jak już zarobi, zechce ją poważniej wykorzystać. A właśnie spalił ostatni most. Słuchalna, mimo swej wtórności, jest tylko „Tabula rasa". I może fragment „Rejsu"... (flint)





JEŻ JERZY. WRÓG PUBLICZNY, EGZORCYSTA
SCEN. RAFAŁ SKARŻYCKI, RYS. TOMEK LEŚNIAK
EGMONT

Tytuły jakby znajome? Spokojnie, to nie deja vu, a jedynie reedycje dwóch tomów przygód naszego „redakcyjnego kolegi". Zbiór kilkuplanszowych historyjek o Jerzym, „Wróg publiczny" oraz pełnometrażowy niby-horrorystyczny „Egzorcysta" są teraz dostępne w wersji deluxe – twardej oprawie, wzbogacone o dodatkowe strony (na nich wywiady z bohaterami i portrety Kolczastego w wykonaniu znanych polskich komiksiarzy). Minęło raptem trzy-cztery lata od pierwotnego wydania obu komiksów, a już teraz mogą one uchodzić za klasyki. O samej serii nie ma chyba sensu tu perorować, bo „jaki jest Jeż, każdy wie". A przynajmniej każdy, kto w miarę regularnie czyta „Ślizg". **Sebastian Rerak**





STARUORZZZ: STARE KLISZE
RÓŻNI AUTORZY
TAJNA ORGANIZACJA KIEPSKI ŻART

Parafrazując wieszcza: dzieckiem w kolebce, kto ujrzał „Gwiezdne Wojny"... ten pozostanie na zawsze dzieckiem. Fantastyczna saga George'a Lucasa zapłodniła wyobraźnię kilku pokoleń domorosłych Luke'ów Skywalkerów, Hanów Solo i księżniczek Lei. Nie należy się więc dziwić takim dowodom uznania dla kultowej space opery, jak zbiorek „Staruorzzz". Na jego zawartość zbierają się humorystyczne komiksowe wariacje na temat świata i bohaterów „Star Wars" w wykonaniu zazwyczaj undergroundowych rysowników z Polski i Rumunii. Wśród rodzimych twórców wyróżniają się in plus Joanna Karpowicz, Dagmara Matuszak i Piotr Nowacki, ale w międzynarodowej konfrontacji Moc okazuje się zdecydowanie po stronie Rumunów. Kilka staruorzzzowych żarcików wywołuje uśmiech na twarzy wielki jak księżyc Endor, więc dlaczego by nie dać szans tytułowym „starym kliszom"? Zdecydujecie sami. **Sebastian Rerak**

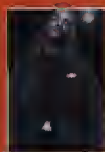




CZARNA ORCHIDEA
SCEN. NEIL GAIMAN, RYS. DAVE MCKEAN
EGMONT

Czy jakiekolwiek dzieło tandemu Gaiman-McKean wymaga rekomendacji? Współpraca tych dwóch wielkich szamanów zawsze owocuje dziełami nieprzeciętnymi i „Czarna Orchidea" nie jest odstępstwem od tej reguły. Ta nominowana do nagród Eisnera i Harveya historia jest swobodną wariacją na, zdawałoby się wyeksploatowany do cna, temat popularnych nadludzi w osobliwych kostiumach. Pojawiają się w niej doskonale znane komiksowe postaci (Batman, Lex Luthor), ale pierwsze skrzypce przypadają bardzo nietypowej

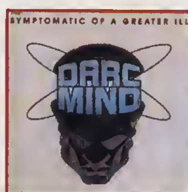
bie!), ponieważ ***Borixon*** wciąż zaciera ręce. Nic dziwnego, bo pewno mu zimno, skoro tak czeka i czeka. Ponoć 5 grudnia album trafi wreszcie do sklepów.



Jedyne zdjęcie, o jakie mogliby ście podejrzewać ***Game'a***, to zdjęcie skalpu każdemu, kto powie, że Dr. Dre nie jest najlepszym facetem na świecie, a N.W.A. nie wyprzedali wszystkich o dwie długości. Ale raper wystąpił właśnie w roli fotografa. I to nie byle gdzie, bo w „Playboyu". Wcześniej zaszczyt ten kopnął Flavor Flava, Ludacrisa, Ja Rule'a, Nelly'ego, DMX'a i Xzibita. The Game lubi przebywać w dobrym towarzystwie, remiks „One Blood" skupia ponad 20 mc's, w tym tuzów takich jak Snoop Dogg, Nas, T.I., Fat Joe, Lil' Wayne, Noreaga, Fabolous, Twista, Jadakiss, E-40, Bun B, Slim Thug, Chamillionaire, Juelz Santana czy Ja Rule. Czyste szaleństwo.



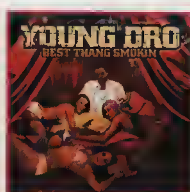
Tymczasem menedżer Game'a znalazł nową pracę. Ceniony producent, a zarazem co krok wyśmiewany raper ***Jermaine Dupri*** zwolnił



DARC MIND
SYMPTOMATIC OF A GREATER ILL
ANTICON



Kev Roc ma głos tak głęboki, że Roots Manuva brzmi przy nim jak Ghostface, a fani Chali2ny wychodzą z rybiego targu. Opanował poza tym wszystkie elementy doskonałego emceeingu – potrafi hipnotyzować wolnym, szamańskim zawodzeniem („Visions Of A Blur"). Umie przyspieszyć, gdy podkład dyktuje mu szybkie tempo, oryginalnym flow wciąga słuchacza w swoje zwrotki bez cienia wysiłku. Ma zaskakujące rymy, ma abstrakcyjne bragga, za którym nie zawsze da się nadążyć, wreszcie – ma krótko zdefiniowany styl. „I'm Ill" – i możecie mu wierzyć, gdy mówi: „poświęć mi chwilę, a cię zadziwię". Producent płyty, GM Web D, brzmi natomiast jak wychowanek Diamonda D, którego następnie wyrzucono z D.I.T.C. za zbytnią awangardowość. Stawia na mroczny nastrój, na rytm, wysuwając bębny na pierwszy plan, dopiero pod koniec krążka zagęszcza sample. Słuchając albumu musimy pamiętać, że ma już 9 lat, i gdyby nie upadek Loud mógłby dziś stać obok klasyków. Chwała Anticonowi, że ocalili go od zapomnienia. hadero



YOUNG DRO
BEST THANG SMOKIN'
ATLANTIC / WEA



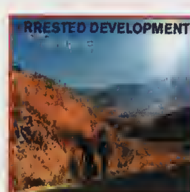
Young Dro to kolejna nowa twarz rodem z Atlanty, członek ekipy Pimp Squad Click, której liderem jest nie kto inny jak T. I. Dro, którego mieliśmy okazję usłyszeć już na albumie PSC z 2005 roku, postanowił podążyć drogą mentora i wypuścił solowy krążek. Po albumie tym z góry można było spodziewać się clubbangerów w południowym stylu i właśnie tak w większości prezentuje się tracklista „Best Thang Smokin'". Hitowe za oceanem „Shoulder Lean" z T. I.'em, singlowe „Rubberband Banks" czy „My Girl" (jeden z niewielu choć trochę oryginalnych tematycznie kawałków) wyprodukował Lil' C. Oprócz niego znajdziemy też produkcje Khao, Jazze Pha czy Keitha Macka. Young Dro posiada wyrobione pewne flow i pasujący do takich numerów niski głos, jednak nie jest tak wyrazistą i charakterystyczną osobowością jak T. I. czy Slim Thug. Szkoda też, że kolejnych kawałków w większości nic specjalnego nie wyróżnia spośród zalewu podobnych southowych brzmień. Wyjątkiem są tu refleksyjne „Hear Me Cry" na bicie Chada Hamiltona i „U Don't See Me" ze Slim Thugiem. Niezła południowa płyta, ale nic ponad to. eMATel



PSALM ONE
THE DEATH OF FREQUENT FLYER
RHYMESAYERS



Strasznie podoba mi się flow tej babki. Ciągle podkreśla, że nie chce brzmieć „dobrze jak na dziewczynę" i faktycznie jej się to udaje, bo zjada niejednego zadufanego w sobie „hot mc". Dobrze się stało, że zredukowała manierę kopiowania Jean Grae, a wypracowała swój własny sposób płynięcia na bitach. Co do samych podkładów, producentem całości jest Overflo. Lepiej żeby nie eksperymentował, bo kiedy produkuje bardziej klasycznie, daje to dużo lepszy efekt. Ogólnie sprawa wygląda tak – „The Living", „Rapper Girls", „The Nine", „Mountain High", „Peanuts" i „Rest In Peace" to kawałki, które naprawdę potrafią rzucić na kolana, ale to tylko połowa utworów z płyty. Reszta jest przekombinowana, momentami nudna, czasem nawet irytująca. Jeśli Psalm One zrobi cały album na poziomie tych sześciu numerów, będziemy mogli mówić nawet o jej prymacie w kobiecym rapie, bo naprawdę ma olbrzymi potencjał i talent. Med



ARRESTED DEVELOPMENT
SINCE THE LAST TIME
EDEL RECORDS



Nie wierzyłem w to, że Arrested Development stać będzie jeszcze na nagranie tak kozackiego krążka. „Since The Last Time" od początku do końca słucha się przednio. Nieważne, czy dany numer ciągnie rap Speecha (nie wolno pominąć trzech świetnych zwrotek drugiego rapera grupy, One Love'a), czy wokale Ehe i Nishy. Czy żywe instrumenty mniej eksponowanych członków AD (Za', Rasa Don, JJ Boogie) są wykorzystywane prez odpowiedzialnych za produkcję Speecha i Sama Hollendera w mniejszym czy większym stopniu. Nieważne, czy trafimy zaangażowane „Heaven", czy na bezpretensjonalne, taneczne „Down & Dirty". Wszystko wchodzi gładko. No i ten paradoksalny klimat świeżości, zaskakujący biorąc pod uwagę, że mamy tu do czynienia z grupą z dość pokaźnym stażem. Dobra rzecz. GRB

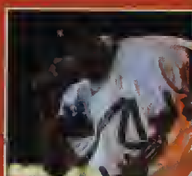


CAROL RIDDICK
MOMENTS LIKE THIS
AXIS MUSIC



Nie sposób zliczyć wszystkich utalentowanych artystów sceny neo-soulowej wywodzących się z Filadelfii, ale możemy do tej listy spokojnie dopisać Carol Riddick. Zmysłowa wokalistka od kilku lat udzielała się na płytach innych twórców z miasta braterskiej miłości (Musiq, DJ Jazzy Jeff, Jaguar Wright), koncertując również u ich boku. Teraz przyszła pora na jej debiutancką płytę. Nie jest to co prawda jeszcze klasa porównywalna z Jill Scott albo Vivian Green, ale materiał i tak się broni. Przede wszystkim doskonałą muzyką, za którą w większości odpowiada guru philly sound – sam James Poyser. W klasycznym dla siebie stylu połączył on tradycyjne, klasyczne soulowe brzmienie z elementami hip-hopu, urban music i w efekcie mamy piękną, nisko płynącą i głaszczącą nasze zmęczone uszy produkcję. Pannę Riddick wspomogli na tej płycie również Angie Stone, Black Thought, Adam Blackstone czy Ben Kenney i to dobra wizytówka – ci ludzie nie współpracują z byle kim. Gdyby jeszcze rozszerzyć tematykę tekstów i popracować trochę nad przebojowością, byłoby naprawdę świetnie. A tak jest całkiem dobrze. Andrzej Cała „Machina"

bowiem funkcję prezydenta skoncentrowanego na „muzyce miejskiej" oddziału Virgin Music. Powodem była sprzedaż ostatniej płyty Janet Jackson, która ledwo podbiła pod 420 tysięcy. To i tak nic – wydany pod koniec września Daz Dillinger sprzedał tylko 50 tysi. Rzeczywiście słabiutko...



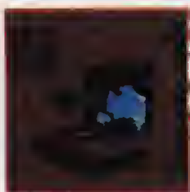
Kiedy jedni się wykruszają, inni trwają od niepamiętnych czasów. ***LL Cool J*** wydaje 13 płytę solową. Ale jeszcze nie zasypiajcie. Ukaże się ona bowiem dopiero z początkiem marca, a producentem wykonawczym będzie... A jakże, 50 Cent, który ostatecznie wygrał sprawę przed sądem i uwolnił się od zarzutu kradzieży tekstu od Luke'a, słynnego zboczeńca z Miami. Wracając do LL'a – jakoś nie jest mi szczególnie smutno, że to ostatnia płyta, którą weteran z Queens ma przygotować dla Def Jamu.



Jay-Z nie wytrzymał. Po tym jak Jim Jones z Diplomats złośliwie sparafrazował „Kingdome Come" zmieniając tytuł w „Kingom Done" i nie szczędził cierpkich słów w prasie, postanowił wreszcie utrzeć nosa bezczelowi we freestyle'u „Brooklyn High". Dał znać, że jedynym Jonesem, jakiego poważa, jest „jego czarnuch" Nasir Jones i po „Ether" wiele się nauczył. Jakie to wzruszające...



Ostatnio amerykański hip-hop co krok udowadnia, jak niedaleko jest z brudnego południa na wschodnie wybrzeże. ***UGK*** wykonało dodatkowo podróż w czasie i zarymuje z nieco przebrzmiałymi ostatnio legendami Nowego Jorku – Kool G Rapem i Big Daddy Kane'em. Podkład zrobi im zaś sam Marley Marl. Reszta gości na wychodzącym w grudniu albumie jest bardziej przewidywalna. Produkcja to m.in. Jazzy Pha (który ma



GLUE
CATCH AS CATCH CAN
FAT BEATS



Wiem, co powiecie. „Ta płyta jest nie do słuchania, głośna, niezrozumiała, niepotrzebnie udziwniona eksperymentami. Adeem ma głos podobny do Dużego Pe, nieznośną manierę podśpiewywania, lubi gadać dużo i szybko, aż ciężko nadążyć. Przeintelektualizowane rymy, za dużo polityki, za dużo socjologii, za dużo metafor. Myśli sobie pewnie, że to jakaś poezja górnych lotów. Utwór z perspektywy robota, któremu wmawiano, że jest człowiekiem? Co to ma być, do cholery? Po co te rockowe gitary, mało wam crossoverów? Bity brzmią jak jeden wielki breakbeat, założę się, że cała płytoteka Makera to płyty z gotowymi breakami. Z całej trójki tylko DJ DQ daje radę, naprawdę znakomity turntablista, ale takich jak on to teraz pełno. Cholerne białasy z klasy średniej, podszywają się pod hip-hop dla szmalu, jakby mało było tych wszystkich Anticonów." Cóż mogę odrzec? Podkłady Makera to niczym synteza energii Lightheaded z nastrojem Blockheada, wzbogacona o gitarowy pierwiastek. Adeem jest zaś unikatem i potrafi prawie wszystko. Album roku. hadero



JOHN LEGEND
ONCE AGAIN
G.O.O.D. MUSIC / SONY BMG



Kiedyś Al Green, Marvin Gaye i Barry White, a dziś to John Legend najpiękniej, najbardziej zmysłowo, ciepło i bezpretensjonalnie śpiewa o uczuciach i zwykłym życiu. Trudno sobie wyobrazić bardziej stosowną muzyczną pocztówkę z dokumentacją leniwie płynącej jesieni. To brzmienie, które może ukoić nerwy każdego, poprawić nastrój nawet w momencie największego doła i natchnąć energią najgorszego ponuraka. To teksty zdradzające ogrom szacunku do kobiet i życia, wersy znamionujące ogromny talent Legenda, ale również jego wrażliwość, pogodny charakter z bardzo trzeźwym spojrzeniem na rzeczywistość. A najważniejsze – to kapitalna robota kilku muzyków z Will.I.Am'em, Kanye Westem, Sa-Ra Creative Partners i Raphaelem Saadiq'iem na czele. To trzynaście kompozycji czerpiących z klasycznego soulu, funku i jazzu, ale wyprodukowanych na wskroś nowocześnie. Przebojowych, ruszających głową, a z drugiej strony mogących stanowić idealne tło do randki, kolacji we dwoje i spaceru w wolne niedzielne popołudnie. Piękny album, wspaniały powrót. Andrzej Cała „Machina"



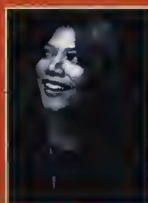
XZIBIT
FULL CIRCLE
KOCH



X to zajebisty mc i właściwie o tym nie ma co dyskutować. Ma charakterystyczny, chropowaty niski głos, dopracowane flow i setki panczy w zanadrzu. Tym bardziej szkoda, że rozmienia się na drobne po programach klasy „Pimp My Ride" i zaniedbuje rapowanie, dając nam album co najwyżej przeciętny. Brakuje mu oryginalności, polotu, kawałki brzmią jak niedopracowane, wlatują jednym uchem, wylatują drugim. Bity są przebojowe, ale w zdecydowanej większości na siłę. DJ Quik nie zaskakuje, Jelly Roll wkurza, Rick Rock zawodzi i jedynie Fyredept i J-Dubz potwierdzają swój talent, choć też można było spodziewać się więcej. Brakuje takich kawałków jak „X" czy „Paparazzi", brakuje pomysłu na numery i dobrych bitów. Podsumowując, po prostu stać go na więcej. Med

się wziąć wreszcie za długo odkładany projekt z Cee-Lo), Lil' Jon i Swizz Beatz, a zarymować wpadną Rick Ross, Slim Thug, Three Six Mafia i Willy D. Czekamy z niecierpliwością.

Diabelski pies opowiada trzy mrożące krew w żyłach historie... Czy już trzęsiecie pośladkami? Nie? To może zaczniecie wiedząc, że w filmie Stacy Lee „Hood Of Horror" rola wspomnianego narratora przypadła ***Snoop Doggowi***, a w epizodach pojawiają się np. Method Man i gwiazdy NBA. Ponoć grany już jakiś czas film jest zabawny i to nie tylko dlatego, że jest aż tak zły.



Skoro o filmach, już na wiosnę 2007 r. będziecie mogli zobaczyć efekt czteroletniej pracy zaskakującego duetu – jednej z ważniejszych kobiet w historii hip-hopu i jednego z większych twardzieli w historii kina. ***Queen Latifah*** i Bruce Willis, bo o nich mowa, przygotowali silnie zabarwiony społecznie dokument „The Hip-Hop Project". Pojawi się w nim sam Russel Simmons i Doug E. Fresh. Może wreszcie ktoś pokaże Latkowskiemu, jak to powinno się robić.

superheroinie, tytułowej Czarnej Orchidei. Nie znajdziecie tu scen spektakularnej demolki, taniej erotyki czy okładania się po gębach. Dzieło Gaimana i McKeane'a to bardzo intymna opowieść, którą na własny użytek nazwałem współczesnym mitem ekologicznym. Gorąco polecam! **Sebastian Rerak**





TECHNOKAPŁANI TOMY 6-8
SCEN. ALEXANDRO JODOROWSKY, RYS. ZORAN JANJETOV, FRED BELTRAN
EGMONT

Ciekawe, czy Alexandro Jodorowsky nie stracił jeszcze rozeznania w kosmicznym uniwersum, które stworzył. Tu technokapłani, tam metabaroni, intryga goni intrygę, a wizje chilijskiego scenarzysty zbyt często są zrozumiałe chyba tylko dla niego samego. Zapewne po to, by oszczędzić czytelnikom konfuzji, ostatnie trzy tomy futurystycznej sagi o najwyższym technokapłanie Albino ukazały się w zbiorczym wydaniu. Jak łatwo się domyśleć z lektury poprzednich części, naszemu bohaterowi udaje się w końcu – niczym starotestamentowemu Mojżeszowi – doprowadzić swoich uczniów i rodzinę do „galaktyki obiecanej". A skoro to już wiecie, możecie odpuścić sobie lekturę. Jest wiele lepszych komiksów science-fiction. **Sebastian Rerak**

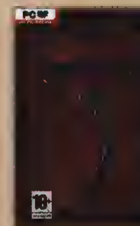




FIGHT CLUB. PODZIEMNY KRĄG
CHUCK PALAHNIUK
NIEBIESKA STUDNIA

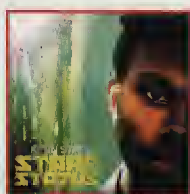
„Fight Club" został już rozsławiony przez kinową ekranizację, ale jeśli widzieliście film Davida Finchera, to przyjmijcie do wiadomości fakt, że pierwowzór literacki jest jeszcze bardziej nasycony czarnym humorem i drapieżnym sarkazmem. Surrealistyczne przypadki zwichrowanego umysłowo, aspołecznego bohatera, szukającego podniety w nielegalnych walkach, czyta się po prostu znakomicie. Palahniuk w brawurowy sposób daje upust swojemu wkurwieniu na skostniałe, ograniczające, goniące za mamoną społeczeństwo, przeciwstawiając jego dewiacjom szalone wizje własnej wyobraźni. Umiejętności pisarskie tego Amerykanina ukraińskiego pochodzenia są wprost proporcjonalne do jego cynizmu, co stawia go w jednym rzędzie z Kurtem Vonnegutem i Josephem Hellerem. Niedługo pewnie pasowany będzie na „pisarza kultowego", więc czytajcie go, zanim zostanie zaanektowany przez studentki w szynelach po pradziadku. **Sebastian Rerak**





GOTHIC 3
PIRANHA BYTES/CD PROJEKT

Ta gra z pewnością stanie się wielkim hitem – mimo ceny i mimo wymagań (bez karty graficznej obsługującej shadery w ogóle do niej nie podchodźcie). Już pierwszy „Gothic" zdobył sobie wielu oddanych fanów, dwójka tylko umocniła pozycję serii, jeśli chodzi o erpegi z widokiem tpp. 2 lata oczekiwania (jeśli będziemy liczyć od wydania dodatku „Noc kruka") na nowego „Gothica" dobiegły końca. Jeszcze większy świat, setki qu-



KENN STARR
STARR STATUS
HALFTOOTH RECORDS



Podczas gdy większość słuchaczy rapu ustawiło sobie ołtarzyk Justus League, modląc się do niego przez ostatnie lata, tuż obok wyrosła konkurencyjna ekipa Low Budget z Kenn Starrem, Oddisee i Kevem Brownem na czele. Czy już czas zmienić obiekt kultu? Wypadałoby. Starr to emce bardzo bliski przeciętnemu słuchaczowi i jego sprawom. Nie stawia się ani trochę ponad innych ludzi, chyba że chodzi o słabych i sprzedajnych raperów – tych ma w głębokim poważaniu („Middle Fingaz"). Dużo uwagi poświęca codziennym problemom, uczuciom, rapując z polotem, dobrym flow, operując ciekawymi porównaniami i celnymi punchami. Uwagę zwraca doskonale dobranie gości – trudno sobie wyobrazić „Mr. Nice Guy" i „Inside" bez Wayny czy „Relentless" bez Keva Browna. Świetna warstwa produkcyjna udowadnia, że nie trzeba 9th Wondera, by mieć soulowe zawodzenia i Kanye Westa, by mieć przebojowość. M-Phazes, Khrysis, Illmind, Kev B., Oddisee, Roddy Rod i Cy Young – wielkie brawa, dobra robota. Dla wszystkich fanów Little Brother zaś dobra lekcja, jak powinien brzmieć dobry underground. **Andrzej Cała „Machina"**



OH NO
EXODUS INTO UNHEARD RHYTHMS
STONES THROW



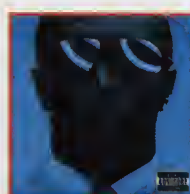
Jest tu jeden, za to zasadniczy problem. Mamy bardzo dobre beaty brata Madliba, lepsze lub gorsze wersy zaproszonych gości, za to nie mamy zupełnie chemii pomiędzy nimi. No, ale po kolei. Pomysł na drugi krążek Oh No jest ciekawy. Do produkcji płyty wykorzystał on sample z nagrań Galta MacDermota – uznanego jazzowego kompozytora. Oh No bardzo kreatywnie podszedł do pracy. Bity kipią funkową energią, są okraszone świetnymi partiami instrumentalnymi, tu i ówdzie pobrzmiewają trąbki, smyki i sample wokali, a na dokładkę perkusja brzmi wyśmienicie. Gorzej wypadli zaproszeni raperzy. Frank N Dank, Roc C czy K Jay brzmią jak nieopierzeni trzecioligowcy. M.E.D., Aloe Blacc czy AG też mieli już w swojej karierze lepsze wejścia. Na poziomie za to Posdnous, Cali Agents i Vast Aire, którzy pozostawili najlepsze wrażenie. Tylko co z tego, skoro wszyscy rymują o czym innym (co można wybaczyć), a czasem ma się wrażenie, że nie słyszeli wcześniej podkładu, na który kładą swój wokal (tego już nie wybaczę). Materiał lepiej prezentowałby się jako instrumentalny. **Andrzej Cała „Machina"**



STRANGE FRUIT PROJECT
THE HEALING
SPLIT MILK / OM REC.



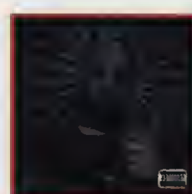
Takie zespoły jak SFP (w składzie Myth, Myone i Symbolic One aka S1) zawsze będą miały oddane grono fanów. Soulujące, korzenne brzmienie, w zgodzie z kanonem hip-hopu spod znaku Native Tongues zyskało uznanie już w 2004 r., gdy grupa wydała debiutancki materiał „From Divine". Dowodem na to jest fakt, że do współpracy przy „The Healing" SFP pozyskali samą Erykę Badu, która pięknie śpiewa w najlepszym na płycie „Get Live". Album wypełniają przyjemne, kojące dźwięki, za które w większości odpowiadają S1 i Illmind. Ich produkcje charakteryzują ciepłe soulowe sample, bujający klimat i pozytywne wibracje potęgowane przez dogrywki żywych instrumentów. Trochę gorzej ma się kwestia rapu na płycie. Emce SFP nie mają ani wyróżniających głosów, ani porywającego flow, co gorsza – brzmią często bardzo podobnie do siebie. Są za to dobrymi tekściarzami, stawiając w swych wersach na pozytywne treści i ciekawe życiowe przemyślenia. Nie jest to ATCQ XXI w., ale jako spadkobiercy pewnych idei i podejścia do hip-hopu SFP spisali się godnie. **Andrzej Cała „Machina"**



P. DIDDY
PRESS PLAY
BAD BOY RECORDS



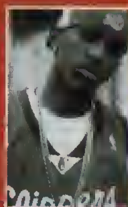
Dziwna sprawa, bo oczekiwanego rozmachu starczyło tu na epkę. Tak jakby cały budżet został utopiony w kilku tekstach od ghostwiterów, pięciu beatach od Just Blaze'a, Kanye Westa, The Neptunes, Timbalanda i Will.I.Am'a oraz featuringach Nasa, Twisty i Big Boia. A resztę trzeba było zrobić niestety polegając na sobie i swoich ludziach. Syntetyczny podkład Blaze'a budzi słuchacza po 6 kawałkach miernoty, potem ożywia go jeszcze Kanye i koi do snu ładna, słodziutka kołysanka Timbalanda zapowiadająca kilka utworów w zbliżonej tonacji, ale bez cienia tej klasy. Nie tylko skumulowani w środku płyty mc's cieszą ucho. Diddy miewa parę niezłych linijek, a brak rozwleczonych wersów wyszedł mu na zdrowie. Tyle że cała ich reszta (mimo że dawkowana oszczędnie i pochowana pod beatami) kontrastuje potwornie, przywodząc na myśl dawną nędzę. Jeżeli Diddy rzeczywiście chciał, by „ludzie czuli się dobrze, tańczyli i wzbudziły się u nich emocje", poniósł porażkę. To nawet nie produkt, to półprodukt. **(flint)**



SADAT X
BLACK OCTOBER
RIVERSIDE



Legendy też się starzeją. Sadat X to kolejna z nich, która nie jest w stanie zaskoczyć już niczym, ale za to potrafi zrobić kiepski album mając kozackie bity od Beatminerz, Diamonda D czy DJ'a Spinny, a to już sztuka. Jak już ktoś potrafi znieść jego głos, to duży plus pomagający przebrnąć przez tą płytę, ale flow może okazać się barierą nie do przeskoczenia, bo weteran rymuje, jakby nagrywał pierwsze kawałki w życiu – wypada z bitu, nie potrafi z nim współgrać, gubi się. Owszem „Chosen Few" z całym składem Brand Nubian czy „Throw The Ball" to naprawdę dobre kawałki, ale raczej dzięki gościom i bitom niż samemu Sadatowi. Innymi słowy, to kolejna z zalewu płyt powracających legend, które stają się już raczej „legendami". Może lepiej pozwolić mitowi umierać spokojnie? **Med**

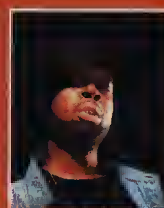


Fabolous wychodził sobie z nowojorskiej restauracji należącej do Diddy'ego, kiedy stojąca pod nią grupa osób okazała się mieć do niego problem. Wynikła strzelanina, która dla rapera zakończyła się w szpitalu i którą analizują obecnie wynajęci przez rapera prywatni śledczy. Efektem jest postrzał w lewą nogę. Cóż, na klipach nigdy nie ruszał się szczególnie dobrze, co nie przeszkodziło mu zajść wysoko. Gorzej, że przy okazji znaleziono przy nim nielegalnie posiadaną broń – to tradycyjna zmora, podobny niefart przydarzył się też Alchemistowi, Snoopowi i Prodigy'emu.

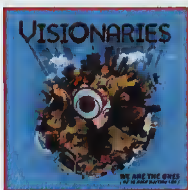


Samolot udający się do Chile został zmuszony do awaryjnego lądowania na skutek pożaru silnika. To na pewno przez gorących chłopaków z ***Mobb Deep***, którzy mieli nieszczęście znajdować się na pokładzie. 50 Cent przytulił, wysłuchał, ukoił skołatane nerwy. O ile nie zrobił tego towarzyszący im w podróży 40 Glocc.

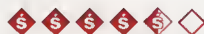
Trudne do zniesienia są te mody na producentów. Tak jak do niedawna wszędzie pojawiał się Scott Storch, tak teraz niemal nie można odgonić się od ***Will.I.Am'a***. Jest na Diddym, Jonnie Legend, płycie The Game'a. Jest na Nasie, a teraz jeszcze ma przyczynić się do triumfalnego powrotu Michaela Jacksona. Co tam Molesta, to byłby dopiero prawdziwy powrót zombie.



Z grobu mógłby powstać za to ***J Dilla***... Niemożliwe, ale pamięć o nim wciąż pozostaje bardzo silna. Ostatnio za sprawą klipu do „Won't Do" promującego pośmiertne wydawnictwo „The Shining". Gościnnie pojawiają się w nim m.in. Common, Black Thought, Kwell i... oczywiście, Will.I.Am.



VISIONARIES
WE'RE THE ONES
UP ABOVE



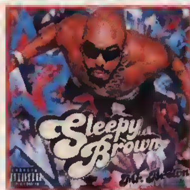
„Pangea", poprzedni album Visionaries, był jednym wielkim bangerem. Nowy krążek to w połowie laid back, taki, który daje okazję do wspomnień, rozliczeń z rodziną, przekazania wartościowych myśli. Z jednej strony szkoda, bo raperzy w energicznych numerach sprawdzają się dużo lepiej („All We Need", „4wd Motion", „Smash Music" wymiatają). Z drugiej – album nie męczy, słyszymy tak mile kawałki jak „All Right" ze słodkim podkładem J Dilli czy wzruszające „Do Gooders" z G. A. Muldrow. Cieszy to, że wciąż najważniejszy jest hip hop („1 %", „Lately") i kontakt z publiką („Crop Circles"), cieszy zdrowe podejście do pieniędzy („nie musisz sprzedawać duszy, by zarobić"). Cieszą bębny, które ani trochę nie chcą łagodnieć, cieszą ostre cuty Rhettmatica, cieszy wciąż zwyżkująca forma mc's. Podziw budzi elastyczny jak pleksa flow Lord Zena, życiowe wejścia ma LMNO, 2Mex miażdży techniką i nawet KeyKool świetnie sobie radzi, a zwykle odstawał od reszty. Liczyłem co prawda po cichu na więcej, ale i tak jest lepiej niż dobrze. **hadero**



A.G.
GET DIRTY RADIO
LOOK RECORDS



Na naszych oczach odradza się imperium Boot Camp Click. Czy tak będzie z Diggin' In The Crates? Były już niezłe albumy O.C., Showbiza i nowy mixtape Diamonda D. Niestety, Joey Crack już chyba nieodwracalnie odjechał. Teraz po kilku latach powraca Andre The Giant. Surowy flow i nieźle kombinowane teksty, czyli to co przez lata 90. było jego wizytówką. Do tego bity głównie od ludzi nie związanych z D.I.T.C. jak Madlib, DJ Design, Jake One i oczywiście J Dilla czy norweski rap potentat Tommy Tee. Do tego weterani: Lord Finesse i wspomniany już Showbiz. Na mikrofonach Oh No i dawno niesłyszany Party Arty. Przebojowo, ale podziemnie. Klasycznie, ale nie archaicznie. Coraz większe są przesłanki do tego, aby Nowy Jork w rapie zaczął się odradzać z southowej dominacji. **(EST)**



SLEEPY BROWN
MR. BROWN
VIRGIN / EMI



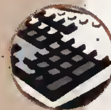
To nie jest tak do końca solowy debiut Sleepy'ego Browna. Kilka lat temu ukazały się albumy jego projektów Society of Soul i Sleepy's Theme. To jedynie gwoli ścisłości. Mam wrażenie, że „Mr. Brown" ukazało się o kilka miesięcy za późno, bo to materiał niemal idealnie nadający się na letnie wieczory. Począwszy od singla „Margarita", który ukradli mu Pharrell z Big Boiem, płyta kipi od pozytywnych wibracji, ciepłych brzmień i hustlerskiego klimatu. Sleepy to bowiem w żadnym wypadku ciulowaty koleżka piszczący w stylu Babyface'a, lecz prawdziwy gracz, przy którym kolana panienek się uginają, usta wilgotnieją, a ubrania jakby same zaczynają opadać. Świetna jest muzyka na płycie, ale to nie dziwi – Organized Noize w końcu wiedzą, jak produkować kozackie numery zgrabnie łączące r&b, organiczny soul i hip-hopową pulsację. Dziwnie na tym tle wypada „Margarita" The Neptunes – jako singiel świetna, jako numer na płycie niepasująca. Na szczęście nie psuje to ogólnego wrażenia. Kumpel duetu Outkast nagrał album zdecydowanie lepszy od ostatniego dzieła grupy. Takie czasy. **Andrzej Cała „Machina"**

Big Boi nie potrzebuje producentów. Ma już ponoć 35 podkładów na swój zapowiadany na 2007 album solowy, choć nie ma co oczekiwać niespodzianek, bo wszystko zostało w rodzinie. Jak zwykle czerpano z wszystkich możliwych gatunków muzycznych. Teraz pozostaje tylko porzeźbić nad wokalami. Drobnostka.



Emigracyjnej telenoweli najlepszego opowiadacza historii, jakiego znał hip-hop – czyli rzecz jasna **Slick Ricka** – ciąg dalszy. Raper przyjechał do Stanów 30 lat temu z Wielkiej Brytanii. Sąd imigracyjny zdążył już zezwolić na jego pobyt, potem władze zaczęły znów węszyć przy całej sprawie, obecnie zaś wciąż zagrożony jest deportacją. Żalił się liberalnej stacji radiowej NPR twierdząc, że „prawa nie są wystarczająco ludzkie". Niby demokraci odzyskali kongres, ale coraz mniej różni ich ostatnio od republikanów i zmiany mogą być w tej kwestii kosmetyczne. Może warto więc wrócić na Wyspy? Zajawka kipi tam gęsta, a licznie przybyłe polskie dziewczęta chętnie zajmą się jednookim żartownisiem.

estów do wykonania, znów mamy do czynienia z tymi ohydnymi orkami, znów wcielamy się w Bezimiennego. Grający w poprzednie części od razu zauważą pewne różnice w umiejętnościach czy atrybutach – jest ich więcej, choć nadal da się spokojnie grać. Z ciekawostek jest teraz możliwość używania tarczy czy walki dwoma mieczami. Oczywiście to jest Gothic, a nie sieczka, więc większość gry i tak polega na kombinowaniu, z kim musimy wejść w układy, by osiągnąć cel. Fabularnie „Gothic 3" nie zawodzi, graficznie również. Bez wątpienia to jeden z kandydatów na grę roku. **Gad**

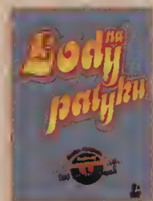




PRO EVOLUTION SOCCER 6
KONAMI/CD PROJEKT

Ostatnio nasza reprezentacja wygrała (i to w jakim stylu) z Portugalią, drużyną cokolwiek niesłabą i niepozbawioną gwiazd – czego w zasadzie o naszym zespole powiedzieć się nie da. Tak więc idąc troszkę za ciosem wzięliśmy na warsztat kolejną grę futbolową po recenzowanej miesiąc temu FIFA 07. Równie utytułowaną, choć może nie tak lubianą jak wyżej wymieniony tytuł. A jako że mamy do czynienia już z szóstą odsłoną, to możemy zadać sobie pytanie, czy i jakie zmiany nastąpiły w porównaniu z poprzednią częścią i czy są to zmiany na lepsze. Grafika nie uległa jakimś drastycznym przemianom, natomiast samo sterowanie grą – troszeczkę i na początku może to sprawiać pewne problemy. W tej wersji PES-a mamy do wyboru więcej drużyn narodowych i klubów, jak i nowy tryb International Challenge. No i oczywiście „last but not least" jest polska wersja językowa. W PES-ie mecze komentują Mateusz Borek i Roman Kołtoń. W sumie miło się gra i jeśli cena nie odstraszy – to można się pobawić. **Gad**

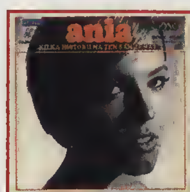




LODY NA PATYKU (8 DVD)
REŻ. RÓŻNI REŻYSERZY
MONOLITH

Nie lada gratka dla widzów pamiętających i wspominających z nostalgią złoty okres ery video, przypadający w Polsce na przełom lat 80. i 90. Wtedy to serią, która niepodzielnie królowała na rynku VHS, przebijając nawet popularnością kolejne części „Emmanuelle", były „Lody na patyku". Dziś tzw. poważni krytycy zżymają się na kloaczny humor i epatowanie golizną teen movies w rodzaju „American Pie", podczas gdy poziom ich świntuszenia to mały pikuś w porównaniu z „Lodami" – praszczurem młodzieżowych komedii erotycznych. Perypetie trzech młodych kumpli, którym życie mija na zaliczaniu tuzinów lasek, oglądała cała męska cześć Polski. Nic dziwnego, bo takiego przeglądu nagich biustów, przewijających się przez wszystkie odcinki, nie można było uświadczyć w żadnych innych filmach nie spod lady. Co ciekawe, do tej pory mało kto wie, że „Lody" powstały w Izraelu, w języku hebrajskim, gdyż na półki naszych wypożyczalni trafiały z niemieckim dubbingiem. Inna sprawa, że za Odrą cieszyły się jeszcze większą popularnością niż u nas. Do tego stopnia, że już od drugiej części Niemcy weszli z Izraelczykami w koprodukcję, finansując kolejne sequele. **Piotr Dobry**











HI-TEK
HI-TEKNOLOGY 2: THE CHIP
BABYGRANDE

Już bez przedrostka DJ, bez pomocy kolegów z Mood i wydawniczej opieki Rawkusa, ale – i to najważniejsze – w formie porównywalnej z tamtym okresem. Na drugiej części swej „wysokiej technologii" udało mu się zgromadzić prawdziwą raperską śmietankę: od Kurupta, Q-Tipa, przez Paposse'a, Taliba Kweli, Game'a, aż do Nasa, Commona i Ghostface'a. To jedynie namiastka – gości ogólnie jest ponad 20. Ogromna większość z nich spisała się dobrze, z gracją płynąc i nawijając na bitach mistrza łączenia klasycznego klimatu i samplingu z nowoczesnym brzmieniem. Hi-Tek powrócił do swojego stylu z przełomu wieków. Leniwie płynące, misternie dopracowane podkłady bogate są w soulowe smaczki i klimat delikatnej nostalgii. Idealnym przykładem są tu numery z Kwelim („Can We Go Back" może spokojnie stać się drugim „The Blast"), jak również zamykające album „Music For Life" z całą plejadą mikrofonowych wyjadaczy. Trochę niespodziewanie Hi-Tek wrócił do starych, dobrych czasów i stanął na wysokości zadania. **Andrzej Cała „Machina"**

ANIA
KILKA HISTORII NA TEN SAM TEMAT
SONY BMG

Ania to jedyna artystka o „Idolowym" rodowodzie, która na szczęście nijak już nie jest z nim kojarzona. Po bardzo udanym debiucie w 2004 zrobiła sobie delikatny lifting. Zarówno image'u, jak i muzyki. Obydwa in plus. Można było się obawiać, że także i u niej da znać o sobie syndrom drugiej płyty. Jednak Ania okazała się bardzo dojrzałą, wiedzącą czego chce artystką. „Kilka historii..." w warstwie muzycznej jest znacznie lepsza od debiutu. Nie bez znaczenia są tu goście wysokiej klasy, tacy jak Michał „Fox" Król (kiedyś 15 Minut Projekt), Ulan (kiedyś Sistars) czy Bogdan Kondracki, który oprócz nagrania partii basu, zajął się produkcją całości. Nie bez kozery postrzega się go w Polsce jako producenta gwarantującego sukces. „Kilka historii..." oprócz tego, że pachnie muzycznymi latami 60. oraz że jest dźwiękowo mocno urozmaicona, brzmi bardziej akustycznie od pierwszej płyty. Mimo iż mniej przebojowa, to z pewnością jest płytą bardziej wartościową od debiutu. Polski pop na wysokim poziomie. **Tymoteusz Kubik**

I AM GHOST
LOVERS' REQUIEM
EPITAPH

Nie wiem, czy to przez jesienno-zimową aurę, czy jakiś tajemniczy wpływ faz księżyca, uaktywniły się ostatnio zespoły rozsmakowane w horrorze i makabrze. Kalifornijskie goth punki z I Am Ghost nie mogły stworzyć wyjątku i swoją pierwszą pełnowymiarową płytę ujawniły w momencie, gdy mrok zapada nader wcześnie. Na „Lovers' Requiem" znalazły się dwa utwory z wydanego przed rokiem mini-CD „We Are Always Searching" oraz dziewięć kolejnych premierowych kawałków monumentalnego punk rocka wzbogaconego o elementy gotyku, emo i metalu. Czyste wokale prowadzą dialog z histerycznymi wrzaskami, sekcja rytmiczna raz po raz zmienia tempo, a gitarzyści gimnastykują się przy ekwilibrystycznych solówkach. Czasem z jakiegoś mrocznego zaułka wychylą się smyczki, klawisze o brzmieniu kościelnych organów lub chóralne zaśpiewy. Nic tylko zanurzyć kły w tej płycie i ssać z niej życiodajną energię! **Sebastian Rerak**

FRONTSIDE
ABSOLUTUS
MYSTIC PRODUCTION

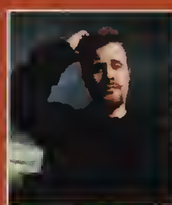
Tą płytą Frontside udowadnia, że na polu metalcore'a nie ma sobie w Polsce równych! „Absolutus" to zdecydowanie najciekawsza, najlepiej brzmiąca i najbardziej zróżnicowana produkcja sosnowieckiej grupy. Podstawą jej muzyki pozostają najcięższe gatunki gitarowego czadu, tytaniczny sound jest monumentalny, a ogólna atmosfera – przytłaczająca i iście piekielna. Czy to w gąszczu technicznych, death metalowych galopad, mroku posępnych klimatów a la Danzig bądź melodii śpiewnych refrenów, Frontside zawsze zachowuje własny unikalny styl. Nie obawia się też zupełnych nowinek, bo za taką trzeba uznać balladową kompozycję „Nieodwracalny", zaaranżowaną na smyczki i gitary akustyczne. W moim prywatnym odczuciu „Absolutus" jest swoistym podsumowaniem ponad dziesięciu lat działalności sosnowieckich hardcore'owców. Z takim albumem na koncie Frontside powinien szeroko zaistnieć nie tylko na rodzimym podwórku. **Sebastian Rerak**

THE ANALOGS
POZA PRAWEM
JIMMY JAZZ

To jest prawdziwy uliczny punk rock, agresywny i chropawy, dający po łbie jak najczystsza wóda. Tu nie ma miejsca na instrumentalne ewolucje czy subtelne metafory w tekstach. Jest konkretny gitarowy wygar i walące w pysk teksty, wyśpiewywane przez wokalistę o glosie zdartym jak zużyty papier ścierny. Legendarni The Analogs są – zgodnie z przyświecającym im hasłem – najlepsi w swoim fachu, a „Poza prawem" to kolejna część ich opowieści o ciemnych stronach życia wielkomiejskiego proletariatu. Najmocniejszą stroną szczecińskiej grupy jest właśnie ta gorąca publicystyka w tekstach, a także szorstka siła piosenek zagranych zgodnie ze staropunkowymi wzorcami. „Pieśń aniołów", „39-45" czy „Blizny, alkohol i tatuaże" to najmocniejsze punkty tego krążka, ale i pozostałym niczego nie brakuje. **Sebastian Rerak**



Europejskie tournee ***Evidence'a*** z Dilated Peoples nie uwzględniało Polski, ale i tak okradli go u naszych południowych sąsiadów. Zginęła mu książka, którą czytał i kurtka, którą miał na sesji zdjęciowej do ostatniego albumu DP. Na szczęście nie załamuje się i kończy solowy materiał zapowiadany na 2007. Numer „Mr. Slow Flow" ma być nie tylko singlem, ale jednym z najlepszych numerów, jakie kiedykolwiek nagrał. Ta, zawsze tak mówią.



Szokująco zapowiada się najnowszy krążek mistrza muzyki normalnej inaczej, a przy okazji szefa Def Jux, wydawnictwa będącego oazą grających takową. ***El-P***, bo któżby inny, na płytę „I'll Sleep When You're Dead" zaprosił na przykład Trenta Raznora z mrocznego, gitarowego Nine Inch Nails, Mars Voltę i znajome grono uzdolnionych psychopatów: Cage'a, Aesop Rocka i Mr. Lifa. El-P uspokaja, że udział co poniektórych może być jednak wyjątkowo skromny. Wie też, co będzie robił po wypuszczeniu tej płyty. Zajmie się materiałem Cannibal Ox'a.

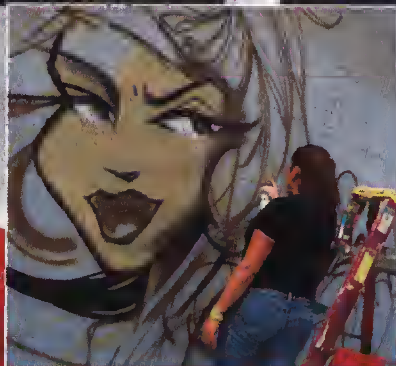


Rymował kiedyś Peja, że „jak Cali Agenci ma na lepsze życie chęci". Rasco i Planet Asia, czyli właśnie ***Cali Agents***, przypomnieli sobie najwyraźniej „o pogoni za lepszej jakości życiem" i stwierdzili, że czas coś zrobić. Kiedy już zagrali koncert w Polsce i pojawili się w prestiżowym magazynie „The Ślizg" (uważni czytelnicy znajdą wywiad w tym jego numerze), uznali, że czas mieć płytę. Na półkach (ale raczej nie naszych sklepów) lada chwila leżeć powinien nowy krążek „Fire & Ice". Wśród producentów DJ Babu i Architect.

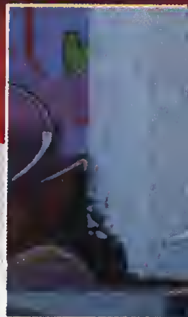

WWW.ERRORCTHZ.COM

"Meeting of Styles" New York



















Reward up to $500 for the arrest and conviction of anyone who commits Graffiti Vandalism







"Meeting of Styles" New York

Vandalism is a crime

Reward up to $500 for the arrest and conviction of anyone who commits Graffiti Vandalism

Call 911 to report crimes in progress
311 to provide information

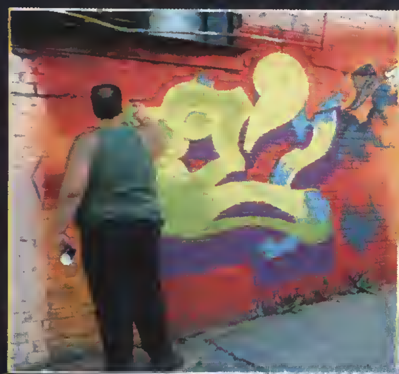
El vandalismo es un crimen

Recompensa de hasta $500 por el arresto y condena de cualquier persona que cometa vandalismo con graffiti.

Llame al 911 para reportar si se está cometiendo un crimen

SubTalk

New York City Transit



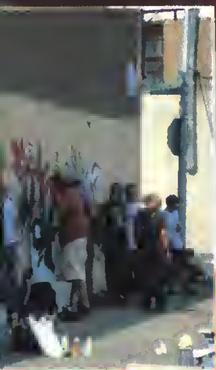


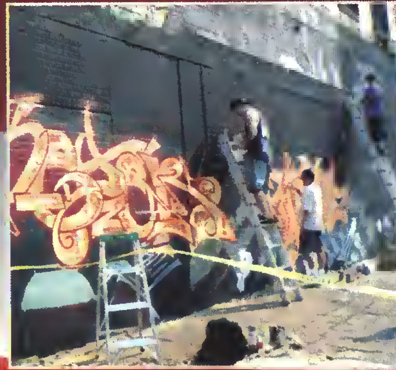


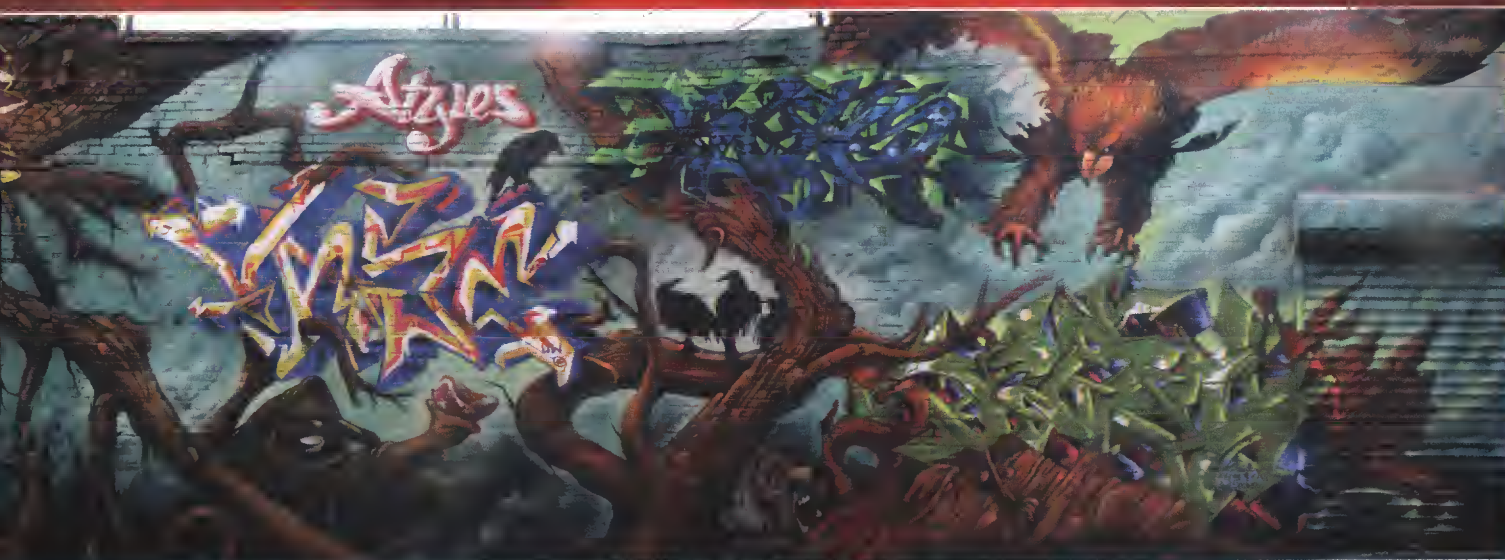
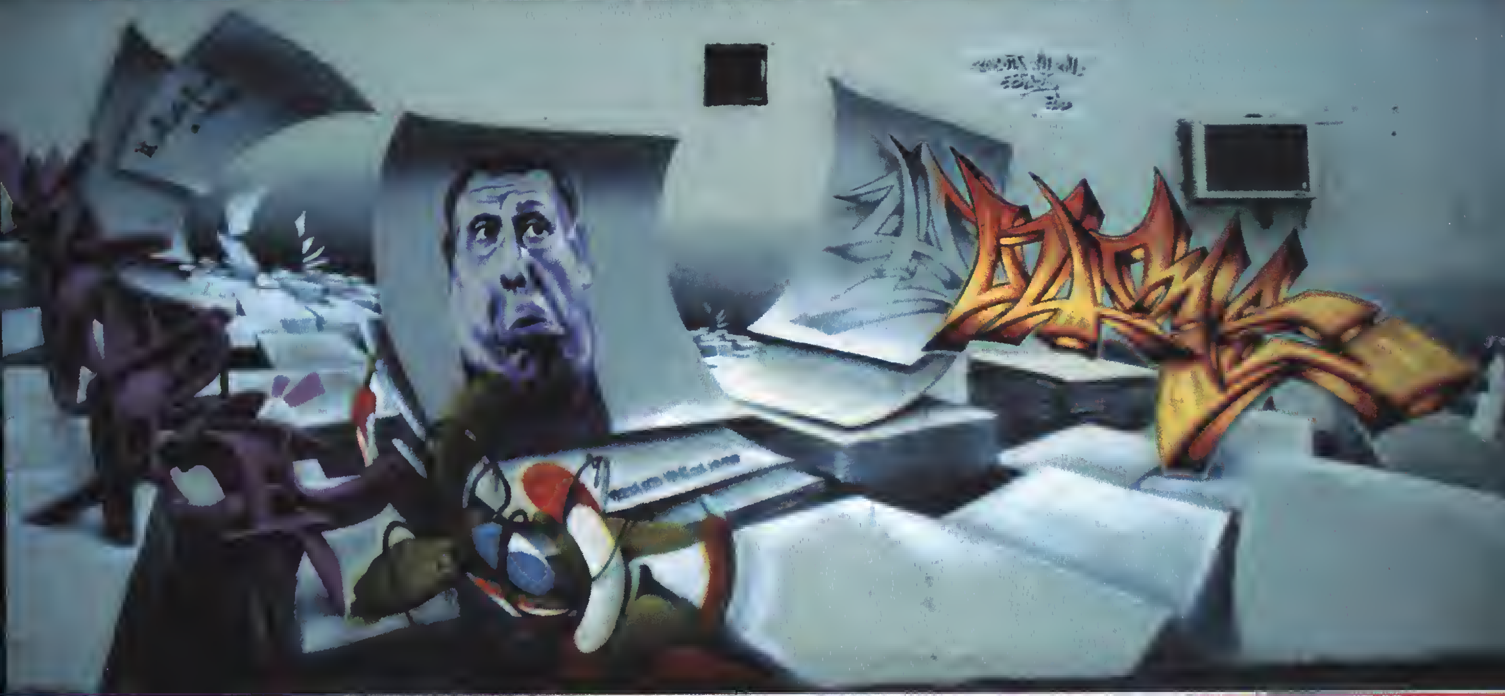








"Meaning of Style" New York



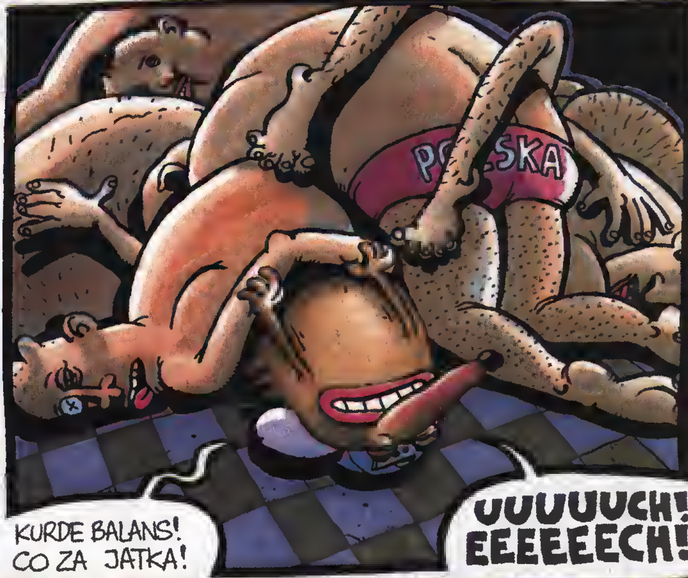









POLSKA
C-CO JEST...?


POLSKA
KURDE BALANS! CO ZA JATKA!
UUUUUCH! EEEEEECH!


NO, TO JA SPADAM, A WY BAWCIE SIĘ DOBRZE!


CO TO ZA HAŁASY, TAM NA GÓRZE! JAKIEŚ STĘKANIA!? MA BYĆ SPOKÓJ, BO JAK NIE TO PO KACZYŃSKIEGO ZADZWONIĘ!
A DZWOŃ, PANI, DZWOŃ, CHOCIAŻ NIE SĄDZĘ, ŻEBY MU SIĘ TU DZISIAJ SPODOBAŁO...


ZOBACZYCIE! SKOŃCZĘ Z TYM BURDELEM!




ZBOCZEŃCY! TFU!

SCENARIUSZ: RAFAŁ SKARŻYCKI RYSUNKI: TOMEK LEŚNIAK



















AFGANISTAN. RADZIECKI SZPITAL POLOWY

AAA...

<KTO NASTĘPNY?>

OOO...

GDIE MAJA RUKA?

<PIOTR PAWŁOW>

<KULA? ODŁAMEK? MINA?>

<EEE... NIE...>

<NIE? TO CO MI SIOSTRA DUPĘ ZAWRACA! PROSZĘ SIĘ NIM ZAJĄĆ!>

<TAK JEST>

<PAWŁOW, TO WY?>

O, ŻESZ JOB TWOJU MAĆ!

<OJ! ZA MOCNO POCIĄGNĘŁAM?>

<NIE... CIĄGNĄĆ TO SIOSTRA MOŻE ILE CHCE... TYLE, ŻE TO JUŻ DRUGI RAZ W CIĄGU PARU MINUT, JAK MNIE KTOŚ BIERZE ZA PAWŁOWA!>

<ON LEŻY PIĘĆ ŁÓŻEK DALEJ!>



<ACH! TAM! ALE TO DZIWNE> ...
<CO W TYM DZIWNE-GO?>
<NIE ZNAM TEJ PIELĘGNIAR-KI...>





<CO TU SIĘ DZIEJE?>
BLOODY HELL!



<AAA! WRÓG! NA POMOC!>
AGH!
OPS! SORRY MAN!



STOJ!
STRIELAC BUDU!

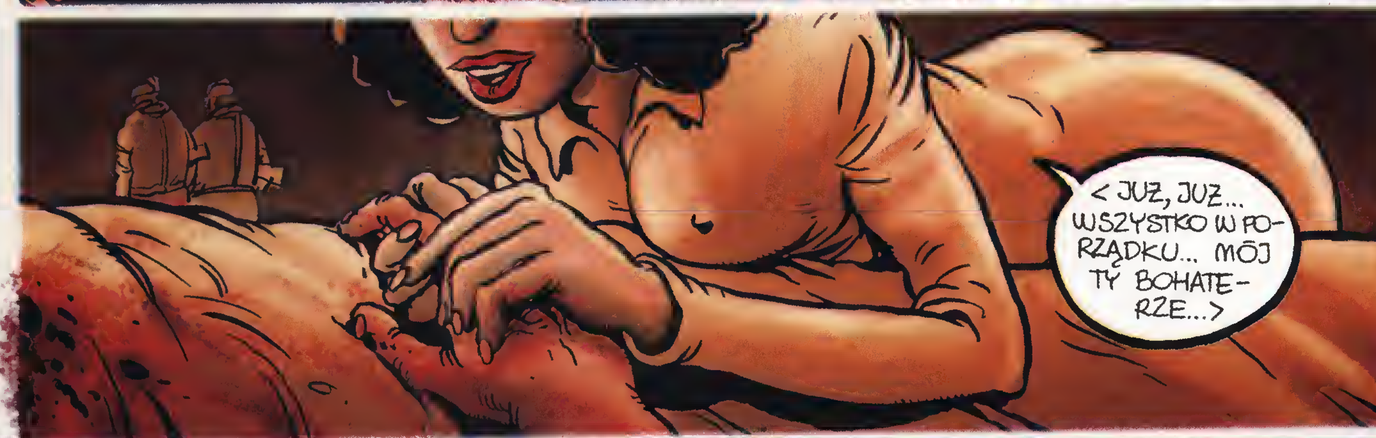


RATATATATATATATATATATATATATATATATATA


<WIDZIELIŚCIE TOWARZYSZKO, JAK WRÓG SPIERDALAŁ PRZED SOWIECKĄ SIŁĄ?>
<AŻ SIĘ KURZYŁO, TOWARZYSZU.>


<NO, CIEKAWE TYLKO, PO CO TU PRZYSZEDŁ?>
<PODEJRZEWAM, ŻE CHCIAŁ ZAMORDOWAĆ TEGO OTO TOWARZYSZA...>


<ROZUMIEM... W TAKIM RAZIE PRZENIESIEMY GO DO OSOBNEGO NAMIOTU I POSTAWIMY STRAŻ! A TERAZ OPATRZCIE GO, SIOSTRO!>
<TAK JEST!>


<JUŻ, JUŻ... WSZYSTKO W PORZĄDKU... MÓJ TY BOHATERZE...>

Zazwyczaj na deser serwujemy Wam dziewczyny, które oprócz tego, że są sławne dzięki głosowi czy zdolnościom aktorskim, dodatkowo mają to coś, co sprawia, że przyjemnie patrzeć, kiedy pozują do zdjęć w samym bikini. Tym razem przed wami wystąpią dwie panny, które są znane tylko i wyłącznie dzięki swemu ciału i ono stało się dla nich przepustką do lepszego świata...

tekst Dominika Cess

CZEKOLADA...

Pierwsza z nich nazywa się Esther Baxter, ma wymiary 86-60-101 i jest prawdziwą lisicą. Do 18 roku życia kreowała się na dziewicę orleańską. Trochę chłopczyca, trochę niewiniątko. Postanowiła zachować cnotę dla swego męża. Czas chowania nie był zbyt długi, bo tuż po swych 18 urodzinach, w dzień Świętego Walentego wzięła ślub ze szkolnym kolegą. Związek skonsumowano i grzeczna Esther odeszła w niepamięć.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, iż jej luby wstąpił do marynarki i bardziej nie było go w domu niż był, a znudzona młoda żona musiała znaleźć sobie inne rozrywki. I niech to będzie przestroga dla was, panowie - dobrze obdarzona przez los dzierlatka zaczęła pozować w wyzywających pozach do bieliźnianych fotek. Potem trafiła na plan klipu młodego gwiazdora prosto z brudnego południa i tak się wylansowała, że od tytułu singla ochrzczono ją mianem panny Freek-a-leek.

Teraz ma lat 22 i jest jedną z najbardziej rozpoznawanych modelek hip-hopowych. Dumna ze swych ponętnych krągłości zarzeka się, że nigdy nie wystąpi nago, bardzo chętnie za to pozuje w skąpej bieliźnie. Doceniają to redaktorzy magazynów pokroju „XXL" czy „King", oferując miejsce nie tylko na jej wypowiedzi, ale przede wszystkim na okazałe fotografie. Jej w pełni naturalne walory uhonorowali także sędziowie przyznając tytuł Eye Candy roku 2004. Internetowi koneserzy kobiecych wdzięków rozpływają się nad jej olbrzymim talentem i jeszcze większymi... oczami.

Nie ulega wątpliwości, że kiedy tylko pojawia się w jakimś teledysku uświetniając go swoim trzęsącym się rytmicznie tyłeczkiem, natychmiast przyciąga uwagę widzów. Kamery ją kochają, a ona uwielbia swoją pracę. Niestety, gdybyście chcieli zaprosić ją do swojego osiedlowego klipu o życiu w blokach, musielibyście przygotować co najmniej 3000 dolarów za każdy dzień jej trudnej i jakże fizycznej pracy.

Należąc do grona medialnych pupili, Esther ma też określone towarzystwo. Czas bratania się z kolegami ze szkoły odszedł w niepamięć. Teraz branżę obiegają plotki o rzekomych związkach panny Baxter z ludźmi pokroju Cam'rona, Juleza Santany czy Pharrella Williamsa. Mówi się, że łączyło ją coś więcej z Fabolousem. Towarzyszył jej w delegacji do Houston – niby nic się nie działo, ale oboje podobno coś ukrywali pod niewinnymi uśmieszkami. Zwłaszcza że Fab dał dowód swojej fascynacji młodą modelką nagrywając dla niej utwór „Computer Love".



Esther Baxter






Sama Baxter wiele pozostawia w sferze niedomówień, a w kolorowej prasie (nieważne, czy dla kobiet, czy dla facetów) nie ma miejsca na wszelkie „może tak, może nie", dziennikarze prześcigają się więc w swataniu Esther z koszykarzami (Raymond Felton z Charlotte Bobcats), a nawet kolegami po fachu (Marcus Blassingame z „Black Men Magazine"). Jej zagorzali fani jednak zaprzątają swoje głowy innymi problemami, jak choćby „czy Esther Baxter jest najseksowniejszą dziewczyną na świecie?" albo „dlaczego Esther Baxter nie odwiedzi mnie dzisiaj w biurze?" Widzieliście jej zdjęcia? Widzieliście jak się rusza? Dziwicie się kolesiom, którzy zwariowali na jej punkcie?

... I MANDARYKA

Druga z pań to z kolei słodka Kubańska Mandaryna, czyli Vida Guerra. Urodzona 26 lat temu na „Wyspie jak wulkan gorącej", po 6 latach wyemigrowała z rodziną do New Jersey, gdzie wiodła spokojne życie, dopóki nie wpadła na genialny pomysł, by wziąć udział w castingu do teledysku Big Puna „New York To New Orleans". W ten sposób kilkadziesiąt dni później cała Ameryka mogła ją zobaczyć siedzącą obok wypasionego Punishera i kiwającą głową do bitu. Po tym wydarzeniu życie Vidy wróciło do normy. Wraz ze skompletowaniem brakujących w teledysku części garderoby, wróciła też na miejsce plakietka szeregowego lichwiarza w centrum kredytowym, piękna karoca stała się na powrót dynią, a miejsce szampana zajął sok pomarańczowy. Ale nie na długo.

Nasza dzielna mała Kubaneczka o ponętnym ciele uległa prośbom swego ówczesnego chłopaka, by wysłać swoje zdjęcia do działu „dziewczyna z sąsiedztwa" w jednym z magazynów dla facetów. Byłemu chłopakowi Guerry gratulujemy pomysłowości, bo dzięki niej Vida stała się częstym gościem wielu męskich miesięczników, włącznie z okładką i rozkładówką amerykańskiej edycji „Playboya".

Vida ma niemal idealne wymiary 86-63-94, a dodatkowo na większości zdjęć w bieliźnie lub bez niej ma minę smutnego cocker-spaniela, czym absolutnie rozbraja tę część panów, której rodzice zabraniali pewnie oglądać w dzieciństwie „Zakochanego kundla". Teraz za to mogą oglądać do woli Guerrę w teledyskach, czy to P. Diddy`ego i Nelly'ego z kumplami („Shake Your Tailfeather"), czy Kanye Westa („New Workout Plan" – tu spotkała się razem z drugim deserowym ciasteczkiem, czyli Esther), ale także w filmach. Jej aktorskie popisy można podziwiać w tegorocznej produkcji spod szyldu „National Lampoons" pod tytułem „Dorm Daze 2". Poza tym, nie zostałaby nazwana mandaryną, gdyby nie miała czegoś wspólnego z występami wokalnymi. Tak, tak – nie dość, że śpiewa, to jeszcze rapuje. Na zaplanowanym na tę jesień debiutanckim albumie „Theme Park" towarzyszyć jej będą m.in. Paul Wall i Sean Paul.

Mało? Vida użycza swego głosu jednej z bohaterek gry „Scarface", no i podobnie jak Baxter umawia się z wysportowanymi, znanymi facetami. Dużo mówiło się o jej związku z nowojorskim footbalistą Jeremym Shockeyem, przy czym najwięcej radości fanom modelki sprawiła wiadomość o ich rychłym rozstaniu. Tylko nie mówcie, że nie wiecie, dlaczego tak wielu miłośników wirtualnej miłości liczy na randkę z tą pięknością rodem z Hawany. Z tym że – jak trafnie zauważył jeden z polskich undergroundowych raperów z Pabianic – raczej jest nieosiągalna...

Vida Guerra





Jeśli chcesz zamieścić na tej stronie logo swojego sklepu, skontaktuj się z nami pod numerem 022 635 84 10 wew. 131 lub na mail slizg@slizg.com.pl

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.

Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

022 635 84 10, wew. 131.



Retro Strona



MOROWE PRODUKCJE

MANTRONIX
THE ALBUM
WARLOCK, 1985

Na początku lat 80. Curtis Mantronik, wówczas sprzedawca w sklepie muzycznym i DJ, poznał na Brooklynie rapera MC Tee i tak w telegraficznym skrócie powstał zespół Mantronix, jeden z najbardziej innowacyjnych, a zarazem mających wpływ na współczesną muzykę. także spoza kręgu hip-hopu (electro, house, techno). Oprócz tego, że samplowali jak wszyscy Jamesa Browna czy nawet Aerosmith, to zasłynęli z tego, że jako jedni z pierwszych używali tak syntetycznych i minimalistycznych brzmień w swoich utworach. Ich Roland TR-808 wywołał rewolucję, zaś kawałki takie jak „Basseline" czy „Fresh Is The World" zawładnęły zarówno „block parties" jak i klubowymi imprezami. Tu rap był raczej uzupełnieniem. Najważniejszy jest rytm. Do dziś Mantronix to kanon repertuaru dla b-boys i b-girls, choć raczej spod znaku electric boogie. Ta płyta to taniec w czystej postaci. Zakladamy zatem wygodne dresy i „Let's dance!". (EST)

LAMUSY Z LAMUSA

2 UNLIMITED



Holenderski duet 2 Unlimited jest ważny dla polskiej kultury hip-hop. Czym innym wytłumaczycie tak częste wycieczki polskich raperów do Amsterdamu? Dlaczego „No Limits" było jednym z pierwszych klipów puszczonym w programie „Bezele"? Skoro przy tym jesteśmy, to skąd ta popularność Mastera P i jego wytwórni No Limit, jeśli nie stąd, że głodna rapu młodzież rzucała się na te produkcje przez pomyłkę, mając nadzieję, że to kolejna muzyczna odsłona drużyny z kraju nizin, wiatraków i tulipanów? Że będzie mogła nakarmić swoje wyrafinowane uszątka dodatkową porcją nawijek rapera Raya Slijngaarda?

Ray i jego urocza koleżanka Anita Doth debiutowali 1992 roku. Płyta „Get Ready" zyskała uznanie i przebiła się do fanów czarnej muzy nie gorzej niż inne hity tego roku: „Chronic" Dr. Dre i „Mecca And The Soul Brother" Pete Rocka i CL Smootha. Być może chodziło o przesłanie. „Twilight Zone" poruszało kwestię strefy ciemności, jakże ważną na ulicach. „Get Ready For This" pokazało dla odmiany, że musisz być gotowy i nie możesz załamywać rąk. W razie co, zawsze może pomóc ci „Magic Friend". Album wydany rok później należy już uznać za klasyk. Było na nim wspomniane „No Limits", ale również wspaniałe „Let The Beat Control Your Body". Bo co się liczy, jeśli nie dobry beat?

Po tym sukcesy się skończyły. Ray, jak wielu raperów na emeryturze, zajął się własnym labelem. Anita zaś idąc raczej szlakiem Tedego i Pezeta zajęła się karierą telewizyjną. **(pc raper)**

RETRO RANKING

01 Eldo/Bitnix „Świadek z przypadku" – Podfabularyzowana historia dziadka Eldoki. Wędrujemy po ulicach Warszawy i to zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Pełna detali narracja, zaburzona chronologia, umiejętność mówienia o kilku rzeczach naraz... Postmodernizm przez duże „P". Klasyk.

02 Molesta ft. Setka „Mam to przed oczami" – Cztery historie o rzeczach, których czterech mc nigdy nie zapomni: od ludzi wysłanych do grobów przez narkotyki, przez ojca kolegi skatowanego przez oprawców na usługach systemu, wybuch gniewu i jego tragiczne skutki, aż po głodnego pięciolatka budzącego się w nocy. Niejeden ma to wciąż przed oczami.

03 Pezet/Noon „Retro" – Ujęty w oryginalny tryptyk przegląd starych towarzystw, które znaczyły wiele, a nie znaczą nic. Galeria postaci od tych, którzy pożenili się i mają dzieciaki, po tych, którzy śpią na peronach, wrócili z detoksu, jedzą dropsy na techniawkach. Mocne.

04 Gano „Proste?" – W latach 77-83 w mieszkaniu Gano wciąż była słota... To wstrząsające rozliczenie się z ojcem-alkoholikiem, do którego dzieciak uśmiechał się, gdy ten charczał w delirium, ale gdy dorósł, każe się mu zwracać do siebie per „pan". Może i Gano nie ma flow, ale ma wielką odwagę cywilną.

05 Tede „360 Obrót" i DJ 600V ft. Juhas, Numer Raz „93... 94..." – Pierwszy numer to jedna z wielu rymowanych autobiografii Tedego, ale chyba najlepsza. Drugi stanowi hymn pierwszego stołecznego rap-pokolenia. Razem stanowią fantastyczny portret hip-hopowej Warszawy lat 90. i trzymają jej klimat między wersami.

06 Pezet/Noon „Gubisz ostrość" – „Wspomnień kalejdoskop" pokazuje barwne strzępki tego, co „się nigdy już nie zdarzy". Wspomnienia Pezeta obejmują imprezy, na których gówniary zachodziły w ciążę, chwile, gdy chcial rzucić szkołę i wiele innych, a wszystko to poddane ostrej, gorzkiej samoocenie.

07 Morwa „Powrót do przeszłości" – Barwny, dobrze podpatrzony (a raczej zapamiętany) numer o życiu w blokowisku na styku ustrojów. Właściwie uzupełnienie serialu „Alternatywy 4".

08 WWO ft. Intouchable, Wilku „Smak chwili" – Gdyby Sokół miał tu więcej niż jedną zwrotkę, byłby szczyt listy. Podróż od „świetlico-kaplicy" i nowotworu ojca do urwania się kolejki i stosu ciał w Tbilisi funduje ciarki na plecach. Za każdym przesłuchaniem.

09 Afro Kolektyw ft. Lilu „W łóżku z licealistką" – Złośliwe, choć nie pozbawione nutki sentymentu rozliczenie się z gówniarskimi czasami. Ma dobre, świetne nawet momenty, z tym że albo nie było wyrazistego konceptu, albo zabrakło myślowej dyscypliny. Wyszło mało plastycznie i jakoś tak bez puenty.

10 Peja ft. Ajsmen „O tym, co było i o tym, co jest teraz" – Nie o rap tu chodzi, bo to jeden ze słabszych numerów na słynnym „Na legalu?", a Ajsmen radzi sobie za mikrofonem fatalnie. To wart wspomnienia, uczciwy pomysł – ostatecznie rozliczyć przeszłość w towarzystwie dawnego kompana. I to na płycie, która miała wynieść jej autora poziom wyżej. I wyniosła!

WYRÓŻNIENIE: – Chuck D. Fresh „Let$ Take It Back" – Lets tejk it bek tu de dżunior hajskul. Ech, kto nie pamięta „pierwszego pistoletu przystawionego w okolice potylicy".